

DOBRY KRYMINAŁ



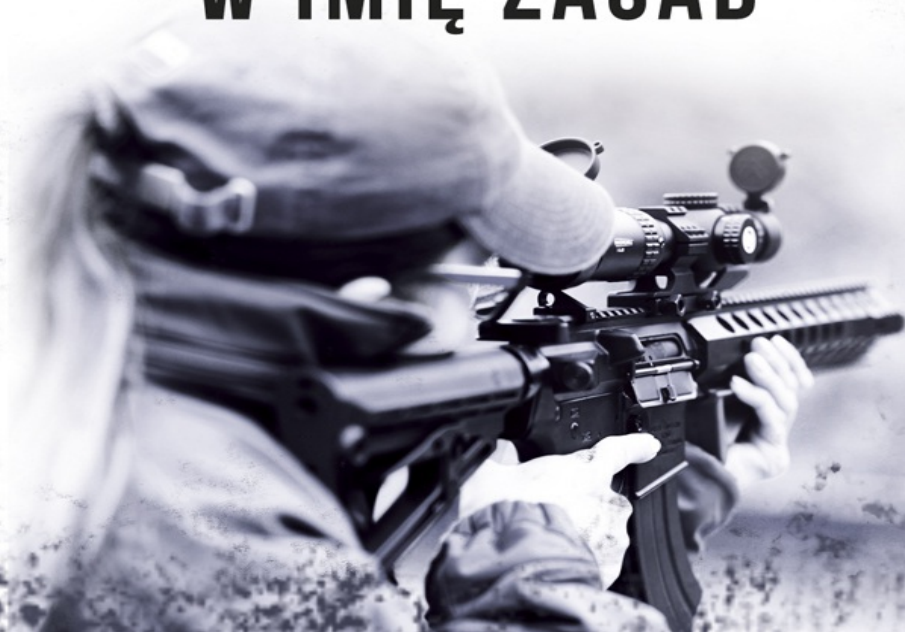
MICHAŁ ŁOWICZ



PSIA ROBOTA DLA RASOWYCH KOBIET

KANDYDAT

W IMIĘ ZASAD



Michał Łowicz

**KANDYDAT
W IMIĘ ZASAD**

*Każdy się czasem spóźnia,
ale najczęściej sprawiedliwość*

Wincenty Styś

I



Pusta butelka po coli przetoczyła się za siedzeniem pasażera, poddając się prawom fizyki. Rozbijał ją nagły manewr samochodu. Każda służbowa bryka w policji ma kilku dysponentów, a te auta, które przechodzą z rąk do rąk, są brudne i zaniedbane jak tanie dziwki. Nikt nie interesuje się rzuconymi na tył kartonami po żarciu z fast foodu, papierowymi kubkami po kawie ani puszkami po napojach energetycznych. Bajzel na tylnym siedzeniu rozrasta się do momentu, kiedy trzeba przewieźć jakiegoś zatrzymanego. Wtedy jednym ruchem oczyszcza się tylną kanapę, żeby zrobić miejsce dla przymusowego pasażera.

W zasadzie nie ma znaczenia, czy samochodem jeżdżą mężczyźni czy kobiety, chlew w tylnej części kabiny jest zawsze taki sam. Dziewczyny we wszystkim chcą dorównać facetom, więc nie przejmują się syfem w miejscu pracy bardziej niż ich koledzy. Dawno minęły czasy, kiedy panie próbowały stworzyć domową atmosferę w otoczeniu zawodowym, a panowie stwarzali pozory ułożonych, powodowani udawanym zainteresowaniem ich opinią. Pojęcie parytetu dawno już stało się nieaktualne, bo obok otwartej drogi do wykonywania tego męskiego zawodu kobiety uzurpują sobie prawo do przyswajania wszystkich męskich skłonności i anegdotycznych przywar. Jedną z nich jest oczywiście nonszalancja w obyciu, najczęściej okazywana jako tumiwisizm.

Radiowóz wjechał na podjazd prowadzący do stacji benzynowej. Butelka odbiła się od progu auta i wróciła na swoje miejsce. Resztką spienionego napoju zbulgotała na tyle głośno, że pobudziła jeszcze silniejsze parcie na pęcherz u policjanta siedzącego jako prawy. Wyskoczył z toczącego się jeszcze auta jak z procy, prosto w kierunku kibla. Jego partnerka wyłączyła zapłon, przeciągnęła się jak kocica i leniwie rozejrzała po uśpionej o tej porze okolicy. Spojrzała na zegarek. Można było w tym geście odczytać celowość,

jaka towarzyszy osobie czekającej na kogoś. Dochodziła pierwsza w nocy. Pod dystrybutor podjechał stary golf gti. Nie gasił motoru, podkreślając tym samym największy walor auta, czyli stuningowany tłumik. Policjantka podeszła do strucla od strony pasażera. Bez słów nachyliła się nad uchylonym oknem i wsunęła do wnętrza, otwarty na chybił trafił, notatnik służbowy. Łysy chłopak z odstającymi uszami zaciągnął się papierosem, jakby chcąc w kłębach dymu ukryć gest wsuwania do notatnika kilku banknotów. Sekundę później dziewczyna w mundurze spostrzegła wychodzącego z budynku stacji partnera, zmagającego się z rozporkiem przy swoich spodniach, i płynnym ruchem schowała notatnik do kieszeni na udzie.

- Tu się nie pali - upomniała ponuro łebka w golfie. - Zagrożenie wybuchem.

Golf ruszył z piskiem opon i chwilę później zniknął za zakrętem. Jeszcze jakiś czas słyhać było historyczny warkot jego silnika. Gdy ucichł, przestrzeń zdominowały rutynowe dźwięki korespondencji z policyjnej radiostacji. Mundurowi nie usłyszeli nic godnego ich zainteresowania. Chwilę stali po przeciwnych stronach radiowozu. Policjantka zapaliła papierosa.

- Znajomi? - Policjant kiwnął głową w kierunku, gdzie zniknął golf.

- Napijemy się kawki? - zaproponowała dziewczyna, puszcżając pytanie mimo uszu.

- Dzięki. I bez tego ciągle chce mi się łąć.

- Niemcy mówią: Zu viel sex unter freiem Himmel - wyrecytowała tekst zapamiętany jeszcze z liceum.

- Zrozumiałem tylko: sex, ale...

- Nie wiem, co sobie wyobrażasz - weszła mu w słowo - ale mówię, że mogłeś się przeziębić. - Z rozmachem otworzyła drzwi auta i zamasyżuje rozdeptała niedopałek. - Jedziemy?

Nocne patrolowanie miasta ma obraz zanikającej sinusoidy.

Natężenie interwencji przeplata się z okresami względnego spokoju. Wraz z upływem godzin coraz mniej jest rozrabiaków i wreszcie dyżurny, rozdzielający robotę, milknie na dłuższy czas. Patrole na mieście snują się w nadziei na jakiś ożywczy akcent.

Brona i Żbik nie byli zgranym duetem. Ich wspólny patrol był raczej

dziełem przypadku. Zawsze tak bywa, gdy następują nagłe zmiany w grafiku. Znali się dobrze, bo taką orientację we wzajemnych relacjach wymuszało zamknięte, plotkarskie środowisko komisariatu. To było jednak wszystko, co ich łączyło.

- Jak ja się cieszę, że ostatnie pół roku jeździłam z Bolem.

Zajebisty gość. - Brona podczas całego swojego stażu w policji starała się upodobnić stylem bycia do mężczyzn. Ale natury nie oszukasz. Kobiety ciężko znoszą milczenie. Potrzeba zagajenia jest tak silna, że potrafi zburzyć najmisterniej budowany wizerunek twardej, posępnej kobiety-policjanta.

- To pewnie z przyzwyczajenia do Bola przywiozłaś mnie na tę stację? - Żbik ciągle miał w myślach obraz policjantki pochylonej nad golfem.

Brona mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy.

- A z mojego towarzystwa nie jesteś zadowolona? - policjant zmienił temat, widząc, jak dziewczyna zareagowała na zaczepkę.

- Sorry, Żbiku, ale to zupełnie inna bajka.

- Bolo raczej nie jest bajkową postacią. - Policjant bez zainteresowania rozglądał się na boki. Otoczenie nie ogniskowało jego uwagi, podobnie jak rozmowa z dziewczyną.

- Ale użyteczną. - Podniosła palec wskazujący w geście mentora. - Teraz to mi już naczelnik nie będzie pierdolił, co muszę, a czego mi nie wolno. Nauczyłam się, jak nie dać się zaorać w tym burdelu.

Żbik na moment odwrócił głowę i spojrzał na partnerkę. Miało to oznaczać zainteresowanie tym, co mówi młoda kobieta.

- Przecież ty jesteś rok po szkole. Jak chcesz popracować, to nie naśladuj Bola. On wcześniej czy później pójdzie pierdzieć w pasiak.

- Przestań głądzić. Od samego początku trzeba walczyć o swoje. - Brona była coraz bardziej podniecona swoimi słowami, ujawniając kolejną kobiecą słabość, kruszącą obraz twardziela w damskim ciele.

- Tyle wywalczył ten twój kolega, że go zawiesili. Chcesz być następną?

- Grozisz mi? - wycharczała, jednocześnie sięgając po papierosa.

Przez chwilę w radiowozie zapanowało milczenie. Radio piknęło kilka razy, ale nikt się nie odezwał. Prawdopodobnie chłopcy z OPP porozumiewali się jakimś wcześniej ustalonym kodem. Żbik poprawił się na swoim fotelu. Przez

osiemnaście lat służby obserwował degradację etosu tego zawodu, ale taka postawa była po prostu sprzeczna z jego naturą. Czuł się nieswojo w roli zgreba, ale laska szokowała go swoim podejściem do roli. Nie mógł jednak łamać niepisanych zasad lojalności zawodowej. Nawet w rozmowie z taką sikszą jak Brona.

- Gównu mnie obchodzą wasze przekręty - bąknął niedbale, patrząc przed siebie. - Inni dobiorą się wam do dupy.

- Bo to chuje są. Naczelnik ma tyle służby, co chipsy gwarancji. On się nie nadaje do rządzenia ludźmi. - Wyższe niż zwykle rejestry głosu świadczyły o skurczu tchawicy wywołanym ekscytacją własnymi mądrościami życiowymi.

- Nie przeczę, ale swoje robić trzeba. - Policjant, w kontraście do koleżanki, nie zmieniał tembru nawet o pół tonu.

- Ty niepoprawny optymista jesteś. Dlatego nic w tej firmie nie osiągniesz. - Spojrzała na partnera, jakby chcąc się upewnić, na ile jeszcze może sobie pozwolić w stosunku do starszego wiekiem, stażem pracy, stopniem i stanowiskiem kolegi. Brak reakcji mężczyzny zachęcił ją do dalszego gadania.

- Będziesz sobie żył z tej zasranej pensyjki do czasu, aż całkiem prześmierdniesz... - zawiesiła głos, nie wiedząc, jakie porównanie zastosować. Wreszcie dokończyła: - ... zapachem tej waszej męskiej szatni.

Żbik wychylił się w fotelu, żeby lepiej widzieć to, co dzieje się za szybą samochodu. Nie słuchał już dziewczyny, bo jego policyjny instynkt kazał skupić się na zadaniu.

- Zatrzymaj się - spokojnym tonem wydał komendę.

Z jednej z mijanych właśnie bram wytoczył się człowiek.

Chwiał się na nogach jak zaprawiony alkoholem. Żbik, przyzwyczajony do takich obrazków, niemal podświadomie wyczuł jakąś niespójność tej sceny. Obraz przemieszczał się za oknem samochodu i za chwilę można go było oglądać w tylnej szybie radiowozu.

- Stój! - wrzasnął do Brony.

Teraz podziałało. Auto stanęło jak wryte, poniewierając pasażerami zaskakująco silnym szarpnięciem.

- Daj spokój pijakowi. - Brona nie widziała w sytuacji nic nadzwyczajnego.

Policjant miał do przebiegnięcia kilka kroków. Zanim jednak pokonał ten

krótki dystans, mężczyzna ześlizgnął się po ścianie budynku i zastygł w nienaturalnej pozie. Żbik szybko taksował przechodnia, szukając potwierdzenia swoich podskórnych odczuć. Z odchylonej poły kurtki wystawała rękojeść noża. Ostrze przecinało powłokę skórną i zanurzone było głęboko w ciele. Teraz dopiero policjant odkrył dramat sytuacji.

Plama krwi szybko przybierała na wielkości, ale jej progres świadczył o tym, że cios zadano dosłownie przed chwilą. W przeciwnym wypadku ofiara byłaby nieporównywalnie bardziej zboczona posoką niż w tym momencie. Ranny mężczyzna był przytomny, ale szok i ból nie pozwalały mu wykonać żadnego gestu. Patrzył dzikim spojrzeniem na policjanta, skarżąc się na los świszczącym oddechem.

- Dzwon po karetkę. - Żbik odwrócił się do partnerki zdumiony, że ta nie towarzyszy mu w kielznaniu sytuacji.

Uspokojony, na ułamek sekundy, widokiem dziewczyny sięgającej po telefon, znów wyostrzył zmysły w reakcji na nieznacznym hałas dobiegający z bramy, na skraju której klęczał. Po obydwu stronach bramy były wejścia na klatkę schodową. Policjant dźwignął się z kolan i podszedł do przeciwległej wnęki.

Wstrzymał oddech, żeby wsłuchać się w ciszę śpiącej kamienicy. Znów usłyszał jakiś szmer. Sięgnął po latarkę przytwierdzoną do pasa i omiół światłem podest na parterze. Drzwi do piwnicy były uchylone, a z nieprzeniknionej ciemności wydobył się kolejny dźwięk. Przypominał szept, ale napięty i nastrożony adrenaliną organizm policjanta mógł kłamliwie przetwarzać bodźce. Drzwi zaskrzypiały, gdy nieco je uchylił.

Przekręcił włącznik światła. Bez skutku. Zanim zrobił pierwszy krok schodami w dół, odwrócił głowę i zobaczył partnerkę kucającą przy rannym. Wyszarpnął z kabury pistolet, odbezpieczył i świecąc sobie pod nogi latarką, ruszył w dół. Co trzy schodki przystawał, nasłuchując. Odnosił wrażenie, że jego oddech robi więcej hałasu niż całe otoczenie. Robiąc pierwszy krok po równej posadzce piwnicy, napotkał pod podeszwą odłamek jakiegoś szkła. Nacisk policyjnego buta spowodował, że ten złowieszczo zachrobotał. To wystarczyło, by cała przestrzeń wypełniła się panicznym jękiem i gwałtownym ruchem pod nogami policjanta. Żbik nerwowo skierował w tym

kierunku snop światła z latarki. Był bliski oddania strzału, ale impuls w mózgu zablokował ruch palca na języku spustowym broni. Dwa szare koty wyrwały schodami w kierunku wyjścia. Policjant odetchnął głęboko. Schował broń do kabury przekonany, że to właśnie futrzaki wywołały hałas słyszany przez niego jeszcze w bramie. Resztę zrobiła pracująca na wysokich obrotach wyobraźnia. Skierował światło latarki w głąb korytarza. Kilka metrów dalej była krzyżówka labiryntu. Pod ścianami stało kilka rupieci. Zawodowa sumienność nie dawała za wygraną. Policjant zrobił jeszcze kilka kroków. Doszedł do załomu korytarza.

Wydawało mu się, że ktoś zszedł po schodach w ślad za nim.

Znów usłyszał lekki szmer. W takim miejscu kotów mogło być więcej, zwłaszcza jak lokatorzy dokarmiają zwierzaki. Mężczyzna odniósł wrażenie, że korytarz stanowi pętlę. Postanowił przejść nią do końca i sprawdzić, gdzie go zaprowadzi.

Zbroczony krwią mężczyzna leżący na skraju bramy nie był sam. Towarzyszyły mu wszystkie lęki tego świata. Nikt jednak nie trzymał go za rękę i nie mówił: „Wyjdiesz z tego stary, będzie dobrze, już nadchodzi pomoc”. Policjantka, która niedawno tu była, teraz zniknęła. Rozpłynęła się w mroku bramy.

Coś ją tam zainteresowało, a może coś ją stąd wypłoszyło. Na pewno nie koszmarna rana na brzuchu. Może więc skarga rannego, wyszeptane przez niego imię. Narkotyczne wizje mieszały się z rzeczywistością. Dobrze, że w tym miksie zdecydowanie przeważały wizje, bo rzeczywistość była nie do zniesienia.

Żbik zrobił trzy kroki do kolejnego zakrętu korytarza. Blask latarki utworzył na ażurowych piwnicznych drzwiach niepokojący cień. Zrobiło się jakby jaśniej. Później pojawiła się postać.

To nie był blask, tylko odbłask od jakiejś metalicznej powierzchni.

- Bolo? - dźwięk tego imienia ugrzązł w gardle policjanta równocześnie z ostrzem noża. Nie było mowy o żadnej reakcji.

Latarka potoczyła się po posadzce. Ciemność piwnicy zrównała się z mrokiem ogarniającym świadomość policjanta. Proporcje oceniane kognitywnie przestały obowiązywać, wszystko przestało być ostre, a punkty

odniesienia znikali jeden po drugim.

Siły odpłynęły z mężczyzny jak płyn z pękniętej butelki. Rozlały się po piwnicznej posadzce razem z ciemną krwią. Gdzieś daleko, jak przez mgłę, usłyszał wycie syren alarmowych. To po tego człowieka w bramie.

II

Czternaście lat później

Hala była pełna ludzi. Wszystkie boksy zajęte i wyposażone w kolorowe, przyciągające uwagę materiały promocyjne. Długopisy, kalendarze, notesiki, foldery, breloczki, zgodnie z nudnym schematem, zalegały blaty tymczasowych kontuarów. Ludzie zajmujący miejsca w boksach prezentowali się jako kompetentni, mili i pełni entuzjazmu. Mniejszy entuzjazm towarzyszył odwiedzającym boksy, objuczonym gadżetami, bezrobotnym interesantom. Scenariusz targów pracy od lat jest podobny. Imprezy cieszą się niesłabnącym zainteresowaniem zarówno wśród pracodawców, jak też osób poszukujących zatrudnienia. Organizator wydaje kasę w poczuciu misji i dobrze spełnionego obowiązku. Problem zawsze polega na tym, że oczekiwania jednych i drugich mijają się, nie dając szansy na znalezienie punktu wspólnego.

Chucky zawsze odnosiła się do tego rodzaju pomysłów sceptycznie. Właściwie, to tylko okazywała sceptycyzm, a tak naprawdę odnosiła się wrogo. Ślęczenie na stoisku Komendy Stołecznej Policji uważała za stratę czasu i zajęcie niegodne jej kwalifikacji i przygotowania zawodowego. Ostatecznie, skończyła dwa kierunki studiów, nie licząc szkoły oficerskiej w Szczytnie. To dawało jej asumpt do kategorycznych stwierdzeń w sprawach zarządzania zasobami ludzkimi. Nie spotkała jeszcze żadnej osoby, która znalazłaby pracę na takich targach, ani też pracodawcy, który przy tej okazji upolowałby jelenia na swoją jałową ofertę. Patrząc na te sprzeczne oczekiwania uczestników mitingu, przypomniał jej się dowcip, który słyszała z ust swojego wujka bez mała tysiąc razy przy okazji rodzinnych uroczystości. Ruscy budowali drogę. Rozpoczęli równocześnie w dwóch miastach oddalonych od siebie o setki kilometrów. Inżynierowie wszystko idealnie wyliczyli, ale wątpliwości co do precyzji wykonania zawsze istniały. Aby uspokoić sumienia, inżynierowie mówili, że jak się w połowie drogi te

budowy spotkają, to budżet szosa, a jak się nie spotkają, budżet awtostrada. W przypadku targów pracy Chucky stosowała inną metaforę. Widziała źle zestawioną muszkę karabinu ze szczerbinką. Przy takim układzie trafienie do celu jest zwyczajnie niemożliwe.

Dziewczyna obserwowała kątem oka swoją szefową, nadkomisarz Mirę Kurkowską, kobietę w wieku trolejbusowym, która pomimo swoich pięćdziesięciu kilku lat życia i niewiele mniej służby, z niesłabnącym zapałem namawiała młodych ludzi do wstąpienia do policji. Nie obchodziło jej, że rozmawia z chłopakiem, który ma na nosie okulary za szklami o grubości denek butelek od szampana i nie ma szans na komisji lekarskiej. Nie widziała też kul w rękach rachitycznej dziewczyny, bo rekrutacja do policji to był jej świat, do którego zapraszała wszystkich napotkanych na swojej drodze. Mirę dzielnie wspierał pan Teodor, cywil, który ukrywał swoje racjonalne, wynikające z wielu lat doświadczeń, myślenie, eksponując udawany, ale użyteczny dla świętego spokoju, animusz, w realizowaniu polityki kadrowej policji. Chucky traktowała obserwowanie otoczenia jak część zawodowych obowiązków.

Niechęć do pobytu w tym miejscu narastała w młodej policjantce proporcjonalnie do odbytych rozmów z potencjalnymi kandydatami. Już od jakiegoś czasu próbowała przekonać przełożonych do zastosowania nowocześniejszych form rekrutacji.

Uważała, że zamiast takiej chałupniczej roboty, policję powinno być stać na efektowne reklamówki emitowane w Internecie. Odniosłyby zapewne lepszy skutek niż to całe stoisko zawałone tanimi ulotkami z mało chwytliwymi hasłami. Poprzednia szefowa komórki doboru zgadzała się z nią całkowicie, ale po jej odejściu wszystkie plany, uwzględniające nowoczesność, upadły jak znokautowany bokser.

Zza przegrody oddzielającej stoiska wyłoniła się dziewczyna z plikiem zebranych w innych boksach prospektów pod pachą.

- Szukacie państwo politologów? - W oczach młodej kobiety malowało się zniechęcenie i sceptycyzm.

- Szukamy policjantów. - Dla Miry nie było pustych przebiegów. Nie pytając, wetknęła dziewczynie w dłoń ulotkę z telefonami do policyjnego

wydziału kadr.

- A politologów, to nie... - marudziła pod nosem bezrobotna.

„A może do policji...” trajlowały przechodzące obok studentki, uznając taką ofertę za dobry dowcip. Może skłaniało je do takiego myślenia bogate CV, w którym dominowały pozycje: bar i hostessa.

Smutna bezrobotna odeszła ze spuszczoneym wzrokiem. Jej miejsce zajął szczawik w garniturze z muchą pod brodą. Bez skrupowania usiadł naprzeciwko Chucky, stawiając sobie na kolanach wielką skórzaną aktówkę.

- Macie państwo jakąś ofertę dla prawników? - Akcent kładziony na każdym słowie miał sugerować, że właśnie tego wystawcę kopnął zaszczyt rozmowy z prawdziwym profesjonalistą.

- Ma pan na myśli siebie? - Chucky zagryzła zęby. Dysonans pomiędzy gadką a wizerunkiem wzbudził jej podejrzliwość.

- Tak. - Chłopak poprawił się na krześle.

- Pan jest prawnikiem? - Rekruterka chciała być miła, żeby nie narazić się na docinki szefowej.

- Jeszcze studiuję. - Kandydat nie rezygnował z wyuczonego akcentu.

- Taaak, a na którym roku?

- Na pierwszym.

Mira i Teodor jak na komendę spojrzeli na chłopaka. Tym gestem od razu zdradzili się, że pomimo swoich zajęć przysłuchiwali się rozmowie Chucky. Młoda policjantka poczuła ich zrozumienie dla swoich męczących zabiegów na tym przypadku.

- Niech pan jeszcze postudiuje trochę - próbowała zakończyć rozmowę.

- Tak myślałem. - Student, nie kryjąc focha, podniósł się z krzesła. - Pusta oferta.

Chucky zerknęła na Mirę. W jej oczach dostrzegła przyzwolenie na drobną uszczypliwość.

- Nie oferta jest pusta, tylko pan niepełny. - Machnęła dłonią w geście pożegnania. - Z wykształcenia oczywiście.

Rozmowa z niepełnym prawnikiem po raz kolejny przypominała jej, jak wiele do życzenia pozostawia mentalność ludzi uprawiających bądź zamierzających uprawiać ten zawód. Nieprzypadkowo jej bezwładne myśli

podryfowały w tym kierunku. Nie wiadomo dlaczego miała w swoim otoczeniu kilku prawników, a z jednym prokuratorem spotykała się nawet regularnie. Nie darzyła go żadnym ciepłym uczuciem i nie cierpiała jego towarzystwa poza łóżkiem, ale jego wyobraźnia seksualna dawała podstawy do stwierdzenia, że się opłaci. Poza tym facet był użyteczny w kilku innych sprawach, a za okazywanie odrobiny zainteresowania jego wyuzdanymi skłonnościami, zrobiłby absolutnie wszystko. Trzymała go na dystans, ale on, jak wierny piesek łąsił się i czekał na smakowity kąsek, jaki od czasu do czasu mu fundowała.

Chucky z zainteresowaniem spojrzała na młodego przystojnego chłopaka, który jednak z całkowitą obojętnością przeszedł obok policyjnego stoiska. Przypomniła sobie kilku pierwszorzędných kandydatów, których miała w opracowaniu, z nimi fajnie się współpracowało.

- Będziemy się pomału zwijać - zadysponowała pani nadkomisarz.

- Super, bo już mi się skóra na dupie pomarszczyła od tej cierpkiej atmosfery - ożywiła się Chucky.

- Ty, Kaśka, jak będziesz kierowniczką, to sobie wymyślaj te swoje menedżing pipel, teraz jesteś czeladnikiem i masz robić, co ci każą.

- Przecież robię.

- To co byś jeszcze więcej chciała?

Ostatnie zdanie musiało należeć do Miry, nieważne jak głupio by brzmiało.

III



Ścieżka wiła się pomiędzy wysokimi krzewami, których wegetacja przybierała na intensywności w pobliżu skraju lasu. Biegacz przedzierający się pomiędzy naturalnymi przeszkodami był zadowolony z takiego wymodelowania terenu i świadomie wybierał trasę obfitującą w krosowe urozmaicenia. Celem jego treningu było zrealizowanie hasła: czym gorzej, tym lepiej.

Przebieżka, taka jak ta, stanowiła zaledwie preludium do prawdziwego treningu, ale na te prawdziwe wyzwania nie mógł pozwalać sobie codziennie. W programie treningowym ważne były również te lżejsze elementy, chociaż i tak za każdym razem maksymalnie je komplikował, żeby podbić trudność. Przepełniona koszulka świadczyła niezaprzeczalnie, że sportowiec daje z siebie wszystko, a wysiłek, jaki wkłada w ćwiczenia, sprawia mu przyjemność.

Jakby na potwierdzenie tych obserwacji chłopak uchwycił się nisko wyrastającej gałęzi wiekowego buka i sprężyście podciągnął się kilka razy. Następnie wykonał markowane ciosy bokerskie i wymachy nogami, po czym kontynuował bieg w średnim tempie.

Pomiędzy drzewami przebijał już obraz osiedla i hałas wielkomiejskiej dzielnicy. Witek Chaus wybiegł z lasu i zwolnił nieco intensywność treningu. Teren na skraju Lasu Kabackiego, który właśnie przemierzał, służył przed laty za śmietnik dla wielu okolicznych budów. Stąd wśród kęp traw zalegające odłamki gruzu, cegły i inne budowlane śmieci. W takich warunkach łatwo było o kontuzję, więc chłopak rozsądnie przeszedł do marszobiegu. Z przewagą marszu.

Ścieżką wśród wysokich traw dotarł do ruchliwej ulicy. Nigdy nie koncentrował się na nazwach, bo uważał, że to zbyt mocno wiąże człowieka z miejscem. To zupełnie tak jak z ludźmi. Dopóki nie wiesz, jak się ktoś nazywa, to uważasz, że nic cię z nim nie łączy. Witek nie był pewien, czy

chce na stałe wiązać się z Ursynowem, więc nie pogłębiał wiedzy o tej dzielnicy. Mieszkało się tutaj wygodnie, ale jego plany życiowe zakładały dowolność w wyborze miejsca na ziemi.

Popołudniowe godziny generowały ruch uliczny. Chłopak źle obliczył czas treningu i teraz chciał już być jak najszybciej w domu. Nie lubił szwendać się w spoconym dresie pomiędzy ludźmi wracającymi z pracy. Przystanek autobusowy, który właśnie mijał, gromadził w swoim obrębie kilka osób. Wszyscy byli jakoś dziwnie stłoczeni po jednej stronie wiaty. Drugą część przystanku opanowało dwóch rozrabiaków. Jeden właśnie kończył sprayem jakieś esyfloresy na wsporniku zadaszania, a drugi z puszką piwa przyspawaną do ust kiwał się niebezpiecznie na krawężniku. Witek zatrzymał się ciekawy rozwoju sytuacji. Czuł się raczej obserwatorem niż uczestnikiem tej sytuacji, ale jego wścibskie spojrzenie przykuło uwagę jednego z chłystków. Artysta od puszki z farbą próbował odstraszyć intruza tępym spojrzeniem. Witek nie zwrócił na to uwagi, więc jednym agresywnym susem znalazł się o krok od Witka.

- Co się, kurwa, gapisz? - wybełkotał. Widocznie puszka z farbą nie była w tym dniu jedyną, którą trzymał w ręku. - Spierdalaj.

Witek napiął mięśnie, ale wytłumił impuls, dopuszczając do głosu funkcję „human”.

- Co się gapisz? Spierdalaj! - powtórzył jak echo, konstatuując kawał o żabie i facecie tonącym w bagnie.

- Przecież ja tu mieszkam.

- Mieszkasz? - Bandzior chuchnął biegaczowi w twarz odorem przetrawionego alkoholu.

- Tak powiedziała żaba. - Witek ironizował, ale czuł nieuchronność rozwiązania siłowego.

- Te, żaba, wpierdol chcesz? - Hejnalista od puszki z piwem włączył się do wymiany zdań. W tym momencie drugi z nygusów wykonał gest, jakby chciał prysnąć chłopakowi farbą w twarz.

Witek zrobił unik, jednocześnie podcinając napastnika w stawie kolanowym. Wykorzystując chwilową bezwładność rywala, zaatakował rękę uzbrojoną w pojemnik z farbą, nie dając tamtemu szans na wykonanie

najmniejszego ruchu. Puszka z farbą wyleciała na metr w górę, a artysta wylądował na chodniku z boleśnie wykręconym barkiem.

Zszokowany piwosz dał wyraz swojemu zmieszaniu, sięgając po telefon. Do bandziora nie przyszedł żaden ważny esemes.

Taki odruch zazwyczaj maskuje trudność w odnalezieniu się w danej sytuacji społecznej. Kolesiowi najwidoczniej było to w tym momencie potrzebne. Witek przez moment myślał, że tamten zadzwoni po kumpli z dzielnicy, ale nie, chłoptaś tylko wymachiwał ręką uzbrojoną w komórkę.

- Już nie żyjesz, kurwa, dograłeś się - zapiszczał jak eunuch. - Jeszcze cię trafię, gnoju.

- Przestań się wydurniać i lepiej mi pomóż. - Pobity artysta stękał, jakby nagle ktoś dorzucił mu na kark z pięćdziesiąt lat.

Pot wystąpił mu na czoło, a grymas bólu nie znikał z przepitej gęby. Witek otwartą dłońią pacnął w potylicę leżącego i odwrócił się na pięcie. Po kilku krokach zatrzymał się, robiąc kilka przysiadów, chcąc w ten sposób rozluźnić ciało. Ludzie na przystanku nadspodziewanie intensywnie zajęli się własnymi sprawami. Chłopak wyglądający na studenta przeglądał coś w smartfonie, pani w żakiecie postanowiła zrobić wreszcie porządek w torebce, inni zainteresowali się wystrojem balkonów w bloku po przeciwnej stronie ulicy. Młoda, kilkunastoletnia dziewczynka podbiegła kilka kroków za Witkiem.

- Zadzwoniłam pod 112, ale nie doczekałam się połączenia, a pan już skończył.

Chłopak zbył łaskę milczeniem, tak jakby oszczędzał energię na ważniejsze sprawy niż mówienie i truchcikiem ruszył w kierunku swojego domu.

Mały niedoczas spowodowany incydentem na ulicy nie wpłynął na rytuały Witka po skończonym treningu. Bezpośrednio po wejściu do mieszkania sięgnął do lodówki po samodzielnie przygotowywany witaminizowany koktajl zawierający owoce i odżywki białkowe. Z bidonem pełnym zdrówka poszedł pod prysznic. Z satysfakcją obejrzał w lustrze napięte mięśnie. Gładki, śniady tors nasuwał skojarzenie z kulturystami prezentującymi muskulaturę na pokazach, ale jego rzeźba nie miała wiele wspólnego z wypakowaniem sterydami. To była raczej fizjonomia sprężystego, wyćwiczonego, ekstremalnego sportowca. Smagła twarz, gęste czarne włosy i niezbyt

intensywny zarost, a do tego ciemne, ładnie oprawione oczy sprawiały, że jego powierzchowność była określana jako budząca zaufanie.

Naprzemienny zimny i ciepły tusz sprawiał, że chłopak mógł przebiec kolejne kilkanaście kilometrów. Po wyjściu z łazienki poczuł głód. Wstawił do mikrofalówki przywiezione od mamy gołąbki i w oczekiwaniu na sygnał oznajmiający, że danie jest gotowe, sięgnął po saksofon. Instrument był jego najlepszym przyjacielem i towarzyszem na samotnie spędzane chwile. Dmuchał kilka dźwięków, a później zagrał parę melodyjnych taktów. Zazwyczaj wracał z treningu wcześniej, więc jego granie nie przeszkadzało sąsiadom, ale teraz lemingi pewnie powracały już z pracy i szukały spokoju w swoich obciążonych kredytami norkach. Z pietyzmem odstawił blaszaka na specjalny statyw. Sygnał z mikrofalówki zbiegł się niemal idealnie z dzwonkiem do drzwi. Witek spojrzał odruchowo na zegar ścienny, na którym wskazówką była noga karateki wykonującego kopnięcie yoko keage. O tej porze nie spodziewał się nikogo znajomego. Otworzył drzwi. W progu stał policjant z dystynkcjami sierżanta.

- Pan Witold Chaus? - spytał, zaciągając po wschodniemu.

- Tak.

- No i co pan najlepszego narobił? - wschodni zaśpiew był coraz bardziej słyszalny, zwłaszcza dla wrażliwego na dźwięki, muzycznego ucha.

- O co chodzi? - Witek nie ukrywał zaskoczenia. Bójka na ulicy nie mogła spowodować tak szybkiej identyfikacji jego osoby.

Mundurowy niewprawnie walczył z zamkiem błyskawicznym przy grubej aktówce. Nie wiadomo czy próbował ją otworzyć, czy też zamknąć. Wreszcie nerwowo szarpnął za uchwyt suwaka, urywając przywieszkę w formie szyszki chmielu, zapewne pamiątka z pobytu na krasnostawskim święcie piwa.

- Pan stara się o przyjęcie do policji? - Policjant, tuszując swoją niezręczność, schował zerwany breloczek do kieszeni i otworzył na oścież niepokorną aktówkę.

- Tak. - Gospodarz ustąpił miejsca, żeby niezdamny gość mógł przekroczyć próg mieszkania.

- Jestem dzielnicowym z tego rewiru. Sierżant Pastuszka.

- Mundurowy pstryknął palcem w daszek policyjnej bejsbolówki, co miało

oznaczać salutowanie. - Właściwie, to zastępuję kolegę i nie bardzo mam czas, ale w tych sprawach strasznie nas cisną. Podobno ciągle brakuje policjantów. Wie pan, jak to jest, rynek pracy.

- Pan pewnie wie lepiej. - Oszczędność w słowach leżała w naturze chłopaka, nigdy nie był zbyt wylewny. I chociaż przez wielu ta jego cecha odbierana była jako ponuractwo, on uważał, że jest po prostu konkretny.

- Mieszka pan sam? - Dzielnicowy rozglądał się po kawalerce.

- Tak.

- I chce pan do policji? - gawędziarski ton nie potwierdzał wcześniejszej deklaracji policjanta o braku czasu.

- Już pan pytał.

Sierżant zatrzymał wzrok na Witku. Prawdopodobnie i on uznał małomówność rozmówcy za arogancję. Nie okazał jednak swojej dezaprobaty dla postawy chłopaka, więc może to było tylko złudzenie.

- Ja na pana miejscu bym się nie pchał. - Zerknął w notatki.

- Widzę, że ma pan studia skończone. Urodzony w Warszawie.

Młody, zdolny... - zawiesił głos, jakby szukając zgubionego wątku. - A to robota dla słoików. Ściana wschodnia. Tam panuje bezrobocie, to idą gdziekolwiek. Wie pan, rynek pracy - powtórzył kolejny raz banał zasłyszany nie wiadomo gdzie.

- Pan pewnie wie lepiej. - Witkowi nie chciało się szukać w głowie innego stwierdzenia. Dzielnicowy znów spojrzał na kandydata. Tym razem z podejrzliwością, czy aby tamten nie próbuje sobie z niego kpić. Nie dostrzegł jednak nic podejrzanego w twarzy Witka, bo przeniósł wzrok na instrument i zapytał:

- Gra pan?

- Gram.

- O. Tym się zająć. - Dzielnicowy już nabierał powietrza, żeby kontynuować wątek, ale Witek wszedł mu w słowo.

- Gram dla siebie, a praca w policji jest dla innych.

- Ok. Idealista. - Sierżant głośno wypuścił powietrze i zanurzył nos w swoich papierach.

- To źle?

- Nie, dlaczego. Ważne, by zachować umiar. No dobrze.

- Dzielnicowy wreszcie skupił się na celu wizyty. - Wywiad środowiskowy - przeliterował. - Patologii nie stwierdzam, elementu nie widzę, marginesu nie ustaliłem. Do pana matki w Otwocku ankietę pojedzie przeprowadzić tamtejszy dzielnicowy. Notatkę przekażę do dalszego wykorzystania. To chyba wszystko. - Zamknął z trzaskiem aktówkę.

Przy drzwiach policjant zatrzymał się gwałtownie i puknął w czoło. Przypominało to gest słynnego porucznika Columbo, bohatera starych amerykańskich kryminałów. On także opóźniał wyjście, czym doprowadzał do pasji swoich adwersarzy.

- Źródło utrzymania. Byłbym zapomniał. Pracuje pan gdzieś obecnie? - Dzielnicowy znów podjął walkę z eklerem przy aktówce.

- Tak.

- Gdzie? Jeśli wolno spytać?

- W firmie ochroniarskiej.

- Opłaca się panu?

- Pieniądze to nie wszystko. Nieregularne godziny i nie trzeba zbyt dużo gadać.

- Pieniądze to nie wszystko - powtórzył mundurowy. - No tak, chciałbym się o tym przekonać. - Wyszedł wyraźnie zmarkotniały ostatnią refleksją.

Witek został sam. Kolejny etap procedury, na którą się zdecydował, miał za sobą.

IV



Ostry zakręt i wjazd na most nad Pilicą zawsze wymagał od kierowców szczególnej uwagi. Kilka remontów tego odcinka drogi miało za zadanie poprawę bezpieczeństwa, ale żadna z tych inwestycji nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Na tych, co nie znali niebezpieczeństw czyhających na tym łuku drogi, czekały niespodzianki przyprawiające o ciarki na całym ciele. Wystarczyło trochę deszczu i kilka kilometrów więcej niż dopuszczalna prędkość, a opanowanie samochodu stawało się trudne. Jeżeli dodamy do tego napięte nerwy i rozkojarzenie spowodowane gadką przez komórkę, katastrofa gotowa.

Pomimo złej pogody i pewnego dystansu od centrum miejscowości, gapiów zebrano się całkiem sporo. Wycie syren policyjnych i innych służb zwabiło ciekawskich pozbawianych na co dzień atrakcji odbiegających od zasnutej nudą i monotonią życia miasteczka. Samochody, wstrzymane wypadkiem, stojące w ciasnym korku po jednej i drugiej stronie mostu, policjanci z drogówki próbowali kierować na objazdy. Na skraju przeprawy zaparkowało kilka służbowych aut, oznakowanych i cywilnych.

Pozornie chaotyczne działania ludzi krzątających się po terenie odgrodzonym taśmą z napisem POLICJA, przynosiły efekty i posuwały akcję ratowniczą naprzód. Dźwig ustawiony nad brzegiem rzeki zawył jak bywalec siłowni przy dziesiątym powtórzeniu ćwiczenia, i napięte liny uniosły nad powierzchnię wody oblepiony wodorostami samochód. Ktoś z tłumu rzucił niezbyt mądrą uwagę o psach uczących się pływać. Pośród wodnego zielska i ociekającego mułu można było rozpoznać malowanie policyjnego radiowozu. Wewnątrz wraku nie było nikogo, zgromadzeni gapie spodziewali się tego, bo dwóch policjantów w ociekających wodą mundurach było dobrze widocznych w otwartych drzwiach karetki. Już wcześniej kilka kpiarskich tekstów dotyczących mokrej gliny przebiło się przez zgiełk towarzyszący działaniom

na miejscu wypadku.

Miejscowy zastępca komendanta i asystujące mu dwie osoby stworzyły małe kółeczko, izolując się tym samym od głównego nurtu wydarzeń. Brzuchaty podinspektor z pionu prewencji i energiczna, elegancka babeczka ubrana w dopasowany do ładnej figury żakiet, pomimo prowadzonej na osobności rozmowy byli bardzo zainteresowani tym, co działo się dookoła nich.

- Trzymacie ich tak dwie godziny? - zauważyła z troską w głosie kobieta, wskazując na przemoczonych policjantów.

- Weźcie ich gdzieś do ciepła, bo się poprzeziębają. - Zgrabnym ruchem odrzuciła burzę rudych włosów. Jej cera i oprawa oczu wskazywały jednak, że ognisty odcień fryzury został spreparowany u fryzjera. Zapewne wybrała tę dopasowaną do temperamentu barwę, hołdując teorii, że rudy to nie kolor, lecz charakter.

- Niech ich szlag trafi. - Złość stojącego obok oficera bardziej przypominała irytację Jasia Fasoli, niż wkurwienie starego gliny. - Jedziemy sto kilometrów w środku weekendu, bo im się amatorów zachciało.

- Zaraz ich zabiorą do szpitala, ale czekali na waszą decyzję. - Komendant z Nowego Miasta starał się zapanować nad działaniami służb ratowniczych. - Chcecie od nich coś jeszcze?

Podinspektor pokręcił przecząco głową.

- To, czego się dowiedziałem, wystarczy mi aż nad to. Później z nimi sobie pogadam.

Komendant spojrzał na kobietę.

- A pani inspektor?

Płomienna policjantka w cywilnym ubraniu zapaliła papierosa i zwróciła się do brzuchacza, ignorując pytanie gospodarza terenu.

- Beknie pan za brak nadzoru, panie inspektorze. - Wypuściła dym nosem, patrząc, jak za niedoszłymi topielcami zamykają się drzwi karetki. - To pewne jak sraka po niedojrzałych jabłkach.

- Przy takich debilach trzeba mieć oczy dookoła głowy - żalił się oficer, jakby oczekując politowania.

- Powinien pan je mieć nawet dookoła dupy. Teraz to się panu przyda. -

Rozmówczyni nie okazała współczucia.

- A oni? - spytał, jakby bał się, że cała wina zostanie przypisana wyłącznie jemu.

- Do ukarania. Mamy tutaj taki zbieg przewinień, że można z tego wyklepać nawet wydalenie ze służby. - Zdeptała niedopałek butem. - Z drugiej strony szkoda takich kozaków.

- To idioci, strach z takimi pracować - zachnął się gruby.

Podjechał kolejny samochód. Miejscowy prokurator wysiadł zza kierownicy i postawił kołnierz lekkiej kurtki. Z rękami w kieszeniach przeszedł wzdłuż rzędu samochodów i wszedł na most. Lekki wietrzyk rozwiał mu zaczeskę na czubku głowy, odsłaniając połyskującą łysinę. Przechylił się przez barierkę, niezgrabnie wypinając pośladki. Ta komiczna poza zwróciła uwagę pani inspektor zapalającej kolejnego chesterfielda. Rozpędziła dłonią kłęb dymu papierosowego, który sama wydmuchała, i gestem głowy wskazała brzuchatemu oficerowi ślamazarnego prawnika.

Przedstawiciel prokuratury, ściągnięty wzrokiem, podszedł do funkcjonariuszy i przywitał się z obojgiem. Ręce miał spocone i zimne, co w natłoku skojarzeń kłębiących się w głowie kobiety, nieprzyjemnie korelowało z roznoszącym się wokoło zapachem mułu rzeczno.

- Dzień dobry, pani Broneczko - zwrócił się do rudej policjantki.

- Panie prokuratorze! Znów się spotykamy. To zastępca dowódcy OP - przedstawiła podinspektora.

- Daj pani spokój, przy tych waszych kadrach to pewnie nie ostatnie spotkanie. Może to kwestia rekrutacji, może kasy, może szkolenia, a może po prostu takie nastały czasy.

Brona, w obawie przed rozwinięciem jałowego wywodu, wstrzeliła się w słowo przedstawicielowi prokuratury.

- I jak? Rusza pan ze swoim śledztwem czy czeka pan na wynik naszego postępowania?

- Pani inspektor, BSW ma pierwszeństwo. Nie będę wchodził w paradę zacnym kolegom i koleżankom. - Skłonił się szarmancko, ale policjantce jawił się w tym geście jakoś obleśnie.

- A co się właściwie stało? Ustali liście coś?

- To ludzie pana dowódcy - wskazała podinspektora, który z trudem przełknął ślinę. Ruch jego grdyki był tak wyraźny, jakby tkwił mu w gardle *globus histericus*.

- Sierzanci Brzuska i Wlazło. Wykazali się ułańską fantazją. Jeden z tych chłopców pokłócił się z dziewczyną, więc postanowił rozmówić się z nią osobiście. Jako że laska mieszka w Krynicy, po służbie podprowadzili radiowóz ze służbowego parkingu i ruszyli w Polskę. Po drodze namierzył ich lokalny patrol i uznał za przebierańców.

- Numery taktyczne na radiowozie im nie pasowały - wtrącił dowódca z OP. Jego irytacja, gdyby nie wywołana naprawdę poważną komplikacją służbową, mogłaby posłużyć za inspirację niejednemu twórcy komedii. Musiała to być cecha charakterystyczna tego faceta, bo pod władni, dla swoich potrzeb, ochrzcili go Guccio.

- Chłopaki nie chcieli się poddać bez walki, więc dodali gazu - kontynuowała policjantka. - Niestety, kierowca nie był Robertem Kubicą, a może był, więc wylądowali tutaj. - Kiwnęła głową w kierunku rzeki.

Dźwig właśnie ustawił radiowóz na trawiastym poboczu, gdzie otoczyło go kilku policjantów, z których, pożądati w tej sytuacji technicy, stanowili mniejszość.

- Pani Broneczko, radźcie sobie z tym na razie sami - odezwał się po chwili prokurator. - Nie chcę narażać swoich przełożonych na ryzyko kleksa w gaciach. - Na twarzy prawnika pojawił się szelmowski uśmieszek, który miał znaczyć nie wiadomo co. Zdziwione miny oficerów skłoniły go do wyjaśnienia kwestii. - Przecież posrają się ze śmiechu, jak usłyszą tę romantyczną historię.

- No tak, a my musimy mieć mocne zwieracze - podsumowała Brona.



Policja dopiero od niedawna dysponuje pomieszczeniami, w których można nie tylko komfortowo pracować, ale też bez specjalnego wstydu przyjąć interesanta lub inną osobę z zewnątrz. Chwilowo minęły czasy, gdy policjanci z zazdrością patrzyli na rodzime seriale i ich bohaterów, którzy w szklanych biurach, przy pomocy ultranowoczesnych, szumiących aparatów potrafili wykryć każdą zbrodnię. Porównując filmową fabułę z szarością codziennej służby, z niesmakiem konstatowali, że jedynym szumiącym urządzeniem w ich komisariacie jest zepsuta spłuczka w kiblu. Z czasem życie dogoniło serialową rzeczywistość i zapewne pozwoliłoby gliniarzom poczuć się jak gwiazdy, gdyby nie realia służby. Policjanci z każdego pionu spotykają się ze swoimi specyficznymi problemami. I zapewne niejeden rzuciłby tę robotę w diabły, ale odkładając decyzję do następnego razu, uświadamiał sobie, że przecież trzyma go przy tej psiej służbie coś więcej niż tylko stały etat. Każdy nazywał to coś inaczej, ale gdyby zebrać wszystkie uzasadnienia, najczęściej artykułowane przy solidnej wódce, okazałoby się, że wszystkim chodzi o to samo.

Dział rekrutacji Komendy Stołecznej Policji to kompleks biur, w których grilluje się kandydatów do służby. Nowoczesny wystrój wewnątrz w formie przeszklonych gabinetów podkreśla atmosferę profesjonalizmu i trafności działań. Jak intensywne są to procesy, mogą świadczyć liczby przytaczane na odprawach przez szefową tego działu. Łatwo je zapamiętać, bo procedurę kwalifikacyjną przechodzi jedna dziesiąta kandydatów, a ci gorsi z matematyki tłumaczą sobie to w ten sposób, że z drużyny piłkarskiej do policji przyjmują tylko bramkarza.

Mniej więcej. Czy rzeczywiście do formacji dostają się najlepsi, tego nikt nie stwierdził, ponieważ nikt nie interesuje się tymi, którzy zostali odrzuceni. Gdyby zająć się grupą niechcianych, można by dysponować konkretnym

materiałem porównawczym. A tak, procedury każą wierzyć tym przyjętym, że są najlepsi.

Podkomisarz Katarzyna Miller, nazywana za swoimi plecami Chucky, właśnie odłożyła słuchawkę telefonu. Spojrzała na Kamcię, koleżankę niedoli zajmującą sąsiednie biurko, bo ona bez zbędnych słów rozumiała, co czuje kumpela po kolejnej rozmowie z kandydatem. Pomimo doskonałej komunikacji pozawerbalnej, młoda podkomisarz postanowiła podzielić się na forum biura najnowszą skuchą wygenerowaną przez reflektanta do zawodu policjanta.

- Ja się zabiję własną pięścią. Czy jest szansa na poprawę warunków naszej pracy?

- Nowy kwiatek do bukietu? Mów, zniesiemy wszystko - Kamcia sięgnęła po notes, jakby chciała zapisać najnowszy blamaż.

- Facet robi komisję i na obiegówce ma ginekologa. On się pyta, czy to jego też dotyczy? Ja nie wiem, gdzie miałby mu zajrzeć ten lekarz? - Chucky machinalnie podciągnęła czarną, mundurową spódnicę do połowy ud.

- Może cię podrywał? - kalkulowała Kamila. - No wiesz, zagajał, zarzucał przynętę.

- Przynętę mówisz... W takim razie słabego ma robaka.

Poza tym był śmiertelnie poważny, jak przystało na kogoś, kto ma magistrat z marketingu i zarządzania broniony na uczelni w Rykach.

Dziewczyna uznała temat za zamknięty, sięgnęła po kolejny plik dokumentów charakteryzujących kolejnego kandydata.

Zdażyła jednak otworzyć tylko okładkę segregatora, gdy dalsze czynności przerwało jej pojawienie się w drzwiach kolejnego interesanta.

- Co pan chciał? - spytała retorycznie, bowiem cel jego wizyty był łatwy do przewidzenia, a dla niej wręcz oczywisty.

- Napisać podanie chciałem, ma pani jakąś kartkę?

Chucky przez chwilę zastanawiała się, czy nie odesłać chłopaka do wszystkich diabłów, ponieważ przewidywała, że nie ma przy sobie kompletu potrzebnych dokumentów, a tym samym nie spełnia warunków do złożenia aplikacji. Była jednak w nastroju, żeby zabawić się kosztem niezorientowanego łebka i zobaczyć, co z tego wyniknie. Wyjęła kartkę z

podajnika drukarki i podała gościowi. Ten odebrał arkusik papieru, ale po ułamkowej, licząc w sekundach, chwili zastanowienia, cofnął rękę i dał wyraz kolejnemu roszczeniu:

- Nie ma pani w kratkę, bo na takiej ciężko się pisze.

Rekruterka spojrzała na chłopaka intensywniejszym wzrokiem. Ich dialog już zdążył przykuć uwagę Kamci, ale ku jej zdziwieniu koleżanka zgięła się w pół i wygrzebała spod blatu biurka kartkę w kratkę. Chłopak, zadowolony ze swojej skuteczności, zamknął za sobą drzwi.

- Dzień dobroci dla niepełnosprytnych? - spytała Kama.

- Show must go on. - Mrugnęła znacząco okiem Chucky.

Równiutko z postawieniem kropki w wypowiedzianym przez dziewczynę zdaniu drzwi ponownie się otworzyły.

- Może mi pani pożyczyć długopis?

Podkomisarz sięgnęła do kubeczka przed sobą i wyjęła długopis. Chłopak otaksował wzrokiem rękę policjantki.

- Nie ma pani zwykłego, bo ten jest żelowy?

- Może mam za pana to napisać? - ofuknęła go.

Postawa tego człowieka pomału zamieniała jej eksperyment w koszmar. Takiego obrotu sprawy nawet ona się nie spodziewała.

- Chciałem tylko, żeby było ładnie - odparł.

Naiwność tego usprawiedliwienia jeszcze bardziej zmieszała odczucia policjantki.

- Niech pan się postara, żeby było też mądrze.

Chłopak zamknął za sobą drzwi, ale prawdopodobnie nie oderwał ręki od klamki, bo znów znalazł się w pokoju.

- Ma pani może wzór takiego podania?

Chucky nabrała powietrza w płuca, ale widok duszącej się ze śmiechu koleżanki powstrzymał ją przed wybuchem gniewu.

Ostatecznie program zarządzania jakością wprowadzany przez kolejnych komendantów wymagał eleganckiego traktowania petentów.

- Wzór wywieszony jest w poczekalni, tam też ma pan stół, na którym można wygodnie i ładnie napisać, co się chce.

Po wyjściu nieudacznego chłopaka dziewczyna pstryknęła włącznik

czajnika. Uznała, że zasłużyła na kolejną filiżankę kawy, bo zdała egzamin z cierpliwości. W dawnych japońskich szkołach sztuk walki wzmacniano tę cechę, rozsypując trociny na dziedzińcu i każąc adeptom zamiatać podwórko. Gdy kończyli mozolną robotę, tajemnicza ręka znów rozsypywała trociny na wietrze. Przeżyta przed chwilą interakcja była poważniejszą próbą niż jakieg tam trociny.

- Przepraszam, we wzorze jest napisane: prawo jazdy kategorii B, a ja mam tylko A, to co mam wpisać?

Rzeczywiście zamiatanie trocin to rozkoszna rozrywka, pomyślała Chucky, zanim poinstruowała kandydata.

- We wzorze jest napisane: Jan Kowalski, a pan co napisał?

- Jan Kowalski.

- Naprawdę? - Rekruterka była tak zaskoczona, że słowa ugrzęzły jej w gardle. Czajnik pyknął. Woda była wrząca.

- Ja tak się nazywam. - Chłopak zauważył, że zrobił wrażenie. Może dla niego to był nie pierwszy taki numer.

- Naprawdę? - powtórzyła poza kontrolą młoda policjantka.

- Tak.

- Proszę dowód osobisty. - Słowa zabrzmiały niepewnie, ale dziewczyna już planowała, co zrobi z chłopakiem, jeżeli on pajacuje.

Rzuciła okiem na podany dokument, później upewniła się co do zgodności zdjęcia z idiotycznie uśmiechniętą gębą kandydata stojącego przed nią.

- Niech pan wpisze: kategoria A.

- Ok, wiem, o co chodzi. - Jan Kowalski wycofał się z pokoju, dokładnie zamykając za sobą drzwi. Chucky szybko otrząsnęła się z szoku. Nie była dziewczyną, którą łatwo zbić z tropu. Swojej pewności siebie, a także niektórym cechom fizycznym zawdzięczała przezwisko Chucky. Koledzy z wydziału, których kolejne zaloty potraktowała z lekką kpina, uznali, że ma wiele cech wspólnych z zabójczą laleczką Chucky. Była bardzo atrakcyjną kobietą, doskonałą budowę ciała zawdzięczała zamiłowaniu do ćwiczeń na siłowni, które traktowała z takim namaszczeniem i atencją, jakby stanowiły jakiś szczególny ceremoniał. Ostre rysy twarzy i przenikliwy wzrok potwierdzały jej zdecydowany charakter i pewność swoich racji. Zawsze była

logiczna, lubiła myśleć, poznawać rzeczy nieznanne, obserwować i wyciągać wnioski. Pewnie dlatego przed chwilą poznany kandydat Jan Kowalski zrobił na niej takie wrażenie. Niedorzeczność sytuacji, którą sama sprowokowała, była dla niej przeciwieństwem wszystkich jej przewidywań.

Spojrzała na Kamcię. Dostrzegłszy w jej oczach coś na wzór satysfakcji, że wreszcie ktoś jej przytarł nosa, poczuła złość.

- Może chcesz zająć się panem Kowalskim? - spytała z ledwo słyszalnym przekąsem.

- Dziękuję, mam dość swoich geniuszy.

- Niesłychane, że taki głupek...

Drzwi znów się otworzyły. Tym razem z charakterystycznym rozmachem, którego nie można było pomylić z odwiedzinami żadnej innej osoby. Nadkomisarz Mira rządziła swoim zespołem twardą ręką. Dawała to odczuć na każdym kroku swoim podwładnym i wszystkim innym osobom, które kiedykolwiek miały styczność z doborem do policji. Była szorstka jak szczotka ryżowa i tak samo jak szczotka zaprowadzała porządek w swoim otoczeniu.

- Jaki głupek? - spytała, nie znając kontekstu.

- Jeden z wielu - padła oględna odpowiedź.

Szefowa zrobiła krok do przodu i z pewnej odległości rzuciła plik dokumentów na biurko Chucky. Papiery rozsypały się po blacie, przypominając wachlarz kart pokerzysty wkurwionego przegraną licytacją.

- Masz tu wywiad na tego Chausa. Zdaje się czekałaś na niego. - Mira należała do starej milicyjnej szkoły, gdzie uznawano wyłącznie styl ręcznego sterowania. Pracownicy nie mieli nawet centymetra swobody w aktywności służbowej.

- Już niepotrzebny. - Chucky zebrała rozsypane kartki i przebiegła wzrokiem po nagłówkach dokumentów.

- To po co trulaś dupę dzielnicowemu? Myślisz, że oni nie mają co robić?

- Byłam pewna, że wywiad się przyda. Ten Chaus to najsensowniejszy kandydat, jakiego miałam w ostatnim czasie.

- I co, nie zaliczył czegoś?

- Poległ i już.

Mira zmarszczyła powieki, co oznaczało, że uruchamiała swój instynktowny wykrywacz intryg.

- Ma to coś wspólnego z twoją wizytą u komendanta?

- Pytanie zabrzmiało jak zaczepka.

- Maybe - odparła Chucky w tonie beztroski.

- Nie lubię, jak w moim zespole pomija się drogę służbową.

- To on mnie wezwał. Stawiłam się na rozkaz. - Podwładna nieco się usztywniła. W uszach szefowej i tak zabrzmiało to zbyt arogancko.

- I?

- Sorry, mam nikomu nie mówić.

- Nawet mi?

- Nikomu. Nobody.

- To przejdź na polski i zadzwoń do tego Chausa.

Szefowa obróciła się na pięcie, wzbudzając ruchem swoich rozłożystych bioder małe tornado. W jej przypadku nie można było mówić o fochu. Takie rozmowy to była codzienność i więcej miały wspólnego z porachunkami gangsterów niż damskimi nastrojami. W otwartych drzwiach minęła się z kandydatem Kowalskim.

- Można złożyć?

- Co złożyć, co złożyć? Ciało do grobu? - Po rozmowie z szefową Chucky nie miała już ochoty na gierki z kandydatami.

- Podanie.

- Jakie podanie? - warknęła wyraźnie rozdrażniona. - Proszę przygotować komplet dokumentów. Kwestionariusz, życiorys.

- Aha, a ma pani może wzór życiorysu? - Kandydat, niezrażony niezrozumiałą dla siebie opryskliwością policjantki, egzekwował swoje potrzeby.

- Tak, dam panu swój - fuknęła, nie zważając już w ogóle na normy zarządzania jakością.

VI



Pochmurny dzień dodatkowo pogłębiał nastrój ospałości i znużenia. Wprawdzie dziewczyny w okienkach bez ociążania się obsługiwały kolejnych klientów oddziału, to jednak czuło się daleki dystans do pełnej energii i rzeźkiej atmosfery pracy. Niektórzy podświadomie tęsknili za niedawno przeżyтыми szaleństwami urlopowymi, inni w blokach startowych czekali na swoją kolej do realizacji wakacyjnych planów. Kilku klientów banku stało w krótkiej kolejce.

Witek Chaus był zajęty swoimi myślami. Tkwiąc w ulubionym kącie sali, taksował otoczenie w rutynowy sposób, nie koncentrując na tej czynności całej swojej uwagi. Prawdę mówiąc, trochę się nudził, bo codzienne dyżury wymuszały zachowanie zgodne z procedurami, a te były tworzone zdecydowanie na wyrost. Jego partner, ochroniarz Juras, smętnym wzrokiem obserwował, co dzieje się za oknami. Ulica Puławska zawsze dostarczała odpowiedniej ilości ruchomych obrazów, czasem bardziej, czasem mniej atrakcyjnych. Od czasu do czasu zwracał też uwagę na to, co dzieje się w banku, intensyfikując swoje zainteresowanie, gdy w progu pojawiała się jakaś atrakcyjna pani. Nie spuszczał z niej oka, jakby miał do czynienia z ultraniebezpiecznym złodziejem. Przeprowadzał kontrolę osobistą, skanując wzrokiem wszystkie zaułki jej ciała na wzór bramki na lotnisku. Może właśnie z tego powodu przeoczył starszego pana, który w długim prochowcu przemknął przez połowę holu i stanął pod ścianą, natarczywie wczytując się w wywieszane tam ulotki z ofertą kredytową. Niepokój, jaki emanował z tego człowieka, był czytelny dla każdego, kto chociaż przez chwilę zatrzymał wzrok na tej postaci. Nie trzeba było być fachowcem, żeby dostrzec w jego zachowaniu całą serię objawów osoby w kryzysie psychicznym. Witek ocknął się z zamyślenia, bo wyczuł to napięcie szóstym zmysłem. Chwilę popatrzył na faceta, a po chwili nieznacznie zmienił swoją pozycję. Gość drżącą ręką

rozpinał guziki prochowca, rzucając nerwowe spojrzenia za siebie. Dwie panie z kolejki również wyczuły nieadekwatność zachowania, robiąc nieświadomie pół kroku w bok. Może spodziewały się ekshibicjonisty, bo zmaganie z połami płaszcza nasuwało właśnie takie skojarzenie. Intruz jednak nie zamajtał obnażonymi genitaliami, lecz z wewnętrznej kieszeni wyszarpnął plastikową butelkę wypełnioną żółtawym płynem. Z pewnością nie był to mocz do analizy, chociaż zapach, jaki się rozniósł po pomieszczeniu, był równie drażniący jak szczochy pijaka. Nos nie zawiódł Witka dosłownie i w przenośni, i chociaż nie do końca rozumiał akcję dziadka, to instynktownie już był w trakcie działania. W ręku agresora pojawiła się zapalniczka, co w pełni wyjaśniło jego intencje. Śmierdzący płyn był jakąś łatwopalną cieczą, która właśnie zaczęła spływać po jego głowie, barkach, rękach, tworząc na prochowcu paskudne plamy, a wokół postaci złowrogie rozbryzgi. Witek w dwóch susach dopadł mężczyzny. Sprawnym balansem ciała powalił go na ziemię. Butelka z paliwem potoczyła się po posadzce, zapalniczka odskoczyła poza zasięg ramion.

- Ja wam, skurwysyny, nie daruję! - Z gardła intruza wydobył się przerażający wrzask. - Cały świat się dowie, że jesteście oszustami i złodziejami!

Witek chwilę męczył się z obezwładnieniem człowieka w amoku. Panienki z obsługi odskoczyły od swoich okienek.

Klienci skupili się przy drzwiach. Juras klepał coś bezmyślnie do krótkofalówki, zamiast wziąć komórkę i zadzwonić po policję.

- Gnoje, zdierycy, oszuści. Nie ma przy was życia, skurwysyny! Skurwysyny! - Facet wyrzucał z siebie przekleństwa jak rzygowiny.

Witek unieruchomił niedoszęłego człowieka-pochodnię silnym chwytem. Tamten szamotał się przez chwilę, ale szybko znieruchomiał. Emocje i przewaga przeciwnika odebrały mu resztki sił. Patrzył przekrwionymi oczami przed siebie i dyszał jak dzikie zwierzę w śmiertelnym potrzasku.

- Puszczaj mnie. Daj to skończyć, chuju pierdolony. Niech to ogień pochłonie. - Ostatnie słowa wypowiedziane były już niemal szeptem. Gość poddał się, tak jak swoim wyczynem poddał się w walce z bankiem o jakies osobiste racje.

Młody ochroniarz na moment zluźnił uchwyt, co spowodowało kolejne silne wierzgnięcie tamtego. Chłopak znów wzmacnił uścisk.

- Leż spokojnie, bo ci ręce połamię.

- Łam, kutasie jebany. Całego mnie połam, a później mnie spal.

Wola autodestrukcji najwyraźniej w tym człowieku nie osłabła. Juras pochylił się nad nim i zluźnił Witka w trzymania napastnika.

- Policja już jedzie - zakomunikował.

Witek strzepywał z ochroniarskiego munduru krople syfiastej cieczy. Klienci chyłkiem wybiegli z banku. Część z nich obserwowała rozwój sytuacji zza szyby wystawowej. Rozstąpili się dopiero, gdy pod bank podjechał radiowóz. Policjant w czarnym moro zatrzymał się w progu, przytrzymując otwarte szklane drzwi.

- Co tu właściwie się stało? Śmierdzi jak na stacji benzynowej.

Witek przerwał nierówną szarpaninę z brudnym mundurem i zaczął się obwąchiwać.

- Tej bluzy już chyba nie dopiorę.

Policjant podszedł do Jurasa trzymającego w parterze zdesperowanego klienta.

- O co tutaj chodzi? - powtórzył pytanie.

- Ja znam tego pana - wtrąciła się jedna z kasjerek - on ma u nas kredyt we frankach. Już parę razy przychodził i robił awantury, że go oszukaliśmy, ale ten konsultant, który go obsługiwał, już u nas nie pracuje.

- Więc to nie był napad? - Policjant poklepał Jurasa po ramieniu na znak, że ma puścić gościa ze swoich objęć.

- Chyba na samego siebie - odparł Witek. Obydwaj z policjantem pomogli wstać napastnikowi.

- Jak to nie napad? - Juras żądał restrykcji. - Takie wtargnięcie do banku musi być traktowane jak napad.

- Taki zamiar trzeba udowodnić. - Policjant z patrolu wykazał się trzeźwym myśleniem, a może po prostu dbał o statystykę jednostki.

- Od tego chyba wy jesteście. - Juras nie dawał za wygraną.

- Za taki wyczyn możemy mu przyklepać zakłócenie porządku publicznego, a to jest wykroczenie. - Spojrzał na niedoszłego samobójcę, jakby oczekując

wdzięczności w jego oczach. Nie dostrzegł tam jednak nic oprócz bezgranicznej pustki.

- Ja się z tym zgadzam - przytaknął Witek.

Juras próbował protestować, ale policjant z nieszczęsnym klientem byli już za drzwiami. Witek objął partnera za ramię i powiedział:

- Daj spokój człowiekowi. Zakończymy to w naszym raporcie.

Zgodnie z procedurami, pół godziny później do banku przyjechali zmiennicy ochroniarzy biorących udział w traumatycznym wydarzeniu. Serwis sprząający załatwił sprawę brudnej podłogi i nieprzyjemnego zapachu. Kolejni klienci odwiedzający oddział nie byli nawet świadomi dramatycznych wydarzeń, jakie miały tu miejsce niespełna godzinę wcześniej.

Witek i Juras zaszyli się na zapleczu banku, próbując uratować to, co się dało ze służbowego stroju. Tam też mieli swój kantorek przeznaczony do monitoringu, gdzie pełnili dyżury po zamknięciu oddziału. Witek odwiesił bluzę na oparcie krzesła i poszedł do łazienki obmyć twarz i ręce. Przyjemny chłód wody dał mu natychmiastowe odprężenie, więc zastanawiał się przez chwilę, czy nie skorzystać z prysznica. Kabina była rzadko używana, bo sprzątaczkę trzymały tam na co dzień wiadra, szczotki i mopy do sprzątania. Proces decyzyjny przerwało wibrowanie komórki w kieszeni spodni. Odebrał połączenie.

- Dzień dobry, czy pan Witold Chaus?

- Tak.

- Dzwonię z policji, z działu rekrutacji, chciałam pana poinformować, że przerywamy postępowanie w związku z ubieganiem się pana o przyjęcie do służby w policji. - Komunikat był wygłoszony tak, jakby został odtworzony z taśmy.

Witek w pierwszej chwili nie do końca zrozumiał, o co chodzi. Spodziewał się telefonu w tej sprawie, ale raczej zapraszającego go do kolejnego etapu procedury. Czuł się pewny, wiedział, że jest dobrym, nawet bardzo dobrym kandydatem.

Szybko ocenił sytuację jako pomyłkę.

- Ale. Czy to na pewno chodzi o mnie?

- Pan Chaus?

- Tak.

- Jest tak, jak mówiłam - beznamiętny głos po drugiej stronie łączy brzmiał jak wyrok sądu kapturowego.

- Dlaczego, co się stało? - W reakcje chłopaka wkradł się automatyzm towarzyszący zaskoczeniu.

- Dostanie pan informację na piśmie. Do widzenia.

Cisza w słuchawce przypominała tę wokół ringu po nokaucie faworyta i ulubieńca publiczności. Trwa ona zwykle kilka sekund, dopóki szok związany z przeżyciem czegoś nieoczekiwanego nie minie i nie ustąpi miejsca poczuciu krzywdy, niesprawiedliwości i przymusowi walki o swoje. Dokładnie taki przebieg miała reakcja młodego ochroniarza na usłyszane nowiny. Chwila odrętwienia, krótki etap bezsilności, aż wreszcie komórka tnąca z prędkością dźwięku przestrzeń łazienki i roztrzaskująca się na przeciwległej ścianie. Zgrzyt odłamek telefonu rozsypujących się po terakocie kibla i ból w barku spowodowany niekontrolowaną siłą rzutu, przywrócił chłopakowi pełną świadomość. Złość wyparła wszystkie inne odczucia. Pragnął walki, konfrontacji, a może nawet zemsty za tak niezasłużone potraktowanie. Musiał działać, musiał coś z tym zrobić.

Wrócił do kantorka z monitorami i opadł na krzesło. Juras smacznie zjadał kanapkę z mielonką, której zapach rozszedł się po całym pomieszczeniu. Witkowi kojarzył się on dobrze, ale ściśnięty żołądek nie był w stanie przyjąć najbardziej apetycznej potrawy. Zresztą nie myślał w tej chwili o jedzeniu. Myślał o swojej przyszłości. Chaotyczne, rwane dumania nasuwały obrazy niespełnionych marzeń i niedotrzymanych wewnętrznych obietnic. Próbował znaleźć alternatywne drogi dla realizacji swoich planów. Zamiarów, obejmujących nie tylko jego ambicje, ale służących zaspokojeniu honoru rodziny. Nie robił tego wyłącznie dla siebie, robił to dla swojego ojca. Praca w policji to był tylko etap, środek do osiągnięcia celu. Wyznaczył go sobie sam i sam zamierzał go ziścić, wbrew wszystkim, wbrew własnej matce. Czyżby już na wstępnym etapie miał polec?

- Nie martw się, chłopie, jak się nie spierze, dadzą nowy.

Może za drobną opłatą. - Juras czuł przymus pocieszenia kolegi.

Jednak chybił w ocenie źródła przygnębienia. Odkroił plaster mielonki,

obłożył nim połówkę bułki i z pełnymi ustami dodał:

- Ważne, że udało nam się spacyfikować tego wariata. Myślisz, że dadzą jakąś nagrodę?

Witek bezwiednie przebiegł wzrokiem po ekranie telewizora. Ten nieodłączny atrybut każdej ochroniarskiej dyżurki prezentował jeden z programów informacyjnych. W oczy młodego ochroniarza rzuciła się twarz jednego z polityków. Nastawił uszu jak surykatka na sawannie, ale nie usłyszał żadnego dźwięku.

- Zrób głośniej - krzyknął do Jurasza.

Kostka mielonki oderwała się od kanapki, potoczyła po blacie stołu i spadła na podłogę.

- Kurwa, nie strasz - warknął ochroniarz, sięgając po pilota.

VII



Brona zapadła się w fałdy wygodnej kanapy, opierając bose stopy na stoliku przed sobą. Ładne zapachy z kuchni przypomniały jej, że cały dzień nic nie jadła. Wiedziała, że mąż przyszykował coś na kolację i że będzie to, jak zwykle, królewskie danie, ale czekała cierpliwie na hasło otwarcia uczy. Stasiak krzątał się po aneksie kuchennym, wreszcie wyszedł zza blatu, trzymając w dłoniach fikuśnie przyrządzone drinki. Usiał obok żony i przypatrywał się, jak jego kobieta upija pierwszy łyk.

- Dobrze - oblizwała wargi.

Stasiak zadowolony z pochwały, sięgnął po pilota.

- Zanim kolacja dojdzie, zobaczymy, co dzieje się na świecie.

- Daj spokój, Stasiu - skarciła go łagodnie. - Jestem zmęczona, nie każ mi słuchać tych bzdur. - Upiła kolejny łyk. - Jak tak dalej pójdzie, to będę musiała się ewakuować z firmy. Pójdę w twoje ślady, emerycie. Za bardzo zaczynam matkować tym policjantom.

- Od początku matkowałeś - podjął temat. - Więcej czasu poświęcałeś tym policyjnym podpadzochom niż własnemu mężowi.

- Którego nigdy nie było pod ręką - powiedziała bez wyrzutu.

- Ale teraz jestem - pogładził ją po udzie, kończąc gest w najwyższych jego partiach. - Zjemy coś?

- Za chwilę. Dopiję drinka i pójdę pod prysznic. Trochę przemarzałam na tym zadupiu. Przechyliła szklaneczkę i wysączyła ostatnie krople, później leniwie pogłaskała jego rękę i poszła do łazienki. Stasio miał chwilę czasu, żeby przejrzeć programy telewizyjne. Relacja z Alei Ujazdowskich dotyczyła rekonstrukcji rządu. Uwagę emerytowanego policjanta przykuł obrazek z nominacji potężnie zbudowanego, siwiejącego mężczyzny, który miał objąć tekę wiceministra jednego z resortów siłowych. Stasio znał tę postać i wiedział, że ta nominacja może trochę namieszać w branży. Trudno było

przewidzieć, jakie ruchy zamierza wykonać tamten polityk, ale Stasio przewinął w myślach kilka taśm wspomnień. Być może wiązało się to z przyzwyczajeniami zawodowymi, przez niektórych nazywanymi zboczeniami, ale Stanisław lubił dzielić włos na czworo i szukać dziury w całym. Lata spędzone w wydziale kryminalnym rzutowały na całe życie. Teraz, gdy był uwolniony od służbowych zależności i obowiązków, powinien wrzucić na luz.

Starął się i robił dużo, by tak się stało, ale przyzwyczajenie, jak wiadomo, stanowi drugą skórę człowieka. Być może policyjne nawyki nie powstają jednak podczas uprawiania tego zawodu, tylko dużo wcześniej, jeszcze przed wyborem takiej drogi zawodowej i determinują właśnie ten wybór. Innymi słowy, co było wcześniej: praca w policji czy nawyki policyjne. Jedno okazywało się pewne: zerwanie z policją nie kasuje mentalności policyjnej.

Gdy Bronka wyszła spod prysznic, wydała mu się niezmiennie piękną, pociągającą kobietą. Mokre włosy nabrały koloru burgunda, kojarząc się z winem ze szlachetnego szczepu winogron. Długa szyja i owinięta w szlafrok reszta ciała zachęcały do obdarowania ich pieśczołą jak ulubioną przytulankę.

Stasio miał więc dylemat, czy wykładać na talerze danie główne, czy zacząć wieczór od deseru. Wyłączył telewizor i objął żonę w pól.

Piekarnik zadzwonił już trzeci raz. Stasio przeczesał palcami włosy i wszedł do kuchni. Małżonka ponownie, tym razem na krótko, zniknęła w łazience. Gdy wyszła, pięknie podana rolada z polędwicy wieprzowej parowała na kaszy jaglanej w towarzystwie szparagów.

- Pięknie wygląda - skomentowała dzieło sztuki kulinarnej, siadając przy stole.

- Sprawdź, jak smakuje, wiesz, że jesteś dla mnie inspiracją. - Polał brzegi talerza aromatycznym sosem. - Pięknie wyglądasz i zawsze dobrze smakujesz.

- Emerytura ci służy. - Delikatnie ściągnęła ustami kęs z widelca. - Tworzysz arcydzieła w kuchni i nauczyłeś się prawić komplementy.

- Decyzja o moim odejściu z firmy była strzałem w dziesiątkę - mówiąc to, też zabrał się do jedzenia. - Gdyby nie to, zżarliby mnie, skurwysyny. Ale ty musisz jeszcze popracować.

- Masz rację, dla mnie sprawa ciągle trwa.

- Baron o tym wie?

- Mam to w dupie, czy wie, czy tylko się domyśla. Na pewno wie, kim jestem, a po twoim odejściu zdecydowanie się uspokoił.

- W końcu potraktują cię tak jak mnie. W Wiadomościach mówili, że Baron ma zostać wiceministrem.

Stanisław starał się przemyścić tę wiadomość w możliwie obojętny sposób, ale ona i tak nie zrobiła na Bronie większego wrażenia. Kobieta na ułamek sekundy wstrzymała widelec przed ustami, ale po chwili zachowywała się tak, jakby nic się nie stało.

- Byłam na to przygotowana. Przed Armagedonem zdołam załatwić jeszcze jedną sprawę.

Stasiek spojrział na żonę wzrokiem pełnym akceptacji.

- Zainstalować w firmie swojego następcę?

- Taki mam plan. Ktoś musi pilnować naszych spraw.

- A jak sprawy wymkną się spod kontroli?

- Jak się nie uda, sprawa tak czy tak będzie zamknięta.

- Nawet tak nie mów.

- Nie bój się. - Położyła dłoń na jego ręce. - Witek będzie jej pilnował.

Teraz czy w przyszłości rozwiązanie może być tylko jedno.

- Sprawca musi zostać ukarany.

- Raczej oskarżony - poprawiła go.

- Oskarżony - przytaknął.

- Jak ty mnie dobrze znasz.

- Znam twoje tajemnice.

Stasio zebrał naczynia ze stołu. Dogadzanie żonie stało się jego hobby. Chciał wynagrodzić kobiecie lata zaniedbań, kiedy był w domu okazjonalnie. Praca pochłaniała go bez reszty i chociaż zawsze kochał i fascynował się tą piękną kobietą, to nigdy nie mógł się nią nasycić do woli. Służba w kryminalnym brała górę nad potrzebami serca, a czasami i rozporka. Teraz, gdy miał więcej czasu, z prawdziwą przyjemnością zgłębiał tajniki sztuki kulinarnej i zaskakiwał małżonkę coraz to wymyślniejszymi daniami. Dodatkowo uczył się robienia drinków i deserów, co w jego mniemaniu, ale też wielu znanych kucharzy, było zupełnie odrębną dziedziną kuchni.

Szykując skromny deser, obserwował Bronę i widział, że kobieta próbuje tuszować wrażenie, jakie na niej zrobiła wiadomość o nominacji Barona.

Odbywali już takie rozmowy nie raz, ale zawsze przy okazji jakichś znaczących zmian w firmie. Przez lata temat wałkował się w ich życiu jak brud na niedokładnie umytych plecach, ale starali się nie dręczyć jego bliską obecnością. Dopóki pracował Stanisław, sprawa wydawała im się, paradoksalnie, bardzo odległa. Jako doświadczony policjant robił wszystko, żeby utrzymać w niej status quo. Nikomu nie były potrzebne zmiany. Po jego odejściu Bronka została z problemem sama, ale na szczęście przez długie lata nikomu nie zależało na sięganiu do archiwów. Z jej punktu widzenia tak mogłoby być jeszcze dłuższy czas. Czas potrzebny na przyjęcie do służby Witka i odpowiednie wprowadzenie go w sprawę. Teraz pojawił się nowy wymiar wymagający przyspieszenia działań. Jeżeli Baron chciałby znów zaznaczyć swoją pozycję i powrócić, z jakiegoś powodu, do przeszłości, to planowe działanie i jego tempo stałyby się priorytetem dla nich dwojga i oczywiście dla młodego Chausa.

- Coś na osłodę gorzkich myśli. - Stasio postawił przed żoną pucharek z czekoladowym puddingiem polanym własnej roboty sosem wiśniowym i posypany płatkami migdałów.

Brona podziękowała uśmiechem, oblizała ze smakiem łyżkę po pierwszym kęsie i wróciła do swoich rozważań.

Spotkała się z chłopakiem przypadkowo w komendzie, po dłuższym okresie bez kontaktu. Gdy był dzieckiem, ich relacje były całkiem bliskie, ale po śmierci jego ojca kontakt się porwał. Nie urwał, lecz właśnie porwał jak firanka w przeciągu.

Widywała Witka przy różnych okazjach u wspólnych znajomych, ale jego matka zdecydowanie nie chciała tych spotkań i izolowała syna od Brony. Teraz, gdy chłopak skończył studia i postanowił wstąpić do policji, pani inspektor upatrywała w tym szansę na rozwiązanie tych problemów, które ciągną się za nią od wielu lat. Pomysł był szalony i słusznie Stasio obawiał się o jego realizację, ale przy koronkowym rozegraniu mógł raz na zawsze zamknąć sprawę.

VIII



Witek znał drogę na pamięć, chociaż był tutaj dopiero trzeci raz. Zapamiętywał każdy szczegół z tego otoczenia, bo wyzwanie, którego się podjął, miało dla niego szczególne znaczenie. Celebrował więc każdą czynność z nim związaną. Starania o przyjęcie do służby w policji nie były dla niego zwykłym ubieganiem się o pracę, o etat. On przywiązywał do tego o wiele większą wagę. Może dlatego, że motywy były wyjątkowe. Czuł, że miał predyspozycje do tej pracy i dotychczasowe testy, którym się poddał, potwierdzały to, ale on swoją postawą chciał załatwić coś więcej. Zamierzał wskrzesić swojego, od lat nieżyjącego, ojca. Dać satysfakcję sobie i jego pamięci, uczynić coś ważnego w relacjach z nim, z policjantem, którego ktoś nazwał Żbik, bo nie mógł zapamiętać nazwiska Chaus. A może uznał, że do takiego gliny lepiej pasuje kultowe miano Żbik, zamiast nazwa ubogiego krewnego z rodziny kotowatych, chausa.

Chłopak minął poczekalnię i skierował się prosto pod drzwi gabinetu policjantki obsługującej jego kandydaturę. W progu minął się z jakimś petentem nerwowo zwijającym w rurkę druk ankiety bezpieczeństwa. Witek stanął przed biurkiem rekruterki bez słowa. Chucky spojrzała agresywnie na interesanta, ale spostrzegłszy, z kim ma do czynienia, spuściła wzrok i zaczęła kartkować zawsze obecne na jej stole dokumenty. Mowa ciała chłopaka krzyczała głośno, że ma roszczenia, a wzrok potwierdzał, że będzie je egzekwował. Ten konglomerat negatywnych emocji zdeprymował policjantkę. To ona zawsze dyktowała warunki interesantom działu rekrutacji i kontrolowała sytuację na swoim stanowisku pracy. Tymczasem postawa tego człowieka na chwilę osłabiła jej pewność siebie. Na chwilę.

- Pan Chaus. Wysłałam do pana pismo - oznajmiła, siląc się na lodowatą obojętność.

- Nieważne pismo. Proszę powiedzieć, dlaczego mnie nie chcecie? -

Chłopak od razu przeszedł do rzeczy.

- Wszystko będzie pan miał wyjaśnione w korespondencji listowej. - Chucky brzydziła się takimi sztampowymi sformułowaniami, ale w tej sytuacji było jej wszystko jedno, jakich użyje słów, byleby jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

- Chce mnie pani zbyć. Ja wiem, że w tej chwili jestem dla pani intruzem, ale muszę wiedzieć, co poszło nie tak. - Witek z trudem panował nad drżącym głosem. Całe życie uczył się tłumić emocje, ale w tej chwili doświadczył, że niektóre sytuacje życiowe przerastają plan najbardziej intensywnych treningów.

Rekruterka spojrzała na niego dużo śmieiej niż na początku rozmowy.

- Nie zaliczył pan jednego z etapów procedury kwalifikacyjnej, to pana dyskwalifikuje.

- Czego nie zaliczyłem? Przecież wszystko było dobrze.

- Może pan się umówić z psychologiem i wszystko wyjaśnić.

- Nie będę się z nikim umawiał - podniósł głos o pół tonu.

- To pani jest odpowiedzialna za przyjęcia, chcę to wyjaśnić tu, na miejscu.

Tym razem dziewczyna też się nastroszyła, co ujawniło się w kilku, z piskiem wypowiedzianych, głoskach:

- Ze mną nic pan nie będzie wyjaśniał, ponieważ od wczoraj nie jest pan już kandydatem do służby w policji.

- Więc może załatwię to z pani przełożonym? - Bezsilność posunęła go do naiwnego szantażu.

- Proszę bardzo. Gabinet na końcu korytarza.

W ostatniej chwili opanował się, żeby nie trzasnąć drzwiami.

Niezależnie od wyniku swoich starań postanowił poświęcić ten dzień na wyjaśnienie swojej sytuacji jako kandydata do służby w policji. Zbyt duże nadzieje wiązał z tą sprawą, żeby tak zwyczajnie poddać się bez walki. Chwilę postął w korytarzu, zastanawiając się, jak postąpić. Jeszcze raz dokładnie obejrzał tablicę z informacjami dla kandydatów, zawieszoną w poczekalni i przestudiował każdy najmniejszy umieszczony tam papierek, jakby chciał znaleźć w ten sposób wskazówkę dalszego postępowania. Znał te wszystkie treści na pamięć. Nic go nie zaskoczyło ani też nie naprowadziło na drogę do

sukcesu.

Wahał się, czy spełnić swoją groźbę wizyty u kierowniczkę działu rekrutacji. Nie miał nic do stracenia i nic go taka interwencja nie kosztowała. Ostatecznie poszedł do pani nadkomisarz, ale jego obecność w jej gabinecie trwała o wiele krócej, niż by sobie tego życzył. Nie mówiąc już o efektach. Był przerażony swoim brakiem skuteczności. Dotychczas mu się to nie zdarzało. Może dlatego, że traktował świat zerojedynekowo, przeciwnik, czy to na macie, czy w codziennych zmaganiach, był dla niego czytelny i definiowalny. Wrogów w zasadzie nie miał. Wszystkie życiowe wyzwania realizował w oparciu o swoje zdolności, możliwości intelektualne i wkład pracy. W zależności od tego, na ile zaangażował którykolwiek z tych elementów, takie otrzymywał efekty. Decyzje w sprawie jego kandydowania do policji postawiły na głowie taki życiowy system.

Zaangażował w te starania całego siebie, a efekt okazał się odwrotnie proporcjonalny do siły zaangażowania. Gdyby z takim zapałem, jak do testów na policjanta, podchodził do gry na saksofonie, dzisiaj, ku zadowoleniu matki, byłby wirtuozem światowego formatu. Tymczasem tutaj poniósł całkowitą porażkę.

Jednak czy wszystko zależało od niego? W tej chwili walczył o informację, czy rzeczywiście się nie nadaje, czy to oni go nie chcą, a powody takiej decyzji są ukryte gdzieś głęboko, wśród intryg złych ludzi.

Pracownicy zatrudnieni w komendzie zaczęli wysypywać się z bramy. Najpierw tłum przelewał się przez wąskie gardła biur przepustek dosyć zwartą strukturą, by po przekroczeniu progu rozpiezchnąć się we wszystkie strony jak małe pajaczki, gdy ktoś trąci pajęczynę. Witek obserwował tych ludzi z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony zazdrościł im, że mają tę pracę i mogą cieszyć się z jej wykonywania, z drugiej strony czuł do nich irracjonalną złość, że odrzucają jego starania o przynależność do tej grupy, że nie chcą go wśród siebie. Wśród gęstwiny ludzi opuszczających komendę wypatrzył panią podkomisarz Katarzynę Miller, rekruterkę obsługującą jego sprawę. Nie był pewny, czy skorzystać z okazji i zaczepić ją w tym momencie. Może poza miejscem pracy dziewczyna byłaby bardziej skłonna do rozmowy. Dał sobie czas do namysłu, idąc kilka metrów za policjantką. Ta rozmawiała

przez komórkę.

Gadała głośno, więc można było usłyszeć każde wypowiedziane przez nią słowo. Nie spodziewał się, że taka babeczka nawet po pracy będzie absorbować umysł służbowymi sprawami:

- ... dzisiaj nie, może jutro. Jestem wykończona rozmowami z tymi gamoniami - wślizgała się do słuchawki. - Jak słyszysz, że dziewczyna chce do WRD, bo boi się zwłok, to co byś powiedział? Że w drogówce to tylko suszarka i lizak? To niech się przyucza na fryzjerkę... albo cukiernika. Mówię ci, cholery można dostać.

Rwana rozmowa Chucky, przerywana zapewne kwestiami wypowiedzianymi przez rozmówcę, trwała kilkadziesiąt kroków.

Wreszcie chłopak przyspieszył i zrównał się z policjantką.

- Mogę zająć jeszcze chwilę?

Ta oderwała komórkę od ucha i stanęła jak wryta.

- Ależ z pana upierdliwiec.

- Może mnie pani nazywać, jak chce, ale przy okazji proszę powiedzieć, o co chodzi?

- Z Mirą, to znaczy z kierowniczką - poprawiła się - nic pan nie załatwił? Oddzwonię - rzuciła krótko do słuchawki telefonu.

- Nic, odsyła mnie do pani.

- To co jeszcze chciałby pan wiedzieć?

- O to chodzi, że jeszcze nic nie wiem. W biurze - kiwnął głową w kierunku budynku komendy - nie można gadać po ludzku, więc pomyślałem, że może tutaj.

- Źle pan myślał - weszła mu w słowo. - Nie załatwiam służbowych spraw na ulicy. Proszę czekać na list.

Równocześnie z wypowiedzianym ostatnim słowem dziewczyna zrobiła krok do odejścia. Witek machinalnie chwycił ją za łokieć. Chwył był silny.

- Pani znów o tym liście, a ja wiem, że tam i tak nic nie będzie. - Chucky spojrzała na krępującą ją dłoń, a później podniosła wzrok i łypnęła prosto w jego oczy. Witek, choć nie był świadom przezwiska policjantki, to teraz poczuł siłę spojrzenia zabójczej laleczki z przerażającego horroru. Zwolnił uścisk.

- Proszę posłuchać, ja muszę się dostać do policji, jestem to winien ojcu. Całe życie podporządkowałem temu celowi, a wy w jednej chwili przekreślacie moje marzenia, plany, cele.

- Bardzo to wzruszające, co pan mówi, ale procedura jest procedurą. Proszę spróbować za rok.

Chłopak zastąpił jej drogę.

- Nie mam na to czasu. Proszę zrozumieć...

Dziewczyna zrobiła krok do tyłu. Gdyby trzymana przez nią w dłoni komórka była soczystym owocem, to właśnie przemieniłaby się w mało apetyczną pulpę.

- To pan niech zrozumie. Nie mam wpływu na wyniki pana testów. Procedura jest sformalizowana i czytelna. Zna pan zasady. Do widzenia.

Odepchnęła go i przeszła energicznym krokiem przez tę ludzką zaporę. Potraktowała go łagodnie, zważywszy na jego postawę w trakcie procedury. Wiedziała, że ma do czynienia z mądrym, fajnym facetem. Nie postawiłaby jednak na szali jego pragnień i swojej kariery zawodowej. Chociaż nie była niewolnicą ambicji i awansów, to jednak zależało jej na tej robocie i chciała w tej branży coś osiągnąć. Nie oglądała się, chociaż czuła, że on odprowadza ją rozżalonym wzrokiem. Nie wiedziała jednak, że w tym wzroku kryło się coś więcej niż tylko żal za rozwianymi marzeniami.

Pogrążony w rozmyślaniach chłopak wszedł do tramwaju, którym przedostał się na praską stronę. Rozmowa z tą policjantką tak wybiła go z równowagi, że byłby skłonny sponiewierać każdego, kto zachowałby się w tej chwili niezgodnie z jego oczekiwaniami. Nie szukał jednak celowej zaczepki, więc nie zwracał uwagi na otoczenie i współpasażerów szóstki, chociaż na tej linii zawsze można spotkać brykające towarzystwo.

Po przesiadce do podmiejskiego autobusu dotarło do niego, że jedzie do rodzinnego domu. Podświadomie zatęsknił za spotkaniem z matką, chociaż wiedział, jaki ona ma stosunek do jego planów zostania policjantem. Nie chciał się żalić, bo od dziecka był uczony stawiać czoła przeciwnościom. Od pewnego wieku wychowywały go dwie kobiety: matka i babcia, ale żadna z nich nie rozpieszczała chłopca, chociaż każda miała na to ochotę, litując się nad losem pólsieroty. Rozsądek, wyrobiony na doświadczeniach życiowych,

nakazywał im zrobić z Witka prawdziwego mężczyzną. Postępowały więc z młodym chłopakiem tak, by przypominało to męskie wychowanie i męską rękę. Ponieważ jednak żadna matka nie jest w stanie wcielić się w rolę ojca, więc zabiegi te często przypominały karykaturę relacji męsko-męskich. Chłopak jednak szybko zorientował się, o co matce chodzi, i zastosował zdrową autodyscyplinę. Dzięki niej zdobył odpowiednie wykształcenie, osiągnął sukcesy w sporcie i (przy dużej presji matki) opanował grę na instrumencie. Posiadał też wiele innych, pomniejszych umiejętności, dzięki którym swobodnie funkcjonował w każdym środowisku.

Spotkał matkę przed furtką. Wracała z drobnymi zakupami ze szkoły. Przejął od niej siatkę, gdy otwierała drzwi. Skrzypce wsunęła pod pachę, chroniąc je, jak zwykle, przed dotykiem innych osób, nawet własnego syna. Taką fobię miała, od kiedy pamiętał. Wolno mu było umyć zęby jej szczoteczką, ale skrzypiec nie mógł dotknąć, zresztą podobnie jak ktokolwiek inny.

Chociaż prezentowała wrażliwość artystki, to stąpała twardo po ziemi. To połączenie pragmatyzmu z nutą fiksacji przynależną ludziom sztuki sprawdzało się w jej życiu. Zakręty życiowe pokonywała z fantazją, ale pamiętając, że jest odpowiedzialna za rodzinę, bez brawury. Część tych cech Witek po niej odziedziczył, części się nauczył, słysząc nieustannie o szkodliwym wpływie schematów działania i myślenia. Jakkolwiek była piękną kobietą i młodą wdową, nie wyszła ponownie za mąż, uznając takie działanie za zbyt stereotypowe. Najbliższym wydawało się, że dobrze czuła się w roli, jaką przypisał jej los. Nie szukała zmian, ale jak było naprawdę, nikt nie wiedział, bo z nikim nie dzieliła się swoim życiem wewnętrznym. Jej świat zamknął się z chwilą śmierci męża i ograniczał do wychowania syna i opieki nad leciwą już matką, nieprzysparzającą trosk, ale też nieuznającą życiowej sztampy.

Weszli do kuchni od strony werandy. Dom był stary, o nietypowym rozkładzie pomieszczeń. Babcia siedziała w swoim ulubionym fotelu w ulubionej pozycji przed telewizorem. Duża kuchnia spełniała wieloraką funkcję i to tutaj toczyło się całe domowe życie, które po śmierci Żbika i niedawnej wyprowadzce Witka, trochę jakby zamarło. Matka odstawiła

skrzypce w bezpieczny kąt i zaczęła rozpakowywać zakupy.

Chłopak nachylił się nad babcią, żeby się z nią czule przywitać.

- Wituś, zdążę przed śmiercią zobaczyć cię jeszcze w mundurze? - Babcia kibicowała wnukowi w spełnieniu jego zamierzeń.

Pojemnik z jogurtem, pękający w zetknięciu z podłogą, wydał stłumiony dźwięk kłapania. Zupełnie jak szczęki jakiegoś szczerbatego zwierzęcia. Witek raptownie spojrzał na matkę pochyloną nad rozbryzganym deserkiem. To ona upuściła plastikowy kubeczek, słysząc znienawidzony temat. Twarz jej stężała, a ruchy stały się elektryczne. Kucnęła, chcąc posprzątać bałagan.

- Niech mama przestanie, co wy wszyscy z tym mundurem. Cholery można dostać - krzyknęła.

Dźwignęła ciało z przysiadu, ręce zaczęły się jej trząść, jakby dopiero co skończyła grać na tych swoich skrzypkach „Taniec z szablami” Chaczaturiana. Zostawiła rozpakowywanie zakupów i sięgnęła po papierosa. Z trudem przypaliła końcówkę elema. Witek był przyzwyczajony do takich histerycznych reakcji matki. Po śmierci męża temat policji wyzwał w niej najbardziej negatywne emocje. Szału dostawała na samo słowo: policja, a z chwilą, gdy dowiedziała się o planach zawodowych syna, jej reakcje stały się patologicznie intensywne.

Służby mundurowe kojarzyły jej się z wzorcem i stereotypem, którego nie akceptowała wokół siebie. Nikt nie wie, dlaczego zakochała się i wyszła, w swoim czasie, za policjanta. Może miało to stanowić jakąś przeciwwagę dla jej postawy życiowej, a może dlatego, że Żbik był dobrym i mądrym człowiekiem.

Babcia nieświadoma tego, na ile mocno nadszarpnięty jest nastrój córki, dołała kropelkę oliwy do tego wewnątrzrodzinnego ognieńka.

- Wituś, przyszedł list do ciebie. Pewnie z policji, bo taką niebieską pieczętkę ma w rogu.

Witek, unikając wzroku matki, rozejrzał się po kuchni. Sięgnął po kopertę, przeczytał nagłówek i nie otwierając, schował ją do wewnętrznej kieszeni kurtki.

- Nie musisz się wściekać - fuknął. - Wygląda na to, że na razie mamy ten temat z głowy.

- Jak to? - spytała z nutką nadziei w głosie.

- Wszystko przez ciebie. Nie chciałaś mnie w policji i wykrakałaś - powiedział z wyrzutem. - Ale ja nie odpuszczę.

- Wiesz, że od śmierci ojca nie jestem w stanie o tym normalnie rozmawiać. Nie chcę przechodzić jeszcze raz tego koszmaru. Nieprzespanych nocy z lęku, że coś się stało. Dni pełnych obaw o zdrowie, życie, o samotną przyszłość. Dlaczego mi to robisz?

Spojrzał na nią twardym wzrokiem.

- Mnie jego śmierć dotknęła tak samo jak ciebie. Nie wiem, jak potoczyłoby się moje życie, gdyby nie - zawahał się przed kolejnym słowem - gdyby on żył. Dlatego nie zostawię tak tego. Nikomu nie należy się ta praca, tak jak mnie.

Starął się nie podnosić głosu, ale i tak emocje uciskały gardło. Przyjechał tutaj, nie wiedzieć czemu, szukać wparcia po niepowodzeniach ostatnich dni. Wiedział, jaki jest stosunek matki do jego planów, ale mimo tej świadomości rozmowa bardzo go zmęczyła. W ciemno mógł ułożyć jej scenariusz, a jednak czuł się rozgoryczony. Może gdzieś podświadomie liczył na jakieś słowa otuchy. Każdy twardziel ma takie momenty. Napięta atmosfera chwilowo oderwała uwagę babci od telenoweli.

- Napiałabym się herbaty - wychrypiąła.

- Chcesz mnie wykończyć - skrzypaczka nie zwróciła uwagi na potrzebę staruszki. Kontynuowała spór z synem, artykułując swoje pretensje do losu.

- Zamiast mnie wesprzeć, ty tylko użalasz się nad sobą.

Podajesz w wątpliwość wszystko, co robię, dlatego mam pod górkę.

- Zostaw to, nie próbuj przechytrzyć przeznaczenia.

- Jak będzie trzeba, podejmę z nim otwartą walkę.

Zdecydowanym krokiem poderwał się do wyjścia. Nie chciał przeciągać tej rozmowy, bo żal mu było siebie i matki.

W obecnej sytuacji żadne z nich nie miało szans na przekonanie drugiego do swoich racji. W progu drzwi wejściowych zatrzymał się i krzyknął w głąb mieszkania:

- Zrób babci herbaty!

IX



Atmosfera w autobusie linii 702 sprzyjała rozmyślaniom. Pasażerowie, zmęczeni całym dniem pracy, beznamietnie obserwowali miejski krajobraz za szybami solarisa. Witek, oparty o poziomą rurę w tyle autobusu, poddawał się łagodnemu kołysaniu na nierównościach nowej nawierzchni drogi. Chłopak miał o czym myśleć, bo to, co działo się ostatnio wokół niego, wymagało wnikliwego przeanalizowania. Nie zamierzał rezygnować ze swoich życiowych planów, musiał je tylko zweryfikować i dostosować do obecnych warunków. Porażki i niepowodzenia życiowe nie jawiły się w jego umyśle jako zwiastuny końca świata, ale rozstrajały go na tyle, że musiał jak najszybciej przezwyciężyć przeciwności i osiągnąć stabilizację. W takim sensie trudności życiowe działały na niego motywująco, bo wymuszały natychmiastowe przywrócenie życiowego status quo. Zamyślenie chłopaka rozproszył nieznaczny ruch w autobusie. Coś na zewnątrz przykuło uwagę pasażerów, uatrakcyjniając nudny przejazd Grochowską. Młodzi chłopcy, w reakcji na to, co widzą, zdradzali symptomy rozbawienia. Uruchomili kamery w telefonach, podczas gdy starsza pani zasłoniła usta w geście zażenowania. Witek powiódł wzrokiem za ich spojrzzeniami.

Na sąsiednich pasach ruchu jeden z kierowców, jadący nowym bmw, zajechał drogę drugiemu, prowadzącemu starego opła. Pokrzywdzony, w cudzysłowie, kierowca, na najbliższych światłach otworzył drzwiczki swego samochodu, aby opierdolić tego drugiego. Dlaczego otworzył drzwiczki, nie wiadomo, może nie działały w tym samochodzie podnośniki szyb. W każdym razie otworzył je tak, że łupnął nimi w bok bmw. Światło się zmieniło na zielone, więc grat zamknął drzwi i ruszył. Teraz gość z beemki poczuł się poszkodowany. Zanim dojechali do następnych świateł, zdołał wyprzedzić strucla i znowu zajechał mu drogę. Ale opel jakby nie wyhamował i na kolejnym czerwonym puknął tamtego w dupę. Światło się zmieniło, więc opel

ominał cwaniaczka z bmw i pojechał dalej. Tamten się wściekł.

Znów dogonił złomka i odbił kierownicą tak, że przyrznął mu w bok. Na strucię nie zrobiło to zbyt wielkiego wrażenia, bo wgniecenie miał pod dostatkiem. Oddał więc nowej beemce to, co jej się należało. Dalej akcja zniknęła z pola widzenia pasażerów.

Autobus wjechał do zatoczki i zatrzymał się na przystanku. Nie wiadomo czy ci dwaj pozabijali się, czy wcześniej obdarli ze skóry, czy może spalili sobie nawzajem te samochody, oblali twarze kwasem, a może wyrznęli przy tym swoje żony, dzieci i dalszą rodzinę aż do trzeciego pokolenia.

Witek wyskoczył z autobusu na Placu Szembeka i tramwajem dostał się do centrum. Zgranie w czasie wszystkich składowych podróży od matki z Otwocka pozwoliło mu na dotarcie do klubu przed umówioną godziną. Poczł głód, ale na wstąpienie na jakiegoś, byle jakiego kebaba nie było już czasu. Postanowił zjeść coś w trakcie pracy. Podczas dyżuru w dzień powszedni można było wygospodarować czas nie tylko na zjedzenie czegoś szybkiego, ale nawet na zaległe posesemesowanie ze znajomymi. Co innego w weekend, kiedy ochrona pracowała na pełnych obrotach.

Pracę w nocnym klubie nagrała mu ciotka Brona. Tak naprawdę nie była to żadna rodzina, ale jak żył ojciec, Witek nazywał wszystkich jego kolegów wujkami, a koleżanki ciociami.

Tym bardziej, że kobieta nie miała własnych dzieci i dużo z tych niespełnionych macierzyńskich uczuć przelewała na małego Witka. Po śmierci Żbika ich drogi się rozeszły, ale od niedawna Brona spotykała się z Witkiem, czyniąc mu małe uprzejmości w tajemnicy przed jego matką. Ciotka pracowała w policji, więc miała szerokie kontakty w branży ochroniarskiej. Znalezienie pracy w ochronie nie stanowiło zbyt wielkiego problemu nawet bez protekcji. Tym sposobem Witek wylądował w straży banku.

Sztuką jednak było trafić na najbardziej prestiżowe odcinki ochroniarskiego rzemiosła. Nocne kluby do takich się zaliczały.

Dodatkowo Witek wiedział, że w tym środowisku poruszają się czynni policjanci z elitarnych jednostek, więc nawiązanie z kimś takim znajomości i posłuchanie jego opowieści mogło być bardzo przydatne teraz i w przyszłości.

Feliks, duży chłop o zniszczonej niehigienicznym stylem życia twarzy, stał

oparty o krawędź szklanej ościeżnicy, stanowiącej część witryny wejściowej do klubu przy Mazowieckiej. To był jeden z tych ludzi, których uwagę chciał na siebie zwrócić Witek, o których względy zabiegał. Nie przeszkadzał więc w pracy starszemu koledze i tak jak on, w milczeniu obserwował ruch w barze naprzeciwko klubu. Tam imprezowicze zaczynali wieczorną balangę, na zapas wlewając w siebie duże porcje alkoholu, chcąc zaoszczędzić na drinkach w klubie. Lustrację wódozłopów przerwało im pojawienie się przed wejściem grupki młodzieży gadającej w obcych językach. Bramkarze próbowali ustalić wiek młodzieńców, aby przekonać się o ich pełnoletności. Walory dziewczyn wskazywały na ich dorosłość, ale towarzyszącym im szczyłom z wyglądu bliżej było do gimbazy niż do dyskoteki w nocnym klubie. Zamieszanie przed wejściem spotęgowało parkujące na chodniku białe bmw. Kilka osób musiało odskoczyć pod mur, by wieczorna zabawa nie skończyła się na ostrym dyżurze ortopedycznym. Kierowca w dupie miał wszelkie przepisy drogowe, a jak się za chwilę okazało, również normy społeczne. Pasażerami luksusowego auta były dwie panienki i mężczyźni do pary. Panowie mogli mieć ok. trzydziestu pięciu lat, dziewczyny były znacznie młodsze.

Kierowca kiwnął głową na znak, żeby towarzystwo szło za nim i nieelegancko przepchnął się przez grupkę obcokrajowców.

Feliks zastąpił mu drogę. Tamten wykonał machinalny ruch, chcąc przesunąć żywą przeszkodę, ale napotkał opór równy próbie przestawienia tokarki.

- Stoisz mi na drodze, drańgalu. - Pirat drogowy musiał zadrzeć głowę, żeby spojrzeć w twarz ochroniarzowi.

- Uważaj na słowa, bo wychłostam cię twoim własnym chujem. - Feliks odepchnął intruza na bok, wkładając w ten gest tyle energii, jakby ten był skrzydłem w szafie wnękowej.

Facet koniecznie chciał okazać swoją wyższość. Stanął na palcach stóp, by dać zadość swoim aspiracjom.

- Możesz mnie najwyżej w niego cmoknąć - zapiął jak kogucik.

Feliks spojrział na tego narwańca w taki sposób, jakby właśnie w tej chwili przypomniał sobie o jego obecności.

- Mówię ci, że narobisz sobie wstydu. - Mrugnął do dziewczyn

towarzyszących nachalnemu gościowi.

Wydawało mu się, że skądś zna te laski. Panienki, mieląc zuchwami gumę do żucia, obserwowały scenę z nadzieją na jakiś atrakcyjny rozwój sytuacji. Miałyby o czym opowiadać, siedząc na fotelu u kosmetyczki.

W tym momencie Feliks poczuł, że ktoś go klepie po ramieniu. Na taką poufałość nie mógł sobie pozwolić nikt poza kolegami z bramki. Odwrócił się.

- Nie pajacuj, Feliks. - Menadżer pojednawczo uśmiechał się do intruza z beemki i jego towarzyszy. - Przepuść tych państwa.

- Ale... - bramkarz zapomniał języka w gębie. Sytuacja go zaskoczyła, kierownik wkurwił, a rękę, która go klepała, urwałby przy samej szyi. Musiał to mieć wymalowane na twarzy, bo menadżer zrobił krok do tyłu.

- Bez ale. Wpuść ich - ton szefa zmiękł. W uszach Feliksa po prostu sflaczał. Czując przewagę i dobrą kondycję własnej reputacji, zrobił miejsce dla przybyłych.

Kierowca bmw nie krył satysfakcji. Całym sobą okazywał, że jest kontent z obrotu sprawy. Przechodząc obok Feliksa, wyprostował środkowy palec.

- I kto komu wstydu narobił? - wysyczał prosto w twarz bramkarza.

Ochroniarz spojrział na Witka obserwującego całą scenę z odległości trzech kroków wspólnie z grupką zdezorientowanych obcokrajowców. W tym spojrzeniu była widoczna przygana dla samego siebie, bezradność, zakłopotanie, usprawiedliwienie, ale przede wszystkim instrukcja, której młody ma się w przyszłości trzymać. Tej niemej komunikacji towarzyszył nagły ruch Feliksa. Solidny zamach i twardo obuta stopa ochroniarza wylądowała na pośladku cwaniaczka. Krnąbrny chłopak nawet nie zdążył poczuć uderzenia, bo było ono tak silne, że ten przeleciał przez próg klubu, przypominając piłeczkę pingpongową i wylądował na drzwiach od kibla wewnątrz lokalu. Towarzyszące mu dziewczyny parsknęły śmiechem. Jedna z nich szybko się opanowała, skarcona przez drugiego z chłopaków, ale mała blondyna zanosila się śmiechem jak po obejrzeniu kolejnego odcinka głupich wpadek w internecie. Menadżer zniknął w głębi sali.

Czerwony ze złości kopniakobiorca szybko opanował szok wywołany niespodziewanym napadem. Nie próbował już ripostować, bo sytuacja wydawała się wystarczająco kompromitująca. Aby zatuszować złe wrażenie,

w mgnieniu oka stał się znów królem życia i po drodze do łoża, swobodnym gestem, zamówił dużą whisky. Towarzyszący mu chłopak zatrzymał się w pół kroku, jakby zniesmaczony egoizmem kolegi. Szepnął coś na ucho swojej dziewczynie i cofnął się do baru. Rozbawiona blondyneczka padła na miękką kanapę, wstrząsana resztkami śmiechu. Dysponent beemki nie pozwolił kelnerce postawić drinka na stole, tylko zgarnął z tacy szklaneczkę i łapczywie wychylił zawartość. Gwałtownie odstawił szkło i kontynuując ten sam ruch, wierzchem dłoni wymierzył cios blondynie.

- Tak cię to bawi, kurwo? - wycharczał nieswoim głosem.

Ręka ześlizgnęła się tylko po jej grzywce nie robiąc krzywdy, ale dziewczyna zerwała się z białej, skórzanej kanapy, unikając tym samym wymierzonego na oślep kopniaka.

- Jeszcze raz zaśmiejesz się ze mnie! - wrzasnął histerycznie.

Dziewczyna spoważniała kilka chwil wcześniej i naprężyła ciało jak kotka. Dzięki temu zgrabnie odskoczyła w bok, chroniąc się przed kolejnym chaotycznym ciosem.

- To co? Naślesz na mnie swojego... - Nie skończyła, bo chłopak atakował pogrążony w amoku.

Nadszarpnięta przez kopa ochroniarza i szyderczy śmiech dziewczyny godność osobista pobudziła najdziksze pokłady jego natury. Rozmachanymi ramionami zablokował dziewczynę w kącie łoża, a ta, czując nieuchronność linczu, krzyknęła coś niezrozumiałego. Ręka agresora, dotychczas młóćąca powietrze, napotkała nagły opór. Równocześnie facet poczuł przejmujący ból poniżej linii żeber, jakby podzielił los Janosika torturowanego za ostatnie ziobro.

- Może ze mną się zmierzysz? - padło pytanie przypominające trzask bata. Napastnik zobaczył nad sobą wielką postać Feliksa.

- Ty się jednak prosisz o kłopoty - wykrzyczał naj bardziej paradoksalne zdanie, jakie można było sobie w tej sytuacji wyobrazić.

Zgięty wpół, dyszący z bólu, z wykręconą ręką w fachowym chwycie, dzięki któremu bramkarz mógł zrobić z nim, co chciał, ten próbował wywierać presję. Odpowiedzią mógł być kolejny bolesny kopniak, ale ochroniarz skwitował rzeczowo:

- Ty już je masz. Wynocha stąd.

Silne szarpnięcie pracownika ochrony wyekspediowało intruza w kierunku wyjścia. Blondynka szła obok, złorzecząc swojemu niedoszłemu oprawcy.

- Uważaj, ta gnida ma mocnego tatusia. - Dziewczyna szukała odwetu za zepsuty wieczór. - Będzie się mścił, bo to łachudra jest. Sam by się zesrał, gdyby nie stary...

- Zamknij ryja, bo cię zajebię - odszczeknął się cwaniak, próbując wyszarpnąć się z żelaznego uścisku bramkarza. - I ciebie też, drągalu - rzucił do Feliksa.

- Czym mnie zajebiesz? Tym swoim krowim cyckiem? - Blondi postanowiła dorównać drągalowi w zadawaniu cierpień niedawnemu partnerowi.

Pozostałych dwoje z tego towarzystwa stało jak wryci przy barze. Sytuacja tak ich zaskoczyła, że nawet między sobą jej nie komentowali. Dziewczyna przez cały czas trzymała w ustach słomkę od drinka, zapominając jednak pociągnąć przez nią jakiś zielonkawy płyn skrzący się w szklance za sprawą pokruszonego lodu. Kilku z nielicznych jeszcze gości klubu oderwało się od swojej zabawy, żeby odprowadzić wzrokiem nietypowe zjawisko. Parę dziewczyn nie przerywało podrygów na podeście do tańca, nie zauważając albo nie chcąc zauważyć tego, co się właśnie stało w bezpośrednim sąsiedztwie parkietu.

W progu klubu Feliks poczęstował intruza kolejnym kopniakiem. Ten zakończył groteskowe podskoki na masce swojego wypieszczonego auta. Bez słowa odblokował pilotem drzwi samochodu i siadł za kierownicą. Po chwili nie byłoby po nim śladu, gdyby nie wspomnienie w komentarzach pochodzących od grupki imprezowiczów, zgromadzonych wokół popielniczki stojącej przy sąsiedniej witrynie.

- To sobie chłopak poimprezował.

- Szybki Bill.

- Quickstep.

Feliks odwrócił się do dziewczyny, która stała w drzwiach drżąc, jakby dopiero teraz jej drobne ciało skumulowało całe napięcie.

- Wejdiesz jeszcze, czy masz dosyć baletów na dzisiaj?

- Pojadę do domu.

- Odwieźć cię?

- Ja to zrobię. - Witek dołączył do bramkarza i dziewczyny.

Nie uczestniczył czynnie w całym zajściu, bo musiał kontrolować sytuację przy wejściu. Feliks, idąc interweniować na salę, takie zlecił mu zadanie. Teraz mógł potwierdzić swoją dyspozycyjność, a poza tym żał mu się zrobiło rozdygotanej dziewczyny. Witek dostrzegł w niej coś ujmującego. Zdziwiło go to, bo pierwsze, drugie i kilka kolejnych wrażeń nie było korzystnych. Poprowadził dziewczynę do taksówki stojącej przy przeciwnym krawężniku. Zanim jednak otworzył przed nią drzwiczki auta i sam wsiadł do samochodu, spytał, dokąd jadą. Od tego zależało, czy jego budżet wytrzyma taki gest. Na szczęście dziewczyna mieszkała na bliskiej Woli.

- Jak masz na imię? - spytał, gdy ruszyli.

- Sandra.

Dialog się urwał i nie udało się go wznowić do czasu, aż dziewczyna pokazała kierowcy, gdzie ma się zatrzymać. Stanęli przed bramą eleganckiego strzeżonego osiedla.

- Wpadniesz na drinka? - Pytanie zabrzmiało naturalnie, ale Witkowi wydało się, że odgrywają scenę w amerykańskim filmie.

- Nie piję alkoholu. - Złamał schemat hollywoodzkich scenarzystów.

- To może kawę?

Chłopak zastanowił się chwilę. Cały dzień go zmęczył. Niepowodzenie w staraniach o przyjęcie do policji, kłótnia z matką, awantura w klubie. Może powinien się zresetować?

- To może jednak drinka. Zalejemy robaka. - Wysiadł z taksówki i odetchnął głęboko. - Ładne osiedle.

- Po dzisiejszej akcji pewnie będę szukała nowego lokum.

- Sandra machnęła ręką na znak, że nie zamierza się tym teraz zadrećcać. - To mieszkanie wynajmowałam tanio od znajomych Filia.

- Kogo?

- Filia. To ten facet, któremu dzisiaj odbiło.

Dziewczyna przyłożyła kartę do czytnika. Bramka na osiedle stanęła otworem, a po chwili zatrzasnęła się za nimi.

X



Biuro Spraw Wewnętrznych policji zawsze wzbudzało mieszane uczucia. W tym miksie odczuć dominowały te negatywne, bo kojarzące się z działaniami nieakceptowanymi przez Polaków. Lata zaborów, a później okres okupacji niemieckiej i komunizmu wytworzyły w polskim narodzie wrodzoną niechęć do wszystkiego, co kojarzy się z donosicielstwem, kolaboracją, podsrywaniem. Właśnie z takimi niechcianymi zachowaniami policjanci wiążą, w dużej mierze niesłusznie, pracę BSW. Starszym glinom nasuwa się skojarzenie z istniejącymi w milicji iofami, czyli inspektoratami ochrony funkcjonariuszy, które z ochroną miały tyle wspólnego, co eskimoska ze stringami.

Młodsze pieski z kolei nie garnęły się do tej roboty, bo uwiązanie się z tą komórką zamykało możliwość pracy w innych pionach policji. Oczywiście decydowały tu względy mentalne, a nie formalne. Takie podejście sprawiało, że biuro zawsze cierpiało na braki kadrowe, a były okresy, że potrzebowali tu ludzi jak powietrza.

Brona, przechodząc do BSW, nie myślała o opinii, jaką ma ta jednostka wśród policjantów. Chciała pracować i awansować, a jej temperament i traktowanie regulaminu były powodem ciągłych zatargów z przełożonymi. Szefowie starali się temperować ognistą policjantkę, a ta w odwecie wyszukiwała sposoby, jak bezkarnie chrzanić codzienne obowiązki. Konflikty narastały i pogłębiały się. Pewnego dnia zdarzył się wypadek. Dziewczyna uczestniczyła w zdarzeniu, w którym zginął jej partner z załogi. Nie mogła dłużej pracować w dotychczasowej jednostce. Spojrzenia kolegów, nieustanne nawiązywanie do tego, co się stało, wyprowadzało ją z równowagi. Przeszła do BSW z postanowieniem, że zrobi z nimi wszystkimi porządek. Miała ambicję rozpocząć nowe życie zawodowe i skończyć z taryfą ulgową, tak dla siebie, jak i dla tych, z którymi stykała się na płaszczyźnie zawodowej.

Początki pracy w tej komórce też były trudne, ale młoda policjantka wiedziała, że jeżeli chce się utrzymać w policji, to musi wziąć się do roboty. Stąd nie było odwrotu. Dziewczyna szybko wyrobiła sobie swój styl pracy, a że zawsze szła pod prąd, więc jej konwencja znacznie odbiegała od standardów BSW. Początkowo jej postawa raziła przełożonych i współpracowników, ale z biegiem lat stała się wpływową i szanowaną funkcjonariuszką i to ona dyktowała warunki pracy w biurze.

Brona stała przy oknie, opierając się pupą o parapet. W jednym ręku trzymała jakieś akta, a w drugim papierosa. To był jej gest uprzejmości w stosunku do partnera z pokoju. Polegał on na tym, że wydmuchiwała dym w kierunku uchylonego lufcika.

W tej pozycji dobrze jej się myślało, więc nie przerywała zajęć służbowych, żeby zaspokoić głód nikotynowy w jakiejś śmierdzącej palarni. Mogła i umiała łączyć palenie z pracą analityczną, więc każde przewrócenie strony zmuszało ją do przytrzymywania peta ustami. Przymykała przy tym jedno oko, żeby ochronić je przed smużką dymu snującą się po twarzy.

- Słyszałaś o zakazie palenia na terenie komendy? - Mirek, kolega z sąsiedniego biurka, wygłaszał to retoryczne pytanie przynajmniej raz dziennie. Najczęściej po kilku godzinach urzędowania, kiedy w pokoju nie było już czym oddychać.

- Nie słyszałam. Naprawdę jest coś takiego? - Brona zareagowała wyuczonym, sztucznym zdziwieniem.

- Mówisz tak, odkąd cię znam. - Miras machnął ręką w geście rezygnacji. Facet był nudny i upierdliwy. Począwszy od nudnego stroju, którego nieodłącznym akcentem była znoszona marynarka w nieokreślonym kolorze, stanowiącym połączenie szarości z khaki, poprzez bladość cery na twarzy i zawsze jednakowo ogolonej na jeża czaszki, skończywszy na nudnych problemach zawodowych i życiowych, którymi każdego dnia dzielił się ze współpracownicą.

- A ty, odkąd cię znam, czepiasz się mojego palenia - pani podinspektor obojętnym tonem zaczęła punktować kolegę. - Czy ja coś ci mówię na temat czosnku, który wpie-przasz co rano. Może wprowadzimy zakaz śmierdzenia czosnkiem?

- Czosnek jest zdrowy - bronił się Mirek.

- Tytoń też.

- Coś ty taka wściekła, upieprzyli ci tych amantów, co utopili radiowóz? - próbował zmienić temat partner z pokoju.

- Tamtych wybronię. Gorzej z takim jednym narwańcem, który pijanemu kierowcy pyrgnął kluczyki od samochodu w zboże. Trochę go przy tym sponiewierał. - Przewróciła kartkę w aktach. - Zamiast nagrody chcą mu przyklepać pajdę, bo tym szoferem na bańce był jakiś wpływowy samorządowiec.

- Brona, czy ty pamiętasz, gdzie pracujesz? - Mirek odchylił się na krześle i splótł dłonie na brzuchu, aby swoje słowa opatrzyć zgredowską stylistyką. - To nie jest ochronka ani biuro sprawiedliwości społecznej. To jest Biuro Spraw Wewnętrznych Policji. Mamy za zadanie eliminować patologię z naszych szeregów.

- Przestań zrzędzić. Jak wyeliminujemy wszystkich kozaków, to ta firma stanie się jedną wielką mantykarnią, a ciebie wtedy zrobią komendantem głównym.

Mirek nabierał powietrza w płuca, żeby odpalić coś swoim mentorskim tonem, ale sygnał telefonu przeciął rozmowę.

Brona podniosła słuchawkę.

- Cześć, Mira. - Słowa przywitania były opatrzone ciepłą przyjacielską nutą, ale informacje, które przekazywała Bronce koleżanka z wydziału kadr, sprawiły, że jej twarz stężała, a krew w żyłach zaczęła się gotować. - Co ty gadasz. Co za gówna mi opowiadasz, przecież wiesz, że nikt nie nadaje się lepiej do tej roboty niż on. - Przez jej świszczący przyspieszony oddech palacza przebiła się kwestia rozmówczyń.

- Nic nie mogłam zrobić - płaczącym tonem tłumaczyła się Mira. - Podejrzewam, że ktoś naciskał na Chucky. Jeśli tak było, to nawet wiem kto. Wszystko działo się za moimi plecami.

Wyobrażasz to sobie?

- Mogę to sobie wyobrazić.

W przypiływie emocji nie zdawała sobie sprawy, jak mocno zaciskała słuchawkę w dłoni. Dopiero zaciekawiony wzrok Mirka przywołał ją do

rzeczywistości. Rozluźniła uścisk, czując ból w kłykciach.

- Posłuchaj, Mira, może znajdziesz czas, żeby spotkać się na kawce? Pogadamy spokojnie. Tymczasem dzięki za info i do zobaczenia. - Odłożyła słuchawkę, kwitując rozmowę konkretnym stwierdzeniem: - Czujne skurwysyny są. - Nie była pewna, czy sformułowała te słowa w myślach, czy wypowiedziała je na głos. Nie mogła tego wyczytać w twarzy kolegi z pokoju, ale widziała, jak bardzo chciałby poznać szczegóły tego kontaktu.

Z tego powodu nie umawiała się z koleżanką w konkretnym miejscu i czasie, bo wiedziała, że ten szpicel zanotowałby sobie to w pamięci i nie wiadomo kiedy i jak wykorzystał. Wolała załatwić tę sprawę, dzwoniąc później z komórki. Poderwała się zza biurka, żeby bez świadków umówić spotkanie, ale widząc kocią mordę partnera, rzuciła od niechcenia:

- No, Mireczku, najwyższa pora, żeby zaczęło się coś dziać. Póki co nie zostaniesz komendantem głównym.

Jadąc na spotkanie wyznaczone w jednej z kawiarenek na Placu Zbawiciela, Brona kalkulowała, na ile opłaca jej się angażować w tę sprawę. Jeżeli chłopak zawałił któryś z etapów procedury, to może dać sobie z nim spokój i poszukać kogoś innego do tej misji. Nikt taki nie przychodził jej do głowy przy szybkim przeszukiwaniu pamięci, ale wiedziała, że jak poświęci poszukiwaniom więcej czasu, to i tak nie da to zamierzonego efektu. Musiała dalej inwestować w Witka. Chłopak spełniał wszystkie warunki. Był bystry, lojalny i miał silną motywację, żeby grać z nią w jednej drużynie. Poza tym umiała nim manipulować albo, poprawiła się w myślach, wpływać na jego decyzje i sposób myślenia. To było kluczowe w całej operacji. Stworzyć u chłopaka wrażenie, że odkrywa tajemnicę i dociera do prawdy, ale tylko tej, którą ona ze Staśkiem uzna za możliwą do ujawnienia. W tej sytuacji musiała kalkulować, na ile może sobie pozwolić, żeby przepchnąć Witka przez procedurę kwalifikacyjną. Czy ingerencja w proces przyjęcia do policji jest warta późniejszej roli, jaką chłopak ma odegrać w jej planach. Czasami bała się samej siebie, bo gdy na czymś jej zależało, puszczała wodze fantazji i nie kontrolowała hamulców, pędząc na oślep do celu. Taka wariacka jazda mogła zakończyć się nieprzyjemnymi konsekwencjami, a ona, stara policjantka, oficer, z biegiem lat lubiła przewidywać skutki swoich działań.

Dużo zależało od tego, co powie jej Mira w szczerej rozmowie.

Zakładając, że rozmowa rzeczywiście będzie szczerą. To kolejny leitmotiv, który przewijał się w życiu zawodowym policjantki i policji w ogóle. Starsi koledzy, którzy dawno już grzeją emeryckie kapcie, powtarzali jej: „Nie szukaj kolegów w policji”. Sens tych słów dotarł do niej dopiero po kilkunastu latach służby. Jaka ta prędkość dźwięku jest względna, Brona kłaniała się w myślach Einsteinowi.

Mirę znała od lat, ale nigdy razem nie pracowały, spotykały się przy okazji imprez u wspólnych znajomych, z których zresztą tamta wychodziła zawsze wcześniej. Kilkuletnia różnica wieku na korzyść Bronki nie przeszkadzała w dobrym wzajemnym zrozumieniu. Ponieważ przeszły zbliżony szlak bojowy, lubiły swoje towarzystwo. Nie zaprzyjaźniły się jednak nigdy, bo obok zbieżnych momentów życiowych, sporo je różniło. Mira była kobietą poświęcającą się rodzinie i właściwie nie istniało dla niej poza służbą nic, z wyjątkiem starań o wygodę dzieci i męża. Wydawało się, że w tym zaangażowaniu w dogadzanie bliskim nie zauważyła, że dzieci wydorosłały i średnio zależy im na troskliwej opiece matki, mąż natomiast przyjął postawę totalnego podporządkowania się woli żony policjantki.

Przynajmniej będąc w zasięgu smyczy. Brona natomiast zawsze traktowała te tematy z dystansem. Jej egoistyczna postawa kłóciła się z całą ideologią poświęconą życiu dla innych, poświęceniami i innymi duperelami, a nieprzespane noce, o których słyszała od koleżanek matek, jej kojarzyły się wyłącznie z dobrą zabawą i pijacką uciechą.

Do kawiarni weszły niemal w tym samym czasie. Miały jednakową odległość do przebrnięcia przez miasto, ale z przeciwnych stron. Jedna jechała z Pałacu Mostowskich, druga z Ksawerowa. Lawirując pomiędzy stolikami, oceniły w myślach swój wygląd bardzo wysoko. Obie były zadbane i emanowały wyniosłym dystansem do otaczającej rzeczywistości. Były momenty w trakcie ich znajomości, że stawały się dla siebie inspiracją w ubiorze i stylu bycia. Nigdy jednak nie przyznały się do tego, chociaż zbieżność w prezentowanym imagu wyraźnie to potwierdzała. Gdy kelnerka postawiła przed nimi zamówione desery, Brona kontynuowała rozmowę:

- Ja wiem, Mira, że pewnych rzeczy nie przeskoczymy.

Jak mawiał jeden z moich szefów: Z chuja mąki nie wytrzepiesz. Muszę tylko wiedzieć, czy to fikcja, czy chłopak rzeczywiście coś zaważył.

- W dokumentacji wszystko jest w porządku, ale myślę, że dziewczyny naciągnęły wynik na jego niekorzyść. - Policjantka z kadr upiła łyk kawy.

- Można naciągnąć w jedną, to można i w drugą.

- Nie prosź mnie o to - Mira odstawiła filiżankę i poprawiła się na foteliku. - Nie jestem w stanie tego zrobić.

- Spokojnie, Mira, chcę tylko się upewnić, czy to jest możliwe. - Brona beznamiętnie realizowała swoje założenia dla tej rozmowy.

- Pewnie tak, ale ja... - rozpaczliwym gestem tonącego sięgnęła po talerzyk z ciastkiem - miałam nie jeść słodczy, ale mam taką słabą silną wolę.

- Nie denerwuj się, nic nie musisz robić - przerwała jej tłumaczenie kumpela z BSW. - Jak przyjdzie co do czego, to ta twoja pin da Chucky sama to pozmienia.

- Ja nie chcę nic o tym wiedzieć, ale muszę cię ostrzec. Ona ma jakieś silne dyle z komendantem. - Mirka obciągnęła spódnicę na biodrach. Po ciastku zostało tylko wspomnienie.

- I ty myślisz, że komendant zawracałby sobie dupę jakimś kandydatem Witoldem Chausem? Przecież to oczywiste, że on też ma naciski. - Bronka sięgnęła machinalnie po pudełko z papierosami, ale powstrzymała się od zapalenia, patrząc złowrogo na wywieszkę zakazującą używania tytoniu w lokalu.

- A kto miałby go naciskać?

- Co ty, nie oglądasz telewizji?

- Nie oglądam, ale zaraz, zaraz. - Mira potarła dłonią czoło. - Przecież to nazwisko, to...

- Zgadza się, syn.

Kobiety jak na komendę zaczęły rozglądać się wokół siebie.

Jedna, aby przywołać kelnerkę z kolejną porcją słodkości, druga kombinując, jak by tu złamać zakaz palenia.

- Myślisz, że to ma związek z tamtą sprawą?

- Jestem tego pewna. Stasiowi złamali karierę, chociaż nie chce się do tego przyznać. Mnie tyle lat prowadzili na smyczy, nie wiadomo czy w celu

ochrony mnie przed czymś, czy czegoś przede mną. Co im szkodzi usrać teraz chłopaka i zakończyć sprawę po swojemu.

- Tyle lat minęło. Jak ty to wytrzymujesz? - Mirka przypominała w tej chwili zatroskaną sąsiadkę, królową plotek.

- Nie mówmy teraz o tym. Witek musi się dostać i zrobić porządek z tym bajzlem. Tutaj nie ma przedawnienia.

- Ale przecież ty nie dałaś rady. Stasio nie dał rady.

- Ja się tym nie zajmowałam, a Staśka szybko się pozbyli.

- I myślisz, że to się da wyjaśnić? - Policjantka z kadr na stałe weszła w rolę zrzędy. - Po tylu latach?

- Młody jest, niech próbuje. Jeszcze po jednym? - Brona wskazała na puste talerzyki umazane resztkami kremu.

XI



Wieczór w Warszawie był parny i duszny. Gęste, ciepłe powietrze zwiastowało nadejście burzy. Mogła to też być nawałnica, bo takie zjawisko pogodowe wyparło jakiś czas temu z katalogu żywiołów zwykłą ulewę z piorunami. Ulice pustoszały, chociaż trudno to było przypisać zmianie pogody. Pora była późna. Warszawa funkcjonuje do pewnego momentu jak wielka aglomeracja, by po dwudziestej trzeciej stać się zwykłą miasteczką pełną pustych ulic. Wielkość miasta ocenia się po tym, jak funkcjonuje w nocy, a Warszawa w nocy nie funkcjonuje.

Gdy druga zmiana pracowników dotrze do domu, miasto idzie spać wraz z nimi.

Chucky nie miała drugiej zmiany, ale pracowała trochę po godzinach, a później nie mogła sobie odmówić chwili relaksu w SPA. Masaż ajurwedyjski przyniósł odprężenie, a depilacja pastą cukrową niektórych części ciała satysfakcję równą radości młodej aktorki z pierwszej roli filmowej. Ilekroć poddawała się tym zabiegom, przypominała sobie opowiadane przez kolegów w szkole policji w Szczytnie czterdzieści powodów, dla których piwo jest lepsze od kobiety. Jednym z niewielu zapamiętanych przez nią było stwierdzenie, że piwo nie ma włosów tam, gdzie nie potrzeba.

Teraz, gdy czuła w sobie przyływ sił witalnych i miałyby ochotę zagospodarować resztę późnego wieczoru na dalsze przyjemności, odezwał się jej zapchajdziura z informacją, że dzisiaj nie może się spotkać. Telefon popsuł jej humor, a przekonanie o tym, że faceci też mają ciotę, kolejny raz znalazło potwierdzenie. Oczywiście powód niemożności był łatwy do odkrycia. Pewnie pan uczestniczył w kolejnej zakrapianej kolacji z jakimiś sztywniakami, w celu umocnienia swojej pozycji zawodowej. Chucky spotykała się z nim od czasu do czasu. Facet był prokuratorem, nie miał rodziny i jako kochanek był do zaakceptowania. Miał wyobraźnię w łóżku, ale jego postawa życiowa,

narcystyczna troska o swój wizerunek, egoistyczne utrzymanie standardu życia, podlizywanie się silniejszym i lekceważenie słabszych, byłoby na co dzień nie do zniesienia. A już na pewno nie dla takiej kobiety jak podkomisarz Katarzyna Miller. Dlatego nie snuła wokół tej postaci żadnych planów życiowych ani nawet weekendowych. W tygodniu, to co innego.

Ona potrzebowała mężczyzny, który swój polot i inwencję wykorzystywałby, dogadzając kobiecie, a nie sobie. Z braku takich ideałów szukała partnerów na portalach internetowych. Uważała, że daje to sposobność szerokiego sondowania męskiej populacji miasta i w pełni intensyfikuje budowanie relacji damsko-męskich, bez zbędnych podchodów, zalotów, umizgów. Poza tym otwarcie na różnorodność pozwala na wydostanie się z własnego sosu znajomych, gdzie każda próba romansiku czy nawet flirtu jest komentowana oficjalnie i hejtowana za plecami.

Chucky, rozdrażniona przeprosinami i wykrętami prokuratora Czerskiego, schowała telefon i rozpoczęła poszukiwanie w torebce kluczy od mieszkania. Była parę kroków od wejścia do budynku. Blok na Służewcu, niedaleko ulicy Żwirki i Wigury, należał do starej spółdzielni mieszkaniowej. W dzień podwórka zacięniały stare drzewa, a gwar dzieciarni zastąpiły rozmowy o dolegliwościach gastrycznych pań okupujących rozchwiane ławeczki. Życie zamierało tu jeszcze wcześniej niż w całej stolicy, bo mieszkańcami byli w większości ludzie starsi, zaś cieniodajne drzewa po zmroku nie przepuszczały ani jednego lumena światła z ulicznych latarni i okien mieszkań.

Chucky wyciągnęła rękę z kluczem, aby otworzyć drzwi wejściowe na klatkę. Dziurkę od klucza przysłonił nienaturalny dla tej pory i miejsca cień. Dziewczyna spięła całe ciało i poczuła dreszcz przechodzący od karku w okolice lędźwiowe.

Gwałtownie odwróciła głowę w kierunku, z którego wyłonił się zarys postaci. Miała jeszcze czas, żeby szarpnąć drzwi i szukać schronienia przed nieznanym niebezpieczeństwem wewnątrz domu, ale strach ją sparaliżował. Sylwetka człowieka zachwiała się nieporadnie, ale ruch zakończył się sprawnym wy krokiem.

Drzwi zablokowała stopa napastnika, uniemożliwiając ich pełne otwarcie. Chucky puściła klamkę i cofnęła się o krok.

Spojrzała na agresora i poczuła, jak krew napływa jej do policzków. Mieszanina uczuć wyzwalamąca tę reakcję somatyczną była trudna do zdefiniowania. Poznała swojego kandydata Witolda Chausa.

- Co pan tu robi? - starała się zapanować nad głosem, który tak w lęku, jak i gniewie brzmiał podobnie histerycznie.

- Śledzę panią - Witek czknął, wyziewając kłęb powietrza przesyconego przetrawionym alkoholem. Ręce włożył do kieszeni, ale stopą cały czas przytrzymał drzwi.

- Jakim prawem, kto panu pozwolił? - Dziewczyna nie mogła otrząsnąć się z osłupienia.

- W waszym liście gówno było. Nie pozwolę się tak traktować. - Jakaś niewidzialna siła targnęła jego ciałem, ale chłopak trzymał pion.

- Człowieku, weź ty się zastanów nad sobą. Jeszcze chwila i wezwę policję. - Kaśka poczuła, że powinna przejąć kontrolę nad sytuacją. Oceniając, że nic jej nie grozi, poczuła się pewniej.

- Ja jestem policja - wybełkotał Witek.

- Nie i jeszcze długo, długo nie. - Policjantka zrobiła krok naprzód i szarpnęła za klamkę. Witek mocniej docisnął stopę do drzwi. - Wiesz, jak nazywa się to, co robisz? Jeszcze chwila i tego pożalujesz.

- Co możesz mi zrobić po odebraniu marzeń? - W oczach chłopaka pojawił się nieprzyjemny błysk. Chucky wytrzymała to spojrzenie.

- Przekonasz się, jak nie zabierzesz tej nogi - odpowiedziała zaskakująco spokojnie.

- Wali mnie to. Muszę wiedzieć, dlaczego mnie odrzuciliście.

- Nie nadajesz się - gładko skłamała. - A jak do tego dojdzie oskarżenie o molestowanie, którego się właśnie dopuszczasz, to całkiem ukręcisz łeb swoim marzeniom o policji.

Witek cofnął nogę przytrzymującą drzwi. Spuścił głowę, czując, jak rezygnacja wypiera afekt.

- Całe życie podporządkowałem temu celowi. Mam studia, znam sztuki walki, umiem wiele innych rzeczy. Musisz zrozumieć.

- A uprawnienia na wózek widłowy? - weszła mu w słowo rekruterka.

- Co? - oprzytomniał kandydat.

- Ostatnio miałam trzech kandydatów z uprawnieniami na wózek widłowy i się dostali. - Chucky szerzej otworzyła drzwi.

- Może tędy droga - dodała już z klatki schodowej.

Drzwi się zamknęły, blokada elektromagnesu nie pozwoliła na ponowne ich otwarcie. Zza węgła sąsiedniego bloku wyłonił się starszy pan z pieskiem. Witek odszedł kilka kroków i zadarł głowę. Minutę później zapaliło się światło w oknie na drugim piętrze.

- Ty kurwo jedna - szepnął do siebie. - Jaja sobie ze mnie robisz? Ja ci tą sztaplarką w dupę wjadę.

Chucky przez dłuższą chwilę nie mogła dość do siebie. Zamknęła za sobą drzwi mieszkania, a później oparła się o nie, nie mogąc wykonać żadnego ruchu. Wreszcie zmobilizowała ciało do działania, spojrzała w oko judasza, ale na klatce było już ciemno. Zrobiła kilka kroków do aneksu kuchennego, wyjęła z lodówki butelkę z resztką wina i golnęła z gwinta. Usiadła przy stole, zimną butelkę przyłożyła sobie do czoła. Po pobycie w SPA nie pozostało nawet najmniejsze wspomnienie. Gdyby nie efekt depilacji uznałaby, że pieniądze zostawione w gabinetach zostały wyrzucone w błoto. To, co przeżyła przed kilkunastoma minutami, było tak nierealne, że gdyby nie autentyczne wyczerpanie, obarczyłaby odpowiedzialnością za takie przeżycia własną wyobraźnię. Co ten chłopak sobie właściwie wyobrażał? Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej mieszały jej się oceny całej sytuacji. W jednym momencie była gotowa rozszarpać gnoja na kawałki za inwigilację, jakiej się dopuścił, i bezczelne wkroczenie w jej prywatność. Czas po pracy uważała bowiem za swoją zamkniętą enklawę. Po chwili przypominała sobie jego zrezygnowaną, zabiedzoną gębę i swoje słowa o tym, że się nie nadaje. Poczula coś na kształt współczucia. Wiedziała dobrze, że ten chłopak ma lepsze kwalifikacje od niejednego konkurenta, ale z jakichś powodów komendant uznał go za śmierdzące jajo i zlecił wymyśleć coś, co go zdyskwalifikuje.

Szef miał oczywiście prawo powiedzieć każdemu kandydatowi, że nie jest nim zainteresowany i nie przyjmie go do pracy. Tutaj jednak postanowił odrzucić człowieka, posługując się rękoma swojej podwładnej. Dlaczego padło na nią? To oczywiste, bo to ona zajmowała się opracowaniem tego

kandydata. Poza tym była ambitna, nie panikowała z byle powodu i lubiła wychodzić przed orkiestrę. Dodatkowo planowała zrobić karierę w policji i nie wahała się o tym wspominać. Nie chcąc więc zawieść nadziei szefa, w realizacji zleconego zadania posłużyła się psychologami, których oceny dotyczącej kandydata nikt nie jest w stanie zweryfikować. No, może oprócz nich samych.

Kotłowanina myśli towarzyszyła młodej policjantce całą noc. Poranny prysznic przyniósł trochę odprężenia. Całe szczęście, że nie musiała zrywać się jak co dzień i pędzić do biura.

Mira zleciła jej wizytę na sali gimnastycznej i zrobienie małego rekonesansu dotyczącego tego etapu procedury kwalifikacyjnej. Do trenerów ćwiczących kandydatów w zakresie fikołków miała niedaleko, mogła więc jechać z domu bezpośrednio tam, nie dbając o czas dotarcia.

Niepokojąco dużo kandydatów miało problem z zaliczeniem testu sprawnościowego, więc Chucky miała zdiagnozować przyczynę. W zasadzie знаła ją bez jeżdżenia i rozpytywania wuefistów, bo awersja do ruchu i gimnastyki dotyczyła nie tylko kandydatów do policji, ale ogólnie dużej części polskiej młodzieży. Znała trenerów i wiedziała, że traktują swoją pracę bardzo serio. W duchu popierała ich podejście i sztywne trzymanie się norm. Kandydaci na policjantów musieli być sprawni.

Zwłaszcza, że tylko nieliczni później, podczas służby, mieli ambicję dbać o kondycję fizyczną. Dla większości jedynym sportem, jaki uprawiali, było permanentne podnoszenie pięćdziesięciu gramów plus waga kieliszka.

Policjantka weszła na salę pełną ćwiczących. Trenerzy czuwali nad przebiegiem sprawdzianu, dzieląc uczestników na rozgrzewających się, ocenianych, poprawkowiczów i kilka innych podgrupek. Chucky wyjęła spod drabinek lekkiego hantla i ćwicząc biceps, przeszła się po sali. Jeden z instruktorów zagwizdał na nią i kazał ustawić się w jednym z ogonków.

- W tym stroju chcesz ćwiczyć, lalka?

Gdy policjantka zorientowała się, że to do niej, otaksowała swój wygląd wzrokiem. Bluzka z H&M i džinsy z lycrą nie prezentowały się tak źle, poza tym, rzeczywiście, nie różniła się niczym od ludzi poddawanych testom. Właśnie zbierała myśli, chcąc za tę lalkę złośliwie odgryźć się trenerowi, ale

przeciął ich interakcję Marek Ropel, trener i instruktor samoobrony, jeden z gospodarzy tej sali. W swoim czasie była jego najlepszą i ulubioną uczennicą.

- Jak się, Wiesiu, odzywasz do pani komisarz? - Objął Chucky za szyję i dał leciutkiego kuksańca w bok. - Cześć, Kaśko, przyszłaś się trochę poruszać?

Dziewczyna odpowiedziała markowanym ciosem łokcia w brzuch trenera.

- Mira mnie przysłała, za dużo ludzi odrzucacie. Jest wściekła, bo nie wyrabiamy limitów.

Marek złapał dziewczynę pod łokieć i poprowadził między rozłożonymi na parkiecie materacami.

- Sama zobacz.

Policjantka, tym razem w skupieniu, popatrzyła wokół siebie. Jedna z kandydatek sprytnie przeskoczyła przez skrzynię i slalomem przebiegła pomiędzy chorągiewkami, w innej części sali chłopak wisiał na drążku jak penis po wyczerpującym seksie. Jego ręce nie zgięły się w łokciach nawet o jeden radian, a z pokrzykiwań trenera wynikało, że miał wykonać kilka podciągnięć. Wisiał tak kilka sekund, by puścić się i upaść na podłogę zmęczony, jakby przerzucił tonę węgla. Chucky skojarzył się ze zużytą prezerwatywą. Obok niej, na materacu, chłopaczek męczył się ze zrobieniem dwóch brzuszków. Obok zniesmaczonego trenera przystanął starszy policjant z mundurze sierżanta. Trzymał w ręku wypchaną reklamówkę i ciągnął za koszulkę instruktora. Coach zostawił ćwiczącego i potruchtał za natrętym policjantem. Po chwili obaj pojawili się znów na sali, sierżant tarosił rękę trenera w geście podziękowania. Robił to gorliwie dwoma dłońmi, bo ruchów nie krępowała mu już pękata siatka.

Marek zauważył konsternację swojego gościa i szybko zwrócił jej uwagę na pacjenta siedzącego na gimnastycznej ławeczce pod ścianą i tamującego krwotok z nosa.

- Widzisz tamtego rekonwalescenta? Przyjebał sobie sam piłką lekarską. To trzeba mieć talent.

Zrobili kilka kroków w jego kierunku. Trener się nachylił nad łamagą.

- W porządku?

Tamten kiwnął głową, że tak.

- Jak już będziesz pracował w tej policji, to oskarżysz tę piłkę o czynną

napaść na funkcjonariusza. - Poklepał chłopaka po plecach. - Sama widzisz, co tu się dzieje - wrócił do rozmowy z rekruterką.

- Widzę nawet więcej, niż powinnam - odpowiedziała zaczepnie.

Oboje spojrzeli w tamtą stronę, gdzie męczył się chłopak od brzuszków. Trener gwizdnął, że zaliczone. Kandydat padł na plecy jak maratończyk, który miał długą przerwę w treningach.

Sierżanta już przy nich nie było.

- Zaliczył - z niedowierzaniem mruknął Marek. - Miecio się ucieszy.

- Kto?

- Miecio, ten sierżant, co tu był. Bardzo kibicuje niektórym kandydatom.

Chucky nie podjęła tematu. Z szacunku do starszego kolegi nie chciała robić cierpkich uwag na temat Mięcia. Zamiast tego powiedziała:

- Myślałam, że tylko u nas dają popisy sprytu, zaradności i smykałki do życia, ale widzę, że wam też należy się dodatek za szkodliwe warunki pracy.

Marek parsknął śmiechem.

- Dobra diagnoza. Masz z czym wracać do Miry.

XII



Wszystkie siłownie na pierwszy rzut oka wydają się jednakowe, ale starzy bywalcy wychwytyją w ich wyposażeniu takie niuanse, że od razu wiedzą, czy chcą ćwiczyć w tym miejscu, czy coś im z góry nie pasuje. Może nawet nie chodzi o wyposażenie, ale o nastrój i atmosferę sali ćwiczeń. A wydawałoby się, że sprawa polega na zwykłym pakowaniu. Witek zwiedził już kilka siłowni, wybierając je pod kątem sprzętu, obsługi, stałych bywalców, ale też lokalizacji i godzin otwarcia. On należał do tej grupy ćwiczących, których celem nie był przyrost masy mięśniowej. Wybierał takie formy treningu, które pozwalały mu na wzmacnianie sprężystości i siły. Było mu to potrzebne do utrzymania ciała w odpowiedniej formie przy uprawianiu jego ulubionego karate kudo. Ostatnio zainteresował się też izraelskim stylem krav maga, do którego próbował zachęcić go jeden z trenerów z jego macierzystej stajni, jak nazywał swoją ulubioną siłownię. Słuchając historii, tej stworzonej dla potrzeb izraelskich służb specjalnych, techniki walki, chłopak pomyślał o jej przydatności w pracy w policji, a może w przyszłości również w którejś z elitarnych jednostek.

Aktywność fizyczna była jego ulubionym sposobem spędzania wolnego czasu. Podczas treningów spotykał się z ludźmi o podobnych zamiłowaniach, zawierał nowe znajomości, czasami wspólnie z innymi sportowcami szli na kufelek piwa.

Świat Witka zawężał się do pracy w ochronie i treningów. Całe, nawet dość liczne grono znajomych, rekrutowało się głównie z tych dwóch światów, dlatego chętnie zgodził się na propozycję Sandry wspólnego wyjścia na siłownię. Dziewczyna, którą odwiózł do domu tamtego wieczora, miała hopla na punkcie rzeźbienia ciała, a chodziła do fitness klubu, którego Witek jeszcze nie znał. Gdy wyszedł z szatni na salę ćwiczeń, poczuł się jak w pułapce. Okazało się, że przy przyrządach dominują dziewczyny. On był jedynym

chłopakiem, poza dwójką trenerów personalnych. Poczł chęć wycofania się, ale Sandra szybko podbiegła do niego i zaciągnęła do atlasa.

- Coś taki płochliwy? - spytała, rozkładając ręcznik na miękkiej ławeczce.

- Ja? - chłopak nie potrafił ukryć zmieszania.

- Byłeś w męskiej szatni?

- Tak.

- Więc co ci nie pasuje?

Rzeczywiście, obecność męskiej szatni potwierdzała koedukacyjność tego przybytku. Witek rozejrzał się jeszcze raz po sali. Jedynym problemem mogło być tutaj skupienie się na własnych ćwiczeniach. Zgrabne dziewczyny w ćwiczebnych pozach mimowolnie ścigały męskie spojrzenie. Niestety, nie było zainteresowania w drugą stronę, żadna nie zwróciła najmniejszej uwagi na jego przybycie. Chłopakowi przemknęło przez myśl, że może trafił do jakiegoś lesbijskiego klubu pod przykryciem, ale w tej samej chwili wszedł na salę jeszcze jakiś koleś. Rzucił ogólne cześć i przystąpił do rozgrzewki. Witek przestał interesować się otoczeniem i też zaczął się rozciągać. Sandra kątem oka przyglądała się nowemu koledze.

- Dobrze wyglądasz, lepiej jak tamtej nocy - zagadnęła, lekko sapiąc z wysiłku.

- Tamta noc spaskudziła mi trochę moje plany.

- Przeze mnie? - zatrzymała hantla w połowie ruchu.

- Coś ty - zaprzeczył gwałtownie. Może nawet zbyt gwałtownie. - W stosunku do ciebie mam poczucie winy - dodał.

- Coś ty - powtórzyła jak echo Sanderka.

- Miałem cię chronić, a ja naraziłem cię na śmierć z nudów, pół mocy marudząc o swoich problemach - wyznał z lekkim zmieszanym.

- Nie ma o czym mówić. Za to drugie pół nocy przespałeś złożony jak scyzoryk. - Skinęła beztrósko ręką. Wstała z ławeczki i zrobiła kilka wymachów dla rozluźnienia mięśni, które zaczynały pięknie rysować się pod świecą od potu skórą - Naprawdę chcesz zostać gliną?

- Mam to w genach, nie mam innego wyjścia. - Szarpnął trzydziesto kilogramową sztangę.

- Po twoich opowieściach sama nabrałam na to ochoty. Ale Filio by się

zdziwił.

- Co to, w ogóle, za niewydymek? - zainteresował się Witek. - Zachowuje się tak, jakby był królem kolonii lemingów.

- Mówią na niego Filio, bo to podobno po włosku znaczy synalek. Pasuje do niego jak ulał. To przykład człowieka, który wszystko w swoim życiu spieprzył, a tatuś musiał naprawiać.

- Sandra położyła się, szykując do kolejnej serii ćwiczeń. Witek z przyjemnością patrzył na jej brzuch. Wcięcia mięśni biegnących od pasa, aż gdzieś do pachwiny, wydały mu się cudowne.

- Wpływowy tatuś - domyślał się na głos.

- I bogaty.

- Dlaczego się z nim zadajesz? - Chłopak przerwał ćwiczenia, w skupieniu czekając na odpowiedź.

- Jest hojny i umie korzystać z życia.

- Widziałem, jak hojnie rozdaje ciosy.

Dziewczyna instynktownie otarła ramieniem policzek. Jej twarz wyraźnie się zmieniła.

- Podoba ci się tutaj? - spytała po dłuższej chwili, mając na myśli siłownię.

Witek znów powiódł wzrokiem po ponętnych pośladkach ćwiczących dziewczyn. Ten harmonijny widok został jednak zakłócony, w międzyczasie przybyło jeszcze dwóch facetów.

Zadzwoiła komórka. Teraz ćwiczący jak na komendę spojrzeli na Witka złym wzrokiem. Chłopak przeproszającym gestem i miną złagodził irytację towarzystwa i podjął połączenie. Z telefonem przy uchu wycofał się w kierunku szatni. W niektórych tego typu obiektach, rzeczywiście, nie akceptuje się rozmów telefonicznych na sali ćwiczeń. Można to było zrozumieć.

Nie spodziewał się takiego telefonu, ale za kilkanaście minut miało się wszystko wyjaśnić. Ciotka Brona chciała się z nim spotkać, więc powiedział, gdzie go szukać. Miała tu dotrzeć w niedługim czasie, więc nie wracał już na salę, tylko poszedł pod prysznic. Domyślał się, że wizyta Brony ma związek z jego porażką w staraniach o przyjęcie do policji. Spodziewał się albo połajanki za pokpienie sprawy, albo ręki wyciągniętej na pomoc. Znał szaleństwa

przyszywanej krewnej i wiedział, że może się po niej wszystkiego spodziewać. Jeżeli będzie chciała mu pomóc, to uruchomi najgłębsze pokłady wyobraźni, a także realne siły, żeby osiągnąć zamierzony cel. W zasadzie, to w niej pokładał teraz największe nadzieje i musiał jej zaufać.

Wyszedł do holu pociągając z butelki napój izotoniczny.

Brona siedziała na skórzanej, miękkiej kanapie i przeglądała jakieś kolorowe czasopismo, jedno spośród tych rozrzuconych na blacie stołu, jak w gabinetach kosmetycznych albo u fryzjera.

- Cześć, ciotka - Witek przywitał się, siadając naprzeciwko.

- Nie mów tak do mnie - udała wzburzenie. - To mnie postarza. Jak byłeś małym chłopcem to OK, ale teraz?

- No tak, przecież tylko mnie lat przybyło.

- Poza tym nie jestem twoją ciotką. Powinieneś już z tego wyrosnąć.

- Dla mnie jesteś i będziesz ciocią Bronią.

- No tak, żywią i bronią, jak PSL - mówiła szybko, z dużą dawką afektu. - Siadaj, musimy pogadać. - To, że Witek siedział od początku rozmowy, przy jej ekspresji nie miało żadnego znaczenia.

- W twojej firmie robią mi pod górkę. Nie wiem, czy jest jeszcze o czym gadać. - Chłopak zaczął od mantykowania.

- Nie piernicz, trzeba coś z tym zrobić, dlatego tutaj jestem - zniżyła głos do konfidencjonalnego półszepotu.

- Co zrobisz? Jedna taka koza z kadr uwzięła się na mnie.

Nie chce nawet beknąć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Musimy spróbować ją skruszyć.

- Mówisz poważnie? Ciekawe jak? - Ciotka wlała w duszę chłopaka odrobinę optymizmu, ale wątpliwości jeszcze pozostały. - Ona wygląda na twardą babę, to zołza jest.

- Nie martw się, Wituś, utracenie cię z procedury wstępnej to była jedna wielka ściema. Można to odkręcić, tylko trzeba wiedzieć jak.

- Chodzi o ojca, tak? - Chłopak poczuł dreszcz na dźwięk własnych słów.

- Dobrze wiesz, że chcą sprawę definitywnie zamknąć.

- Policjantka poprawiła się niespokojnie na kanapie. Brakowało jej papierosa. - Teraz będzie im jeszcze łatwiej, bo Baron wkracza do

ministerstwa w randze wiceszefa. Skoro wpieprzyli się na ścieżkę twojej kariery zawodowej, to znaczy że czują zagrożenie. Ty musisz trafić do policji i pilnować, żeby ani jeden papierek nie wyparował z akt. Z czasem dojdiesz prawdy.

Witek przez chwilę milczał. Miał w umyśle to, co usłyszał.

Rzeczywistość, z jaką przyszło mu się mierzyć, wydawała mu się niesprawiedliwa.

- Wiesz, jak mi zależy - odpowiedział. - Zrobię wszystko, co trzeba, ale mamy mało czasu.

Przy całej swojej naiwności, chłopak wypowiedział prorocze słowa. Machina Barona pracowała w sposób niewidoczny, ale skuteczny, poruszając liczne, zależne od siebie trybiki.

XIII



Takich panów znają wszyscy we wszystkich środowiskach i establishmentach. Elegancko mówi się na nich „lobbyści”, ale dopuszczalne jest także określenie „załatwiacze”. Nie ma ich w sferze społecznej zbyt wielu, przynajmniej takich, którzy należą do elity tego gatunku. Nie konkurują ze sobą, stosując się do świętych praw obowiązujących w świecie wielkiego biznesu, z lubością cytując stare rosyjskie przysłowie: tiszje jedjesz, dalsze budjesz. Przestrzegają, między innymi, zasad dyskrecji, nie obnosząc się ze swymi kontaktami i bogactwem, pamiętając, że pieniądze lubią ciszę. Właśnie w zaciszu gabinetów dopinają milionowe transakcje związane z przetargami dla ministerstw, służb specjalnych, resortów, urzędów publicznych, instytucji rządowych i samorządowych. Doskonale działająca machina sprawia, że ludzie z samego szczytu hierarchii, zaangażowani w tego rodzaju operacje, czerpią korzyści ze współpracy. Nie istnieją tutaj bowiem inne ambicje niż te związane z dobrym zarobkiem. Przekonania polityczne przestają mieć znaczenie, a koneksje partyjne liczą się tylko wtedy, gdy podporządkowane są wyłącznie wymiernym zyskom w postaci sześciocyfrowych prowizji. Część pozyskanych dóbr ludzie ci konsumują na miejscu, ale prawdziwe przejawy bogactwa gromadzą za granicą.

Egzotyczne kraje wykorzystują też dla pozyskiwania nowych kontaktów i budowania zależności. Nic tak nie zbliża ludzi, jak wspólny wyjazd do Las Vegas, okraszony towarzystwem pięknych pań i pakietem doznań znanych wyłącznie królom życia.

Gotówka, drogie prezenty, wycieczki, pomoc w załatwieniu rzeczy niemożliwych do załatwienia, zacieśniają więzy i wzajemnie uzależniają takie kręgi towarzyskie. Nad funkcjonowaniem takich powiązań czuwają potężni ludzie, którzy budowali swoją pozycję latami. To o nich mówi się, że mają w swoich rękach prawdziwą władzę.

Właśnie z takich środowisk wywodził się Aleksander Baronowski, znany we wszystkich kręgach życia publicznego jako Baron. Miał w swoim życiu okresy wzlotów i upadków, ale te drugie nigdy nie były na tyle bolesne, żeby nie potrafił się po nich podnieść. Wręcz przeciwnie, gdy patrzy się na jego karierę, można dojść do wniosku, że każda porażka wzmacniała go i w konsekwencji czyniła jeszcze potężniejszym. Pomagał mu w tym autentycznie mocny charakter i, wbrew pozorom, przestrzeganie pewnych żelaznych zasad. Jedną z nich było unikanie zdrad. Pomimo że kilka razy zmieniał sztandar, pod którym uprawiał swoje biznesy, to nigdy nie palił za sobą mostów.

Ludzie, z którymi kończył ścisłą współpracę, pozostawali z nim w zawikłych, wielopoziomowych układach, często później korzystając z jego wsparcia. Stare kontakty szybko okazywały się idealnie pasować do nowych wyzwań i realizujących je podmiotów. Można by powiedzieć, że w tym systemie nic się nie marnowało. Nie było odpadów.

Baron lubił blichtr i nie unikał sytuacji, kiedy mógł być w centrum uwagi. Imponowały mu tytuły, jakimi go obsypywano przy różnych okazjach. Podpatrywał wzorce zachowania i wybierał z nich najatrakcyjniejsze, adaptując do własnych potrzeb.

Potrzeby bowiem miał duże, a apetyt na eksponowane stanowiska dopisywał mu wilczy. Chętnie przemawiał i robił to dobrze, bo intuicyjnie wyczuwał, co audytorium chce usłyszeć. Posługiwał się przy tym krótkimi chwytliwymi hasłami, łatwymi do zapamiętania i odbieranymi jako mądrości życiowe. Podczas spotkań udawał skromnego i zawsze przestrzegał zasad hierarchii. Spotykając mocniejszych od siebie pozostawał w cieniu, nie wychodząc nigdy przed orkiestrę, a przy słabszych zaznaczał swoją pozycję w dwójnasób, to znaczy prezentował się jako o wiele potężniejszy niż był w rzeczywistości. Robił to jednak mało nachalnie, pamiętając o tym, że za jakiś czas ktoś z tych usytuowanych pod nim może znaleźć się nad nim. Baron nie szczędził pieniędzy na to, żeby ludzie w jego otoczeniu czuli się dobrze. Zwłaszcza ci, na których mu zależało. Nieomylny instynkt podpowiadał mu, w które znajomości warto inwestować, a które wymagały tylko podtrzymywania zwykłych relacji. Nigdy nie okazywał wrogości. Nawet w stosunku do osób, na których się zawiódł, nie był mściwy i nie próbował

odwet.

Dbał wyłącznie o wzmocnienie pozytywne, o którym dowiedział się z jednej z nielicznych przeczytanych książek traktujących o biznesie. Uważał, że tego typu lektura przesycona jest teoriami w żaden sposób nieprzystającymi do rzeczywistości. Z wyjątkiem tej jednej wskazówki, zaczerpniętej od niewiadomego autora, w sprawach zawodowych kierował się własnymi zasadami.

Pan Aleksander miał tylko jedną słabość. Był nią syn Tomek. Od najmłodszych lat chłopak był wychowywany w cieplarnianych warunkach. Tolerancyjna, nadopiekuńcza matka zachłysnęła się teorią wychowania bezstresowego. Dało to opłakane skutki i sprawiło, że Baron obwiniął małżonkę za wszystkie słabości synalka. Było ich niemało, bo chłopak przejawiał niezwykle talent do pakowania się w kłopoty. W pewnym momencie ojciec próbował wziąć wychowanie syna na własne barki, ale wszystko wskazywało na to, że jest już za późno. Jako kochający, troskliwy tatuś mógł co najwyżej sprzątać po wybrykach potomka, a w czasie względnej ciszy pomiędzy kolejnymi wyskokami spełniać jego kosztowne zachcianki w nadziei, że chłopak w końcu się zmieni. A chłopak lubił zabawę na pełnych obrotach. Szemrane towarzystwo, w którym się obracał, wykorzystywało go, ale też uczyło życia. W pewnym okresie próbował uniezależnić się od rodziców. Biznes narkotykowy wydawał mu się idealnym zajęciem. Nie wymagał zbyt wiele pracy, a przynosił kolosalne zyski. Potężne tarapaty, w jakie popadł z powodu swojej lekkomyślności, na krótko utemperowały jego hulaszczcze zapędy. Szybko jednak zapomniał o kłopotach i w poczuciu bezkarności ruszył w kolejne tango. Teraz trzydzieści parę przeżytych lat wcale nie przypominało mu o konieczności zmiany stylu funkcjonowania i próbie ustatkowania się. Żył z dnia na dzień, ciesząc się sukcesami tatusia dającego mu wygodne oparcie, a czasami nawet podnózek. Niekiedy docierało do jego świadomości, że balansuje na krawędzi, że przyjdzie taki moment, kiedy stary okaże się za krótki, by wyprostować krzywe kluchy albo w ogóle go zabraknie. Ograniczał jednak maksymalnie te chwile refleksji albo odrzucał je, kładąc jeszcze większy nacisk na bycie tu i teraz. Życie chwilą wydawało mu się jedynym lekarstwem na takie głupie myśli. Jeżeli miałyby przyjść

prawdziwe kłopoty, to przynajmniej niech one będą równowagą dla słodkiego życia, które wiódł dotychczas.

Baron jakby nie zauważał, że syn jest już dorosłym mężczyzną i powinien zajmować się zupełnie czym innym niż wieczna zabawa. Próbował kiedyś wprowadzić go w swoje interesy, ale próby te zakończyły się sromotną klęską. Kilka osób, które pośredniczyły w ulokowaniu Tomka na lukratywnym etacie, miało później słuszne pretensje do Barona o nadszarpnięcie ich autorytetu i reputacji, z powodu totalnej nieodpowiedzialności syna. Podobnie było ze studiami. W zasadzie można było przepchnąć syna przez fajny kierunek na prywatnej uczelni, ale dla Tomka zbyt ciężko było pojawić się co jakiś czas na uczelni, żeby zebrać podpisy do indeksu. Ojciec sam jeździł po te zaliczenia, ale po roku zauważył, że robi z siebie pośmiewisko wśród przedstawicieli senatu uczelni. Zarzucił więc pomysł uniwersyteckiej edukacji syna. Na jakiś czas stracił Tomka z pola widzenia. To właśnie wtedy, dorosły już dzieciak, wrąbał się w prawdziwą kabałę. Odkręcenie tego wymagało nie lada wysiłku, ale musiał to zrobić chroniąc, między innymi, własny prestiż. W zasadzie, konsekwencje tamtego wyczynu Tomasza cała rodzina odczuwała do chwili obecnej. Może więc teraz, gdy środowisko polityczne doceniło Barona i powierzyło mu tekę wiceministra w MSW, uda mu się wreszcie zakończyć sprawę syna na własnych warunkach. Czego się nie robi dla własnego dziecka. Należało jednak postępować bardzo dyskretnie. Czasy się zmieniały, a wraz z tymi zmianami coraz częściej pojawiały się w otwartej przestrzeni hasła o transparentności życia publicznego. Barona drażniły podobne dyrdymały utrudniające robienie interesów, chociaż w swoich wystąpieniach nieraz wygłaszał podobne postulaty, kładąc nacisk na konieczność ich stosowania. Pamiętając o złych ludziach, wykorzystujących w walce politycznej każde potknięcie przeciwnika, założył sobie, że ciągnącą się latami sprawę syna zakończy w sposób niebudzący niczyjej wątpliwości. Do realizacji planów potrzebował odpowiednich ludzi. Musieli być lojalni i wierni jak psy, inteligentni na tyle, by zrozumieć jego zamiary, ale nie do tego stopnia, by umieć wykorzystać jego machinacje dla własnych potrzeb. Pozycja, jaką miał obecnie, dawała wielkie możliwości zarówno w manipulowaniu ludźmi, ich karierami i stanowiskami, jak też dostępu do nieosiągalnych dla innych sfer

informacji. Postanowił to wykorzystać w taki sposób, aby jego udział w knowaniach był ukryty za potrójną zasłoną. Wielowarstwowe zabezpieczenie przed demaskacją pozwalało na nierzucające się w oczy manipulowanie przy sprawie, a w razie czego rozmycie odpowiedzialności za prowadzenie nieczystej gry.

XIV



Witek dotarł na umówione spotkanie przed czasem. Nie musiał dzisiaj być w klubie, więc wieczór miał wolny. Jednak niepokój i ciekawość, co ciotka ma do zaproponowania w jego sprawie, nie pozwalały mu dotrzeć do umówionej godziny.

Zrobił więc sobie spacer w kierunku Kabat, gdzie mieszkała Brona, podobnie zresztą jak duża część policjantów z garnizonu stołecznego i KGP. Pomimo dotarcia na miejsce na piechotę, do drzwi mieszkania zadzwonił pół godziny wcześniej, niż to było ustalone. Drzwi otworzył Stasiek, zaproponował chłopakowi rozgoszczenie się i popędził do kuchni. Stamtąd krzyczał coś o udanym wypieku, który musi w odpowiednim czasie wyjąć z pieca. W międzyczasie w pokoju urządzonej jako livingroom pojawiła się Bronka, dokonując ostatnich poprawek przy fryzurze. Jak na wieczór spędzany w domowych pieleszach wyglądała nad wyraz efektownie. Witek nie sądził, że chce zrobić wrażenie na nim, więc konstatował, że albo ma to w naturze, albo cały czas stara się olśnić własnego męża. Chłopak zupełnie nie miał doświadczeń w tym względzie, bo nie mieszkał dotąd z żadną dziewczyną, a w domu rodzinnym od dawna nie było ojca, czyli głowy rodziny, dla której współmieszkanki mogłyby odstawiać takie toalety. Takie kokieteryjne zachowanie ciotki w stosunku do wieloletniego partnera wydało mu się jednak czymś graniczącym z patologią.

Usiedli we trójkę przy stole w aneksie kuchennym. Oprócz ciepłych napojów, pan Stanisław postawił przed nimi tacę z pięknie przystrojonymi babeczkami. Ich zapach roznosił się po całym mieszkaniu, podrażniając receptory łaknienia.

- Wstawię je na facebooku - pochwalił się gospodarz, robiąc kilka zdjęć komórką. - Jestem w takiej grupie kulinarnej, gdzie uczestnicy dzielą się swoimi dokonaniem w kuchni. Myślicie, że się nada? - spytał, zerkając na

żonę i Witka wpatrzonych w kolorowe, marcepanowe kwiatuszki oplatające kruche ciasteczka.

- Wspaniale to wygląda, aż żal będzie zjeść. W moich oczach nie bardzo to jednak pasuje do pana. - Witek podzielił się dysonansem poznawczym, który towarzyszył jego ocenie wizerunku emerytowanego policjanta.

- Dwadzieścia pięć lat w kryminalnym nauczyło mnie dwóch rzeczy. - Stanisław oparł łokcie na blacie stołu i pochylił się w stronę chłopaka. - Właściwie trochę więcej, ale teraz powiem o dwóch. Po pierwsze, nie ma czegoś takiego, że coś do kogoś nie pasuje. Widziałem takie osoby, do których śmierć nie pasowała, a sztywni byli jak chuje po viagrze. Po drugie, przekonałem się, że jak w Warszawie chcesz dobrze zjeść, to musisz sobie sam ugotować.

Bronka zaśmiała się, jakby usłyszała dobry dowcip. Upiła łyk aromatyzowanej herbaty.

- Dostrzegłam eufemizm w tym, co powiedziałeś. Nie lepiej od razu przyznać się, że masz żonę upośledzoną pod względem kulinarnym?

Stasiek wyprężył się nad stołem i pocałował swoją kobietę w policzek.

- Masz inne walory, które rekompensują twój kuchenny niedorozwój.

- Dostyc tych pieszczot - pogłaskała męża po policzku.

- Potrzebujemy twoich wskazówek.

- Nie zdradzam swoich sekretów, receptur ani przepisów.

- Chcemy sprowokować Barona do działania. - Policjantka zlekceważyła łożuberski ton Staśka. - Mam wrażenie, że jak się go podkreśli, to sam się pogryzą. Trzeba się spieszyć, bo gdzie tylko może, ładuje swoich ludzi. Wiesz kogo awansowali na zastępcę stołecznego?

- Nie mam pojęcia, ale znając Barona, to zapewne gość ma klasę.

- Tak, ma klasę... powtarzaną dwa razy - Bronka zrobiła dramatyczną pauzę. - Filistyński.

- Filistyński? - z niedowierzaniem powtórzył Stach.

- Przecież ten młot nie powinien wyjść poza krawężnik.

Nie obrażając krawężnika. Czy to nie on uczył cię rzemiosła? - próbował sobie przypomnieć fakt z przeszłości.

- Wtedy nie był dla mnie młotem. Byłam nim za fascynowana. Miał

łobuzerski styl i gadane. Niestety.

- Spojrzała na przysłuchującego się rozmowie Witka, jakby chciała się z czegoś wytłumaczyć.

- Pamiętam go z jakiegoś szkolenia - zaczął z namysłem policyjny emeryt. - Pojechałem tam jako opiekun grupy. Był z nami w pokoju niejaki Sienkiewicz. I ten Sienkiewicz ciągle spał. Kiedyś zbieraliśmy się na wódkę i któryś ciągnął Sienkiewicza z łóżka. Wtedy Filistyński stanął w obronie kolegi i mówi: „Dajcie spokój Sienkiewiczowi, wiecie, ile się trzeba namęczyć, żeby taką Lalkę napisać?”.

Witek zachłysnął się herbatą. Głośno odkaszlnął i podniósł ręce do góry.

- Młot, nie młot, ale jak każą mu warować, to będzie warował. Jak Roch Kowalski, skoro już jesteśmy przy klasykach - skwitowała gospodyni.

Stanisław spojrzał na Witka. Chwilę się zastanawiał, jakby szukał w myślach odpowiednich słów.

- Trzeba by wznowić śledztwo w sprawie twojego ojca, to ich naelektryzuje.

- Ale jak to zrobić? - Witek uderzył się w pierś, próbując ustabilizować pracę tchawicy. - Ja mogę tylko was słuchać i przytakiwać.

- Musimy dostarczyć nowych dowodów - były policjant wydobywał z pamięci zakurzoną nieco wiedzę - albo zdarzeń mających punkty wspólne z tamtym... - zawiesił głos, znów szukając odpowiedniego sformułowania - ...wypadkiem. Wtedy prokurator, niezależnie od tego, po której jest stronie, będzie musiał zareagować.

- Co to mogłoby być? - zainteresował się chłopak.

- To samo miejsce, metoda działania sprawcy, okoliczności. Po tylu latach to niezwykle trudne, ale nie niemożliwe. Na przykład cios nożem. W całej swojej karierze jeden jedyny raz spotkałem się z takim uderzeniem. Nazwaliśmy to cios szpiegowski. - Stasiak wziął do ręki nóż kuchenny i próbował zademonstrować, jak mógł wyglądać cios, który przed laty zadano ojcu Witka. - Najlepsi fachowcy analizowali dane z oględzin, biorąc pod uwagę kształt i usytuowanie rany, siłę wektorową, ułożenie ciała ofiary, ukształtowanie miejsca zbrodni. Doszli do wniosku, że najbardziej prawdopodobny był cios zadany prawą ręką trzymającą nóż na wysokości

głowy, z rękojeścią skierowaną na zewnątrz dłoni. To mogło być coś takiego.

Nóż wypadł mu z ręki, omal nie kalecząc siedzącej obok Brony. Ta chwyciła za rękojeść broni i szybkim ruchem wykonała opisany przez Stacha zamach. Ostrze zatrzymało się dosłownie kilka centymetrów od szyi emerytowanego policjanta.

Brona odrzuciła nóż na blat i ukryła twarz w dłoniach.

- Przepraszam - wciągnęła haust powietrza, żeby się opanować. - To mi stanęło przed oczami.

- To moja wina - przyznał się Stasiak i pogładził ją po karku. - Nie powinienem do tego wracać. Zjedzcie po babeczce.

- Przesunął tacę w kierunku gościa.

- Już w porządku. - Brona wytarła wilgotny nos i lekko drżącą ręką sięgnęła po papierosa. - O to właśnie chodziło.

- To znaczy? - spytał Witek, który z konsternacją obserwował zaistniałą przed chwilą scenę.

- Może uda nam się upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

- Brona była już zupełnie spokojna. - Zdobędziemy dowody i może odwrócimy twoją złą passę, kandydacie.

XV



W gabinecie panował półmrok. Pomieszczenie oświetlała wyłącznie lampa stojąca na biurku, stylizowana na zabytkowy eksponat, z wielkim abażurem i mosiężną, solidną podstawą w kształcie wyprężonych nimf. Pasował, według opinii niejednego bywalca tego pokoju, jak piórko w dupie, do paździerzowych mebli oklejonych drewnopodobnym jasnobrązowym fornirem, krzesel, żywcem zapożyczonych z sali jadalnej zajazdu leśnego na drodze Cichanowiec - Ostrów Mazowiecka i witrynek pełnych policyjnych pamiątek, od czapek, przez emblematy, po proporce i puchary. Obrazu gabinetu dopełniał pięćdziesięcio kilkucalowy telewizor i rząd niezliczonych aparatów telefonicznych ustawionych na osobnym stoliku, ale w zasięgu prawej ręki. Z jednego z nich korzystał właśnie zastępca komendanta Filistyński, poniewierając podwładnego oficera z podległej jednostki za brak nadzoru.

Wracając z odprawy w komendzie głównej, pan zastępca komendanta zauważył przez szyby swojej limuzyny, jak jeden z patroli zaparkował radiowóz w wąskim przejściu pomiędzy blokami, a policjanci smacznie zajadali sobie lody. Tymczasem w sąsiedniej bramie jakiś pijak chwiejnym strumieniem moczu wypisywał na murze HWDP. Pan komendant zapisał numery taktyczne policyjnego auta i w niewybrednych słowach poinformował o swoich ustaleniach komendanta podległej jednostki. Tłumaczenia, że policjanci korzystali właśnie z przerwy, nie zmieniały jego oceny sytuacji i stylu, w jakim rozmawiał z podkomendnym. Powody takiego zachowania były dwa. Pierwszy, nieuświadomiony z powodu ogólnego braku refleksji nad swoim zachowaniem, wynikał z dużej dawki wody sodowej, jaka dostała się do głowy Filistyńskiego wraz z niedawnym awansem. Tak szybko do roli wymagającego przełożonego nie przystosował się chyba jeszcze nikt w bez mała stuletniej historii tej formacji. Ten człowiek po prostu usiadł w fotelu

komendanta i zaczął rządzić. Drugi powód właśnie siedział u niego na kolanach. Pani Magda, sekretarka, która od kilku dni obsługiwała nowego szefa, była nad wyraz sympatyczną i niewinną istotą. Znała swój fach i idealnie pasowała do powierzonych roli.

Z szefem podrywaczem spotkała się jednak pierwszy raz. Poprzedni panowie, piastujący to stanowisko, byli mili i szarmanccy, ale podchodzili do swojej funkcji profesjonalnie. Komendant Filistyński szybko się spoufalił, ale widząc, że dziewczyna nie rzuca mu się nieprzytomnie w ramiona, postanowił nad nią intensywnie popracować. Był niecierpliwy w tych sprawach i na dłuższy flirt nie miał ochoty ani czasu, więc w obecnej sytuacji uznał, że najlepszą drogą do zaimponowania dziewczynie będzie pokazanie jej swojej mocy. Władzy, przed którą drżą policyjni twardziele. Dziewczyna, niestety, zamiast robić zdumione oczy, że stała się obiektem zainteresowania półboga, drżała z obawy przed zemstą za niewywiązanie się z pokładanych w niej sprośnych oczekiwań.

Na pulpicie z telefonami rozbłysła biała lampka mówiąca o połączeniu z miasta. Filistyński uwolnił pierś sekretarki od swojej ordynarnej pieśczości i sięgnął po słuchawkę. Pewny, nieznoszący sprzeciwu głos rozmówcy poznał natychmiast. Podskoczył na fotelu, tak że Magda o mało nie zrobiła fikołka, tracąc równowagę. Gestem nakazał dziewczynie opuszczenie gabinetu i skupił się na rozmowie. Przez chwilę słuchał tego, co osoba z tamtej strony łączyła mu do powiedzenia, aby po chwili rwanymi zdaniami potwierdzić swoją dyspozycyjność.

- Trzymam rękę na pulsie. Nikt nie ruszy tej sprawy bez mojej wiedzy. Teraz, z pozycji zero dwa, łatwiej mi tego pilnować... Oczywiście, że wiem, komu to zawdzięczam... Uniżony sługa pana ministra... - machinalnie poprawił krawat pod szyją.

- Próbowali nam wcisnąć tego młodego, ale zablokowałem.

Jedna z tych dziewczyn od rekrutacji działa pod moje dyktando.

- Dobrze, że o tym wspominasz - wybrzmiało w słuchawce. - Mam jedną dziewczynę do przyjęcia, marzy jej się policja.

- Ładna? - Dla Filistyńskiego to było jedyne kryterium, na podstawie którego oceniał, czy warto zająć się sprawą.

- Ani mi się waż - głos w słuchawce zabrzmiał poważnie.

Wystarczająco poważnie, żeby policjant zrozumiał i wycofał się ze swojego bałamutnego podejścia.

- Tylko pytam, nie muszę jej od razu ruchać.

- Zajmij się tym, co do ciebie należy.

- Może być problem. Zapiżdzoną jednostkę mam. Brakuje chłopaków. Przecież samych dup w patrol nie wyślę - do narzekania na problemy kadrowe zdążył się przyzwyczaić przez pierwsze godziny urzędowania. W ten sposób dało się wytłumaczyć niemal wszystkie bolączki.

- Mam się zwrócić do kogoś innego?

- Sprawa będzie załatwiona, panie ministrze. Proszę się nie martwić i przysłać do mnie kandydatkę.

Baron, w towarzystwie dojrzałych panów w nienagannie skrojonych garniturach, jadł kolację w eleganckim viproomie nowej restauracji. Towarzyszyła mu piękna dziewczyna o blond włosach i grubych ciemnych brwiach. Błada cera kontrastowała z czerwoną szminką błyszczącą na wargach. Obcisła sukienka uwydatniała nieproporcjonalnie duży biust i zbyt wąskie biodra.

Takie podobały się ministrowi najbardziej. Julia była jedyną kobietą w tym towarzystwie. Jednocześnie spełniała rolę ozdobnika wieczoru i adresatki niezliczonej ilości komplementów, a pan Aleksander tytułował ją swoją asystentką. Dziewczyna nie odzywała się prawie wcale, jednak podczas rozmowy telefonicznej Barona zastępowała mu zajętą trzymaniem aparatu rękę i podawała widelcem wprost do ust kawałki polędwicy w sosie rozmarynowym.

- Bardzo dobrze. - Minister Baranowski ściągnął ustami kęs mięsa, uśmiechając się do karmiącej go dziewczyny. - I pilnuj sprawy Chausa. Nie wiem, co ta małpa knuje, ale nie odpuszcza. Od samego początku uwzięła się na mojego chłopaka i miesza. Razem z tym swoim mężulkiem. Cześć.

Filistyński odłożył słuchawkę. Poczuł, że jest spocony pod pachami. Teraz przydałaby mu się chwila prawdziwego odprężenia. Wstał i uchylił drzwi do sekretariatu. Z niezadowoleniem stwierdził, że pomieszczenie jest puste. Biurko wyczyszczone z bieżących dokumentów, a małe radyjko tranzystorowe

wyłączone. Magda opuściła swoje stanowisko pracy. Wrócił do gabinetu i z dna szafy ubraniowej wydobył niedopitą butelkę whisky. Pociągnął z gwinta.

XVI



Chucky miała nawyk późnego wracania do domu, charakterystyczny dla większości singli. Wszystko, co potrzebne do życia młodej kobiecie, robiła poza domem, a do bazy wracała po spokojny sen. Zmieniała nawyki tylko wtedy, gdy umówiła się u siebie z prokuratorem, a wcześniej z innym bolcem zapoznanym na portalu randkowym. Dziewczyna szła szybkim krokiem, co jakiś czas oglądała się za siebie, pamiętając o niedawnej przygodzie z tym upierdliwym kandydatem Chausem.

Dobrze знаła drogę i każdą dziurę w chodniku, ale ciemność w tej okolicy w ogóle nie korespondowała z wielkomijskim krajobrazem. Drzewa pomiędzy blokami rozrosły się od czasów pamiętających początki osiedla. Dawały pożądaną cień w upalne dni, ale w letnie noce ich liściaste korony całkiem blokowały dostęp światła z latarni i okien mieszkań. Trzeba było mocno wytężyć wzrok, żeby dostrzec obrys podwórkowej alejki.

Chucky zasiedziała się, popijając piwko z dwoma kolegami z cebeesiu, z których jeden, Maciek, dzielił z nią niedolę na podyplomówce w Szczytnie. Zasada jest niezmienna, że gdy policjanci wchodzą na bieżące tematy służbowe, to mogą przegadać całą noc, a gdy zaczynają się wspominki dotyczące szalonych lat policyjnej edukacji, to tematy nigdy się nie kończą. Niestety, kończy się cierpliwość kelnerów, gdy klienci beztrosko, samodzielnie przedłużają godziny otwarcia lokalu. Trzeba więc było rozstać się w połowie opowieści, z solenną obietnicą zorganizowania następnego mityngu.

Za sąsiedniego bloku Chucky usłyszała kilka pijackich przekleństw, a później nieudane próby zanucenia jakiejś świńskiej przyśpiewki. Łomot przewracanej ławki i toczącej się po chodniku butelki zabrzmiał gdzieś bardzo blisko. Wypatrywała sąsiada z pieskiem, dzięki któremu czuła się zawsze pewniej, dobijając do portu, ale zreflektowała się, że zarówno sąsiad, jak i

jego piesek zapewne już od jakiegoś czasu pogrążeni są we śnie. Obejrzała się jeszcze raz, a gdy jej twarz wróciła do poprzedniej pozycji, miała przed sobą ścianę stworzoną przez wysokiego, zakapturzonego dresiarza. Stał tak blisko, że jego pojawienie się w tym miejscu było wprost niewiarygodne. Na rozważanie realnych możliwości teleportacji nie było czasu. Kaśka nie zdążyła wykonać żadnego ruchu, gdy ten chwycił ją za ramiona, odwrócił tyłem do siebie i oplótł przedramieniem szyję.

Pod dziewczyną ugięły się nogi. Paraliż wywołany szokiem usztywnił, a później obezwładnił całe ciało. Zaczęło brakować jej tchu, walczyła o gram powietrza, ruszając ustami jak ryba wyjęta z wody. O wzywaniu pomocy nie było mowy, podobnie jak o wydobyciu ze ściśniętego gardła jakiegokolwiek odgłosu.

Gdy uścisk osłabł, osunęła się wzdłuż potężnego ciała agresora i wsparła na kolanach. Napastnik jedną ręką chwycił ją za włosy i twarz przycisnął do swojego krocza, drugą zaczął nerwowo majstrować przy zamku rozporaka. Półprzytomna Chucky czuła, jak opuszczają ją siły i resztką świadomości próbowała ocenić sytuację. W zasadzie pogodziła się już z nieuchronnością tego, co ma się zdarzyć. Chłopak odepchnął ją, by móc swobodniej dysponować jej, po części bezwładnym, ciałem. Zrozumiał, że półprzytomna laska nie nadaje się do takich figli, jakie założył na początku. Musiał zmienić pozycję. Nachylił się nad nią i wsunął rękę między uda. Dziewczyna wierzgnęła nogami i ze zdumieniem stwierdziła, że napastnik osunął się na ziemię, jakby ktoś odciął prąd w jego organizmie. Sekundę później jego ciałem wstrząsnęło silne szarpnięcie. Dresiarz zwałił się na bok z cichym jęknięciem. Próbował skorygować pozycję, ale rękę, na której się wsparł, ktoś podciął kolejnym ciosem. Bandzior nie dawał za wygraną. Z tylnej kieszeni wyciągnął motylkowy nóż i efektownym młynkiem obnażył jego ostrze. Uzbrojona ręka dała mu przewagę, na tyle dużą, że mógł wstać. Chucky w panice podpełzła na czworaka pod ścianę budynku. Oparła się plecami o chropowaty mur. Jej świadomość powoli wracała, ale dalej nie mogła zrozumieć, co się wokół niej dzieje. Dresiarz zamachnął się majchrem w kierunku swojego przeciwnika, ale ten zrobił unik i w tym samym momencie zaatakował uzbrojoną rękę stosując dźwignię. Po przyłożeniu niewielkiej siły,

nóż wysunął się z ręki agresora. Obydwaj walczący sięgnęli po niego wolnymi od uścisku rękami. Obrońca Chucky był szybszy, wyprężył się, chwycił nóż w taki sposób, że styk klingi z rękojeścią znajdował się pod małym palcem, wykonał zamach i zadał cios gdzieś w okolice szyi przeciwnika. Tamten osunął się na ziemię.

Witek doskoczył do dziewczyny. Próbując zapanować nad rwanym oddechem, wycharczał:

- Musimy uciekać, za chwilę mogą pojawić się jego kumple.

- Coś ty zrobił? - wyszeptała, dając pomoc sobie wstać.

W zasadzie nie zdziwiła jej obecność tego chłopaka w tym miejscu. A może po prostu nie była w stanie przeanalizować niedorzeczności sytuacji. Nie zastanawiał jej też nagły bezruch trafionego nożem osobnika i brak śladów krwi. Witek pociągnął dziewczynę kilka metrów w stronę końca bloku.

- Ratowałem cię. Gdyby nie ja, leżałabyś tu zamiast niego z zalaną formą - zaszczekał histerycznie.

- Trzeba coś zrobić, on nie może tak tu zostać. - Nie wiadomo dlaczego Chucky najwięcej przejmowała się losem swojego niedosłego oprawcy.

- To był bandzior i gwałciciel. Zmywamy się stąd, zanim ktoś się zjawi.

Jeszcze kilka kroków i makabryczny widok zniknął im z pola widzenia. Dziewczyna szła na płaczących się nogach, a właściwie była ewakuowana przez Witka z miejsca zbrodni.

- Zaczekaj - szarpnęła się. - Przestań mnie tak targać. Musimy kogoś zawiadomić. - Sięgnęła po komórkę.

- Posłuchaj! - podniósł głos i przytrzymał jej rękę. - Uratowałem ci dupę. Chciałem cię przeprosić i na trzeźwo pogadać o moich testach do policji, dlatego tu byłem. Ten bandzior zaskoczył ciebie i mnie, ale nie pozwolę, żeby na zawsze rozwalił moje życie. Twoje zresztą też. Rozumiesz?

W oddali zaczął narastać dźwięk policyjnej syreny. Któryś z okolicznych mieszkańców, zaniepokojony nocnymi hałasami, musiał zawiadomić służby porządkowe. Witek podniósł głowę, oceniając swoim muzycznym słuchem, jak daleko może być radiowóz.

- Chodź, odprowadzę cię do domu.

Spróbował objąć dziewczynę, okazując troskę, ale ona mu się wyrwała.

Nagle poczuła przypływ energii.

- Znow mnie śledziłeś! - warknęła.

Chłopak rozłożył ręce. To był ostatnio jego sztandarowy gest.

- Uratowałem ci życie.

Syreny było słychać coraz bliżej. Chucky coś kalkulowała w głowie. Refleksja musiała stanowić spory ciężar mentalny, bo ciało dziewczyny znów zwiotczało.

- No, chodź - ponaglił ją Witek.

XVII



Pusty, ponury korytarz, oświetlony mdłym światłem z jarzeniówek kończył się na masywnych drzwiach, na których widniał napis: Archiwum/Składnica akt. Brak okien jednoznacznie wskazywał, że pomieszczenia znajdują się w piwnicy. Podziemia Pałacu Mostowskich, siedziby Komendy Stołecznej Policji, pełniły przez lata różne funkcje. Pewnie skrywały w sobie niejedną tajemnicę przynależną starym budynkom, ale też nigdy nie były poddane gruntownym eksploracjom archeologicznym.

Widocznie IPN nie znalazł w swoich dokumentach wystarczających podstaw, aby zlecić takie badania.

Brona nie myślała, bynajmniej, o historii budynku komendy.

Wtulona w jedną z nisz zachłannie paliła papierosa, strzepując popiół do trzymanej w ręku puszkę po napoju energetycznym.

Myśli miała zaprzątnięte swoimi sprawami. Pod wymyślonym, służbowym pozorem zamierzała dobrać się do akt operacyjnych sprzed czternastu lat i zobaczyć, co w nich jeszcze zostało.

Zwierzchnik Filistyńskiego, podobnie jak inni kierownicy jednostek, przyzwyczajony był do takich operacji przedstawicieli policji w policji, więc z uzyskaniem jego zgody na wejście do archiwum nie było problemu. Problem stanowiła pani archiwistka, starsza kobieta w okularach jak denka od butelek po szampanie, która po przyjęciu zlecenia od Brony bardzo skrupulatnie oceniała możliwość jego realizacji. Przypominało to strajk włoski w wykonaniu pani w szarym fartuchu. Młoda dziewczyna, siedząca przy biurku zasłoniętym barierką oddzielającą strefę dla interesanta, nie odzywała się, udając zapracowaną. Obsługa archiwum wydawała się Bronie bardzo dziwna i niezgrana. Najwyraźniej młoda pracownica dopiero się przyuczała, a stara była jakby rozdrażniona tym, że kogoś dokooptowali do jej samotni. Kazała Bronie czekać na korytarzu, bo według jej przewidywań znalezienie sprawy

zajmie trochę czasu.

Kończyła drugiego papierosa, gdy na schodach, w przeciwległym końcu korytarza usłyszała kroki. Brona połowicznie wychyliła się ze swojego kąta i przymrużonymi oczami otaksowała korytarz. Zza załomu białej ściany wyłonił się zastępca komendanta Filistyński. W rytmiczne tupanie wywołane jego twardymi podszwami wkradła się fałszywa nuta, wyraźnie słyszalna arytmia. Facet natychmiast poznał policjantkę wyłaniającą się z kłębow dymu papierosowego i zwolnił kroku. Ona postąpiła do przodu, ujawniając całą swoją sylwetkę.

- Pan komendant tutaj? - spytała niewinnie.

Wyraźnie skonsternowany szef stołecznych policjantów podszedł do dawnej znajomej.

- Mogłem się domyślać twojej obecności w tym miejscu.

- Naprawdę? - zdziwiła się kobieta.

- Po tym trującym smoku, co tu wisi. - Zamachał ręką przed swoim nosem.

- Poza tym ja tutaj pracuję.

- Gdzie? Tutaj? - udała zdziwienie. - To nie jest składnica aktów, tylko składnica akt - dogryzła w swoim stylu.

Nie zamierzała go dodatkowo uświadamiać, że smog krakowski, to nie jest samo, co smok wawelski. Filistyński nerwowo obciągnął bluzę munduru. Wyczuł sarkazm, ale nie zrozumiał kalamburu.

- A pani inspektor czemu zawdzięcza tę wizytę?

- Dla nas, szpicli z BSW, to chleb powszedni. Lubimy grzebać w archiwach i życiorysach.

- Dlaczego ja nic o tym nie wiem? - Postanowił zastosować swój ulubiony manewr. Uświadomić rozmówczyni, że on tutaj coś znaczy.

- Ustalałam to z twoim szefem - Brona uśmiechnęła się bezczelnie. - Tym bezpośrednim - dodała.

Wiedziała, że Filistyński nie zrozumie aluzji dotyczącej jego wysługiwania się Baronowi, ale nie potrafiła sobie odmówić tej drobnej złośliwości. Myliła się, zastępca komendanta tym razem przyswoił dwuznacznik i poczerwieniał na twarzy. Ominął Bronkę bez słowa i szarpnął za klamkę drzwi archiwum. Otworzył je na oścież.

- Pani Marietto, gdzie pani Teresa?

- W części archiwalnej, między regałami - cichutko odparła dziewczyna zza barierki.

- Proszę przestrzegać porcedur - warknął Filistyński, nie zdając sobie sprawy, że komicznie poprzestawiał litery w jednym z wyrazów. - Pani odpowiada za ochronę tajemnicy służbowej przed obcymi. - Z niechęcią spojrział na Bronę. - Proszę przekazać pani Teresie, że wydawanie dokumentów operacyjnych starszych niż dziesięć lat wymaga mojej osobistej zgody.

Zamknął z rozmachem drzwi.

- Ciebie to też dotyczy. - Wymierzył w stronę policjantki wskazujący paluch. - Już nie ma Staśka.

- Będę chroniła tajemnicy przed obcymi, nawet przed swoimi... jak lwica. Wrrrr... - Zamarkowała ruch drapiącego kota.

Filistyński zniknął za załomem korytarza. Policjantka została sama ze swoimi ponurymi myślami w przygnębiającym korytarzu. Zwróciła uwagę na to, że komendant wymienił imię Staśka, więc dobrze wiedział, po co ona tu przyszła. Było pewne, że jego, tak jak i ją, gnębi ta sprawa, i dopóki wisi jako niewyjaśniona, oboje nie zaznają spokoju. Wspólna przeszłość, która na pozór powinna ich zjednoczyć, sprawiła, że bardzo się od siebie oddalili. Każde z nich miało inne spojrzenie na to, co stało się przed laty i z perspektywy upływającego czasu ta ocena stawała się coraz bardziej odległa. A oni, wierni wyłącznie swoim racjom, stali się dla siebie już nie dalecy, ale wręcz wrody.

Należało zadać sobie pytanie, skąd facet wiedział, że ona próbuje dostać się do tych materiałów. Pojawił się jak na zawołanie, więc dostał polecenie, że ma osobiście angażować się w ochronę tych dokumentów. Ta stara zołza w archiwum wyglądała na babę z zasadami, ale zahukana Marietka mogła pełnić tu rolę wtyki. To na pewno ona zadzwoniła do pana komendanta, gdy usłyszała, z jakim zleceniem przyszła Brona. Zasady gry zmieniały się podczas gry. Trzeba więc stosować się do nowych zasad albo tworzyć swoje. Pierwszy krok już wykonała.

Nie wiedziała, jakie przyniesie skutki, ale nie spodziewała się żadnych strat. Wszystko było obliczone na zyski. Nawet jeżeli zabronią jej dostępu do

archiwum, to wcześniej czy później sami będą musieli odkurzyć je przed prokuratorem. Zaistnienie zbrodni, którą cechuje ten sam *modus operandi*, co w niewykrytym zabójstwie policjanta, nie pozostanie niezauważone.

Taka zbrodnia właśnie się dokonała, a wiarygodnym świadkiem, i po części ofiarą tego przestępstwa, stała się policjantka z działu rekrutacji. Chcieli zmiany zasad? Będą je mieli, pomyślała Brona pełna agresywnych bodźców do działania.

XVIII



Chucky siedziała przykryta dwoma kocami. Zażyła już czwartą aspirynę, a głowa ciągle jej pękała. Próbowwała spać, ale rwany półsen, przeplatany pojawiającymi się w wyobraźni fleszami z minionej nocy, nie przynosił ulgi, a wręcz jeszcze większe zdołowanie. Sięgnęła po książkę, ale nic nie rozumiała z przeczytanych treści i po kilka razy wracała do tego samego fragmentu. Odrzuciła lekturę i próbowała zebrać myśli. Musiała się skoncentrować na tym, co właściwie się zdarzyło. Z nieprzyjemnym odczuciem gęsiej skóry na całym ciele starała się przypomnieć sobie po kolei przebieg zdarzenia i odtworzyć w pamięci jak najwięcej szczegółów. W różnych momentach tej retrospekcji pojawiał się efekt niedowierzania. Sytuacja była tak odrealniona, że przy każdym wspomnieniu poszczególnych momentów napaści nasuwała się cała masa chaotycznych pytań. Na razie nie próbowała na nie odpowiedzieć. Mętlik w głowie nie pozwalał na precyzyjne sformułowanie wątpliwości, a co dopiero na ich wyjaśnienie. Oparła głowę o stertę poduszek.

Zastanawiała się, czy ktoś mógłby jej pomóc. Do rodziców nie zamierzała dzwonić. Chociaż mieszkali pod Warszawą i byli dyspozycyjni w sprawie każdej jej zachcianki, to wiedziała, że z tej sprawy zrobią wielką aferę. Ojciec będzie dzwonił do najwyższych czynników w państwie, bluzgając, że nie potrafi ono zapewnić bezpieczeństwa jego córce. A jako dyrektor w Urzędzie Lotnictwa Cywilnego, ma w komórce trochę zapisanych telefonów do znaczących osób. Dziewczyn z pracy nie zamierzała wtajemniczać, bo sprawa natychmiast dotarłaby do Miry i przesłuchanie, a później kazanie miałyby zapewnione. Wolała tego uniknąć. I tak musiała jej nakłamać, żeby usprawiedliwić nieobecność w pracy. Chłopaki z CBS chętnie zaangażowaliby się w wyjaśnienie sprawy, ale Maciek, w towarzystwie którego piła wczoraj piwo, mógłby odebrać taką prośbę jako żądanie zadośćuczynienia za to, że nie odprowadził jej pod sam dom.

Nie miała do niego żadnych pretensji, więc nie chciała go stawiać w niezręcznej sytuacji. Trud myślenia przerwał dzwonek telefonu. Zapomniała go wyciszyć i teraz boleśnie odczuła w mózgu skutki wibrującego sygnału. Po sprawdzeniu na wyświetlaczu kto dzwoni, długo zastanawiała się, czy odebrać to połączenie. Prokurator Czerski mógł dzwonić tylko w jednym celu, a ona nie była w stanie przekomarzać się z nim, tłumiąc jego libido. W końcu zdobyła się na heroiczny czyn w nadziei, że rozmowa dobrze jej zrobi.

- Halo - rzuciła do słuchawki, sama nie poznając swojego głosu. Kilka razy chrząknęła, żeby pobudzić suche gardło do normalnego działania. Facet w tym czasie nawijał, że musi się z nią spotkać po pracy, bo mu jaja eksplodują. Gdy mu powiedziała, że od rana jest w domu, prawnik zaczął naciskać jeszcze bardziej. Chucky musiała go zbesztać.

- Przestań, nie mam nastroju i ochoty, nawet na rozmowę o tym... Jako prokurator powinieneś się bardziej kontrolować...

Przestań pieprzyć mi o jakimś dyszlu... Jak nie masz kogo zaprzęgnąć, to jedź na oklep. Źle się czuję i chcę być sama...

Odrzuciła ze złością telefon, wygrzebała się spod koców i poczłapała do kuchni włączyć czajnik elektryczny. Dylemat związany z wyborem herbaty przerwał jej dźwięk domofonu.

Podeszła do drzwi, kalkulując, kto może się dobijać.

- Kto tam?

- Policja, proszę otworzyć.

Kilkadziesiąt sekund później w progu mieszkania stanęło dwóch policjantów. Młodzi, zabiedzeni, jakby w niekompletnym umundurowaniu. Kaśce nie chciało się nad tym zastanawiać. Jeden trochę wyższy i piegowaty, ryżawy, drugi o śniadej cerze, czarnych włosach i infantylnym wyrazie twarzy.

- Panowie do mnie?

- Pani Katarzyna Miller? - piegus odpowiedział pytaniem na pytanie. Kiwnęła głową na potwierdzenie.

- Wie pani, w jakiej sprawie przychodzimy? - kontynuował ryżawy.

- Nie mam pojęcia. - Zmierzyła dłonią i tak wystarczająco skołtunione włosy.

- Naprawdę? - z przekąsem spytał mundurowy.

- Co to, jakiś quiz jest? - warknęła rozdrażniona, bardziej tym, że tak szybko ustalili jej udział w nocnym zajściu, niż zawracaniem dupy w ogóle. - Albo mówicie panowie, o co chodzi, albo do widzenia.

- Po co te nerwy, pani komisarz.

- Wiecie, że jestem policjantką, to się zachowujcie, bo panowie z inspektoratu tylko czekają, żeby zdyscyplinować takich opyplusów jak wy.

- Panowie z inspektoratu głównie mogą - do rozmowy włączył się drugi z policjantów, ale nie zdążył skończyć zdania, bo wyższy kolega dyscyplinująco szturchnął go łokciem.

- Jesteśmy tutaj służbowo, więc trochę szacunku - obruszył się ryżawy i zerknął do notatnika. - Chcielibyśmy się dowiedzieć, co pani wiadomo na temat wczorajszego zdarzenia, które miało miejsce tu w okolicy.

- W okolicy? - udała, że się zastanawia. - Nic. A o co chodzi? - Splotła ręce na piersiach. Żaden z policjantów nie zwrócił uwagi na ten element mowy ciała. Nie mieli o tym pojęcia i w ogóle sprawiali wrażenie, jakby nie zależało im na gromadzeniu i przetwarzaniu informacji. Oni dzielili się swoją wiedzą.

- Pani zawsze może tłumaczyć się szokiem, ale monitoring nie zdradza takich emocji, więc?

- Co więc?

- Z uwagi na fakt, że jest pani policjantką, chcieliśmy sprawę załatwić po koleżeńsku, ale w tej sytuacji po prostu wezwiemy panią do komendy celem spisania zeznań.

- Oficjalnego spisania - dodał mniejszy z naciskiem. - W jakim charakterze będę wezwana? - Chucky próbowała wyczuć dalsze zamiary policjantów.

- O tym zadecyduje prokurator.

- Ty sobie prokuratorem gęby nie wycieraj - naskoczyła na chłopaków, rozsierdzona niedawną rozmową ze znajomym.

Szybko jednak zreflektowała się w niesłusznym ataku i spuściła z tonu. - Widzicie, w jakim jestem stanie. - Znów nieudolnie przeczesła palcami czuprynę. - W każdym razie nie spieszcie się, może sobie coś przy pomnę.

- Czy pani kogoś chroni? - Piegus zmrużył szare oczy.

- Nie wiem, o czym pan mówi. - Dziewczyna błądziła wzrokiem, żeby

uniknąć podejrzliwego spojrzenia policjanta.

- Źle się czuję, odłóżmy tę rozmowę na kiedy indziej.

- Nie możemy pani do niczego zmusić, ale proszę pamiętać, że nagranie z monitoringu jest dosyć wyraźne - mały czarny wyczuwalnie podkreślał znaczenie zapisanego przez kamery obrazu.

- Nie wątpię. Zapewne jest tak wyraźne jak pańskie sugestie pod moim adresem.

Policjant nieco się zmieszał. Jego rudy kolega, chcąc ratować sytuację, szybko zakończył rozmowę.

Chucky zamknęła drzwi za niespodziewanymi i nieproszonymi gośćmi i opadła na kanapę. Zapomniała o herbacie, na którą jeszcze przed chwilą miała ochotę. Zakryła twarz dłońmi i próbowała innymi myślami przebić się przez uporczywie atakujące jaźń przekonanie, że wrąbała się po samą szyję. Odniosło to skutek. Po paru chwilach do jej świadomości zaczęły docierać sygnały zarejestrowane przez mózg, jako bodźce podprogowe. Pierwsza refleksja, jaka jej się nasunęła, rodziła wątpliwość, dlaczego przysłali do niej takich obszczymurków, zamiast poważnych dochodzeniowców. Jeżeli rzeczywiście na sąsiedniej ulicy doszło do zabójstwa, to cała miejscowa komenda stałaby na nogach. Zaangażowano by chłopaków z wydziału zabójstw i cała operacja toczyłaby się pod ich dyktando. Ci wiedzieliby, jak rozmawiać ze świadkiem zdarzenia i zdobywać informacje.

Kolejne zastrzeżenie budził szczególnie nacisk tego czarnego na zapis z monitoringu. Po pierwsze takich rzeczy nie zdradza się przy pierwszym kontakcie z uczestnikiem zajścia, a po drugie, nawet zakładając błąd w sztuce niedoświadczonego policjanta, to ona nie kojarzyła w tej okolicy jakiegoś szczególnego zagęszczenia kamer dozoru. Ta wątpliwość mogła wydawać się trochę naciągana. Może wyciągnęli nagranie od jakiejś pobliskiej firmy, w końcu sprawa jest poważna. Oprócz podrzucanych luźno wniosków, jej mózg domagał się czegoś jeszcze.

Nie wiedziała, jak to określić, jak skonkretyzować. Wstała, wracając do robienia herbaty i wtedy doznała olśnienia. Jedynym bezpiecznym sposobem na dowiedzenie się, co tak naprawdę zaszło w nocy, jest ustalenie stanu faktycznego w prokuraturze. Podeszła do kanapy i wygrzebała spod koców

telefon. Wykorzystała funkcję: oddzwon do ostatniego rozmówcy.

Prokurator odebrał niemal od razu po pierwszym sygnale. Może faktycznie jaja miały mu eksplodować, więc był czujny. Chucky spodziewała się, że rozmowa zacznie się od sprośnych uwag.

- Przestań mnie wkurzać, niewyżyty zboczeńcu. Nic mnie nie zaswędziało - dziewczyna nie dawała mu dojść do słowa, chcąc jak najszybciej załatwić swoją sprawę. - Sprawdź, proszę, czy ktoś od was prowadzi sprawę bójki, napadu albo zabójstwa przy Sanockiej. Co mówisz? - Prokurator zadał, o dziwo, pytanie związane ze sprawą. Chucky szybko odpowiedziała: - Dzisiaj w nocy. Tak, to jest koło mnie... - Podejście prawnika szybko wróciło do preferowanej przez niego konduity, o czym świadczyły kolejne wypowiedzane zdania, opędzającej się od natręta Kaśki. - Ależ ty jesteś monotematyczny. OK, jak się postarasz, to zobaczymy. Zrób to dla mnie, to może będzie nagroda.

Ponieważ dzwoniła po prośbie, nie wypadało jej, tak po prostu, przerwać połączenia, uwalniając się od sprośnego kolegi.

Była przyzwyczajona do jego stylu bycia. Wiedziała też, że ten piejący kogucik nie prezentuje jakichś wybitnych predyspozycji w temacie, o którym tak chętnie gada. Wychodziła z założenia, że jeżeli ma mu to w czymś pomóc, to niech sobie gada.

Sztorcowała go tylko wtedy, kiedy zaczynało to być dla niej męczące. Teraz nie mogło być, bo liczyła na pomoc prokuratora w ważnej kwestii. Musiała działać, a taki sprzymierzeniec, nawet w emploi erotomana gawędziarza, był jej bardzo potrzebny.

XIX



Nie wiadomo kto i kiedy wymyślił przydomek Filio. Prawdopodobnie przyszło to do głowy jednej z uczestniczek wypraw na narty we włoskie Dolomity, podczas których szusowania było niewiele, ale za to innych rozrywek pod dostatkiem. Ta pretensjonalna ksywa tak przyłgnęła do chłopaka, że w tej chwili niewiele osób z towarzystwa pamiętało, jak Filio nazywa się naprawdę. Rodzice dali mu na imię Tomek, mając na myśli kilka zacnych postaci noszących to miano. Młody Baronowski odbiegł jednak swoją postawą od etosu słynnych Tomaszów, wybierając drogę życiową tak barwną, jak u jednej z postaci literackich. Skojarzenie nie było takie trudne, bo chłopak prezentował tyle wspólnych cech z Tomaszkiem Niechcicem, bohaterem „Nocy i dni”, że gdyby nie rozbieżność czasowa, można by podejrzewać, że pani Dąbrowska, tworząc swojego bohatera, wzorowała się na Tomku Baranowskim. Facet był lekkoduchem skoncentrowanym wyłącznie na sobie. Lubił zabawę i nieskomplikowane rozrywki, ale każda uciecha musiała się rozgrywać według jego wyobrażenia. Pod tym względem był neurotycznie pedantyczny. Tę jego pedanterię można było dostrzec również w innych zachowaniach, ale wymagało to bardzo wnikliwej obserwacji. Przebijająca się ona w niuansach postępowania możliwych do wychwycenia spod zwałów nonszalancji i arogancji. Chłopak zawsze miał to, co chciał, dlatego bardzo silnie odczuwał wszelkie niepowodzenia. Frustracja wywołana nawet najdrobniejszymi przeciwnościami była tak silna, że w jego umyśle natychmiast tworzyła się wizja podpalenia całego świata. Winny niezaspokojenia potrzeb Filia miał cierpieć na równi z nim i odczuwać ból równy jego dolegliwościom, spowodowanym niezaspokojeniem potrzeb. Zemsta nie była jednak dla niego celem samym w sobie. Nauczka, jaką dawał swoim winowajcom, pozwalała mu odbudować obraz siebie i dostarczała satysfakcji z bycia ponownie panem sytuacji. Czasami wendetta następowała

natychmiast, na zasadzie impulsu, a czasami wymagała stworzenia planu i skorzystania z pomocy innych osób, łasych na łatwy zarobek. Plan taki tworzył bez pośpiechu i emocji. Dokładał wszelkich starań i dbałości o szczegóły, skrupulatnie licząc w myślach, czy zastosowane środki dostatecznie wyrównają rachunki pomiędzy nim a sprawcą jego zmartwienia.

W klubie było jeszcze pusto. Didżej szykował repertuar na wieczór, a pojedyncze osoby snuły się od baru w różnych kierunkach, chcąc zabić czas oczekiwania, aż zabawa się rozkręci.

Przy jednym ze stolików na antresoli siedziało dwóch mężczyzn. Ich zachowanie było diametralnie różne. Jeden, zwalisty łysol, z wielkimi odstającymi uszami, ubrany w czarną skórę, leniwie popijał drinka i błędził wzrokiem po sali poniżej. W jego środowisku, ze względu na budowę ciała, nazywali go Pawlacz. Drugi, Filio, nerwowo tupał nogą i z irytacją spoglądał na tępą, nalaną twarz swojego towarzysza. Drażniło go, że musi wysługiwać się takimi beczelnymi typami jak Pawlacz, ale nikt nie nadawał się lepiej do roboty, którą proponował. Zazwyczaj próbował stworzyć własną przewagę nad takimi męczącymi współpracownikami, poprzez akcentowanie swoich możliwości finansowych. Przez to także popadał w konflikt z podwykonawcami swoich szemranych przedsięwzięć, bo wychodził z założenia, że kasa zapewnia mu nie tylko ich usługi, ale daje nad nimi nieograniczoną władzę.

- Już powinni być. - Filio spojrzał na zegarek.

- Jak mają być, to będą. Po co te nerwy. - Osilek nie przerywał sobie bezcelowego patrzenia w pustą przestrzeń.

- Kurwa, może trochę dyscypliny by wam się przydało?

Płacę, to wymagam pełnego zaangażowania, a nie takiego jakiegoś.

Filio przerwał swoje pretensje w reakcji na spojrzenie łysego, który właśnie skierował na niego swój wzrok.

- Coś ci się chyba w tym zrytym prochami łbie pojechało - Pawlacz cedził słowa tak samo, jak przed chwilą mdłego drinka.

- Nikt mnie nigdy nie pouczał, jak mam pracować, tym bardziej nie pozwolę na to takiemu obsranemu synalkowi, jak ty. Nawet gdybyś mnie obsypał złotem, to wpierdol za takie pyskówki i tak możesz dostać. - Sięgnął

po telefon, który właśnie rozdzwonił się w jego kieszeni. - Jesteście? - rzucił do słuchawki.

- Niech czterech wejdzie do środka, a reszta zostanie na zewnątrz, zaskoczmy ich z dwóch stron.

Osilek wychylił ostatni łyk napitku i zagrzechotał kostkami lodu w szklance.

- Są chłopaki. Chodź, pokażesz, komu trzeba to manto spuścić. - Ciężko wstał od stolika. Filio nie ruszył się z miejsca, jakby gacie przykleiły mu się do obitej skajem kanapy.

- Ale ja nie chcę, żeby ktoś wiedział, że to ja was nasłałem - przyznał stłumionym głosem. Pawlacz ledwo usłyszał końcówkę tego zwierzenia, bo didżej postanowił przetestować sprzęt.

Z głośników runęła na nich potężna nuta. Jednak sens wypowiedzi olbrzym zrozumiał bardzo dobrze.

- To znaczy, że całą winę mamy wziąć na siebie! - przekrzykiwał muzykę. - To musi ekstra kosztować.

Filio poderwał się zza stolika.

- Ty pazerny skurwysynie - wrzasnął. - Mało ci? A co z umową?

Pawlacz chwycił rozsierzonego zleceniodawcę za gardło i przysunął jego twarz do swojej, na długość nosa Celinę Dion.

- Spokój, kurwa. - Cząstki śliny oblepiły policzki Filia.

- Pokazać ci gościa, który do dzisiaj leczy rany po umowie z tobą? Nietrudno będzie takiego znaleźć, ale nie drzyj dupy, ja się wywiązę.

Puścił cwanego zleceniodawcę i zszedł na dół. Filie odbił się od kanapy i podreptał za drągałem w obawie, że ten, podminowany rozmową, porzuci wykonanie umowy. Przed wejściem do holu dopadł Pawlacza, złapał go za łokieć i ruchem brody wskazał na bramkarzy przy wejściu.

- Ten wysoki, w marynarce i džinsach! - krzyknął, nieomal śliniąc ucho oprycha w rewanżu za wcześniejszy prysznic. Dryblas opędził się od natręta jak od uprzykrzonej muchy i przywołał wzrokiem swoich kolegów.

- Nie mieliście problemów z wejściem?

- Wisisz nam po stówie - odparł bysior z tatuażem w formie tribala na przedramieniu.

- Zaraz sam sobie odbierzesz. - Zrobił kilka kroków w stronę wyjścia. - Co nam obca przemocą wzięła...

- ... Pięścią odbijemy - dokończył wytatuowany.

Banda wyszła przed klub. Tutaj kompletowały się już grupki chętnych do wejścia. Pawlacz dał znak swoim ludziom czekającym na ulicy poza strefą ochroniarzy. Sam ruszył do ataku, ale w porę powstrzymał zapał agresora, rozpoznając we wskazanym przez Filia bramkarzu Feliksa. Gestem powstrzymał chłopaków.

- A ty co, Pawlacz, podchodzisz jak do swojego kolegi.

Ślizgaliśmy się na jednej poręczy? – Ochroniarz zareagował na spotkanie tonem reprimendy. Po chwili jednak dodał już bardziej przyjacielskim tonem.

- Nie podoba ci się u nas, że już uciekasz?

- Małe nieporozumienie. Jak wchodziłem, bramkę obstawiała jakaś inna ekipa. - Dryblas tłumaczył się jak dzieciak przyłapany na paleniu papierosów w szkolnym kiblu.

- Koledzy z BOA - wyjaśnił ochroniarz. - A ty co, CV nam piszesz?

- Nic z tych rzeczy. Sprawa biznesowa, miałem tu wezwanie na interwencję, ale widzę, że zadanie niewykonalne. - Odwrócił się do swojej grupy i wrzasnął: - Zwijamy żagle, chłopaki. Panowie są nietykalni. - Próbował przepchnąć się pomiędzy ochroniarzami, ale Feliks chwycił go mocno za ramię.

- Zaraz, zaraz, co tak bez pożegnania odchodzisz? Może wyjaśnisz? - odezwała się w nim zawodowa natura. - Ktoś ci dał tutaj zlecenie? Na kogo? - dopytywał się. - Na mnie? - wyczytał w oczach łobuza. - Ktoś sapie do mnie?

W odpowiedzi Pawlacz obejrzał się za siebie, próbując wyłuskać jakiś detal z wnętrza holu. Speszony Filio, obserwujący dotychczas scenę z oddalenia, schował się za lustrzanym filarem. Ułamek sekundy wystarczył, żeby Feliks rozpoznał swojego chwilowego prześladowcę.

- A to pierdolony uzurpator. Menda wie, że ma tutaj zetkę, to wykorzystał, że mnie nie było na bramce i się przemycił.

- Bramkarz wsparł ręce na biodrach i patrzył w głąb klubu.

- Czym sobie zasłużył na zakaz? Przecież to dobry klient, sra forszą - zainteresował się Pawlacz.

- Pieniądze to nie wszystko. Zasady muszą być. I w imię zasad go wyjebałem, a on próbuje grać mściwego kłarnecistę.

- Aha. - Dryblas nie wiedział za bardzo, jak ma zareagować.

- Wpadaj częściej, Pawlacz - klepnął miastowego w szerokie plecy. - I nie rozrabiaj na mieście, bo nie będzie taryfy ulgowej.

- Ma się rozumieć, panie komisarzu. - Bandzior skrzywił się, jakby przełknął gorzką pigułkę. Bez postanowienia poprawy odwrócił się na pięcie i kiwnął na kolegów. Feliks krzyknął za odchodzącymi:

- Wracaj i zabierz tego swojego zleceniodawcę, bo go tu, kurwa, na pal nadzieję!

Grupka ludzi stojących przed wejściem uznała, że przedstawienie skończone. Panowie sięgnęli po portfele, żeby uregulować należność za wjazd. Feliks był w dobrym humorze, więc nie czepiał się gości o byle co. Dzisiaj w klubie miał być spokój.

Brona, w swojej ulubionej pozycji, stała oparta pupą o parapet okna i paliła papierosa. W wolnej ręce trzymała papierową, szarą teczkę zawierającą akta kolejnej sprawy. Jej partner z pokoju ślęczał skupiony nad swoim śledztwem, zastanawiając się, nie bez satysfakcji, jaką karę przyklepać winowajcy. Policjantka, swoim zwyczajem, na głos komentowała wrażenia z przeczytanych stron postępowania:

- Nudne te sprawy są, że aż mnie skręca. - Wypuściła dym nosem. - Jak to czytam, to czuję, że gdzieś tam w pracowni malarskiej świeża farba szybciej schnie. - Przesunęła palcami po linijskich tekstu. - Oficer pobił oficera. Wielka mi rzecz, może mu się należało.

- Nie rozumiem tego twojego powiedzenia o farbie. - Mirek podniósł wzrok znad dokumentów.

- Nie musisz. Twoje życie tak wolno się toczy, że u ciebie też farba szybciej schnie.

- Ja nic nie maluję.

Rozumienie wszelkich przenośni było dla tego faceta tak odległe jak kibel dla pasażera metra cierpiącego na rozwolnienie.

- Za to tutaj - puknęła kłykiem w otwartą stronę akt - jeden drugiemu wymalował.

- Bójka pomiędzy funkcjonariuszami? - Miras zademonstrował nieudawane święte oburzenie. - Przecież to niedopuszczalne.

- Co ty gadasz? Jakbym cię teraz wyrznęła w pysk tą teczką, poleciałbyś na skargę? - Zamachnęła się teatralnie.

- Kiedyś oficerowie załatwiali takie sprawy inaczej.

- Ciekawe jak?

- We własnym zakresie. W pojedynku na przykład. A teraz? Troki od kaleson, a nie mężczyźni.

- Wszystko jedno kiedy i gdzie, takie bandyckie zachowania nie powinny być tolerowane w służbie.

- Jakby było wszystko jedno, to majtki by się przez głowę zakładało. Czekał - skupiła się na trzymanej przed sobą dokumentacji, planując dogryźć sztywniakowi. - Może komuś nie pasował smród przetrawionego czosnku. A, nie - przewróciła kartkę - naczelnik rzucił się z pięściami na swojego komendanta, bo ten zabrał mu kolejnych ludzi do innych zadań. Zdjął ich z patrolówki i skierował, gdzie? - Podniosła wzrok na zasadniczego kolegę. - Do pilnowania szlabanu podczas bibki zorganizowanej przez jakiegoś miejscowego posła. I, co pan na to, panie nadkomisarzu?

- Dla takich narwańców nie powinno być miejsca w policji - kolega zza biurka, jak zwykle, poważnie odniósł się do odczytanej przez partnerkę historii.

Brona sięgnęła po kolejnego papierosa. Mirek zmierzył ją dezaprobującym spojrzeniem.

- A dla takich obsrańców, co robią z policji prywatny folwark? - spytała.

- Tym powinny się zająć odpowiednie organa.

Policjantka przez chwilę przypatrywała się koledze, nie mogąc uwierzyć, że ten mówi to całkiem serio. Wreszcie z trzaskiem zamknęła teczkę.

- Wiesz co?

- Co?

- Twoje zdjęcie powinni dawać baranom przed zaśnięciem.

Zrobiła dwa kroki w stronę wyjścia, zamierzała poza pokój nieco ochłonąć po tak budującej wymianie zdań, ale omal nie zderzyła się z nagle otwartymi drzwiami. W progu stał Witek Chaus, przybierając nieruchomą pozę w lekkim skłonie, jakby zatrzymaną w kadrze.

- Cześć, ciotka.

Brona chwyciła niespodziewanego gościa za rękę i wyprowadziła z pokoju. Ta wizyta zaskoczyła ją i wzmogła irytację wywołaną przez kolegę z pokoju.

- Mówiłam ci, żebyś mnie tak nie nazywał. Co tu robisz?

Miałeś być u nas wieczorem w domu.

- Wiem, ale nie mogę usiedzieć na dupie po tym, co się stało. Zabroniłaś mi dzwonić do siebie, więc pomyślałem, że wpadnę. Może już coś wiesz?

- Chodź do stołówki, zjemy jakieś śniadanie, bo ten zapach czosnku - spojrzała na drzwi swojego pokoju - pobudził moje soki żołądkowe. - Wzięła chłopaka pod rękę. - Czujesz? - Obwąchała rękaw żakietu. - Przyćmił też moje Chanel.

Przechodząc między stolikami w bufecie, Bronka przywitała się z kilkoma osobami. Jedne wydały się Witkowi sympatyczne i szczerze w przejawach serdeczności, inne wręcz przeciwnie, podszyte fałszem już na pierwszy rzut oka. Przemknęło mu przez myśl, że on właśnie zabiega o przyjęcie do tego towarzystwa. Obawiał się, że szybko straci swoje młodzieńcze ideały na rzecz wygodnego funkcjonowania w tej firmie. Ludzi, z którymi przyjdzie mu mieć do czynienia, nie będzie mógł sobie wybrać. Tak jak tutaj, w tej stołówce, zmuszony będzie do życzliwych gestów w stosunku do ludzi, którzy wcale na to nie zasługują.

Zamówili po jajecznicy z bułeczką i herbacie. Chociaż ciotka upierała się, że zapłaci za nich dwoje, Witek podpatrzył cenę, która wydała mu się niezwykle atrakcyjna. Pomyślał, że gdyby taka stołówka była w okolicy jego miejsca zamieszkania, nie robiliby śniadań w domu. Wybrali stolik w kącie sali, żeby móc swobodnie porozmawiać. Z Brony zeszło już napięcie, jakie towarzyszyło jej od samego rana, i którego ofiarą, po części z własnej winy, stał się Miras, a Witek, o mały włos, nie dostałby rykoszetem.

- Nie wiem, co dalej robić - żalił się chłopak, którego mina świadczyła o rzeczywistym zagubieniu w realizacji skomplikowanej intrygi.

- Wytrzymaj jeszcze trochę. Najważniejsze, że dziewczyna spanikowała. Mamy to nagrane. Wydaje mi się, że teraz trzymamy ją w garści. - Policjantka przełknęła porcję jajecznicy, jakby jedzenie w ogóle nie przeszkadzało jej w rozmowie.

Była do tego przyzwyczajona. Czasami narzucała sobie takie tempo pracy, że musiała wykonywać kilka rzeczy naraz. Jedzenie połączone z jakąś inną czynnością nie było dla niej niczym nadzwyczajnym.

- Tylko czy nie będzie z tego jakichś kłopotów. Boję się, że jakby to wyszło, to stracę wszelkie szanse na spełnienie moich marzeń. Przecież ta baba w każdej chwili może się zorientować, o co chodzi. - Witek, w przeciwieństwie do ciotki, stracił apetyt.

- I co zrobi? - Brona spojrzała na chłopaka pewnym wzrokiem. - Zresztą, co by nie zrobiła czy nie powiedziała, to wykorzystamy to przeciwko niej. Zatańczy, jak jej zagramy, zobaczysz. - Dmuchnęła w kubek z herbatą, która i tak zdążyła już wystygnąć.

- To może nie czekać, tylko kuć żelazo póki gorące - ożywił się Witek.

- Niech jeszcze skruszeje. Wysłałam do niej dwóch ludzi.

- Jakich ludzi?

- Z tego samego teatru, co nocny gwałciciel.

- Mam nadzieję, że nie ucierpiał zbyt mocno w starciu ze mną. - Witek mimowolnie objął dłońią pięść jak w zabawie papier, kamień, nożyce.

- Nie ma obaw. To twardy zawodnik, podobnie jak ci dwaj.

Ich też będę bronić przed wydaleniem. To znaczy, powinnam ich wypieprzyć z hukiem, ale znajdę okoliczności łagodzące.

- Mrugnęła znacząco do młodego przyjaciela.

- Co zrobili?

- Utopili radiowóz, bo spieżyli się na randkę.

Witek parsknął śmiechem.

- To rzeczywiście przyda im się ratownik.

- Teraz pracują dla mnie. Mówili, że laska trochę się stawiała, ale ostatecznie spuściła z tonu - Brona wróciła do tematu rozmowy.

- Ta, do której jechali? - Witek nie zauważył nagłego przeskoku wątku.

- Nie, ta twoja rekruterka Miller. Udawała totalnego Niemca.

- Dopóki sobie wszystkiego nie poukłada. To cwana baba jest.

- Nieujawnienie przestępstwa to też przestępstwo, artykuł dwieście czterdzieści paragraf jeden, a jakby się bzdziągwa rozsypała, to zastosujemy dwieście trzydzieści cztery i dupa zostanie z tyłu.

- Nic z tego nie rozumiem, ale muszę ci zaufać. - Chłopak nie przestawał mieszać herbaty, chociaż czynność tę zaczął kilka minut wcześniej.

- Będiesz gliną - poklepała go po dłoni. - A młody Baron trafi do pudła jako zabójca.

- Jesteś pewna, że to on? Chciałbym go dopaść w swoje ręce.

- Cierpliwości.

XXI



Na zewnątrz było jeszcze widno, więc Chucky nieswojo się czuła w zwałach pościeli. Wprawdzie leżała bezwstydnie na kołdrze, prezentując swoje opalone, kontrastujące z bielą kołdry ciało, jednak pora dnia nie przystawała do wylegiwania się w piernatach. Nie miała jednak specjalnie wyjścia. Prokurator Czerski przyszedł z ustaleniami, o które go prosiła, egzekwując w zamian obietnicę albo raczej nagrodę fundowaną przez dziewczynę. Chucky nie wzbraniała się zbyt przed egzekutorem i aktywnie uczestniczyła w wyrównywaniu rachunku z prawnikiem, bo informacja, którą się z nią podzielił, była dla niej bardzo przydatna, a stres spowodowany najświeższymi zajściami wymagał rozładowania. Od wczoraj znacznie poprawiło jej się samopoczucie. W zasadzie nie odczuwała żadnych dolegliwości fizycznych, z wyjątkiem lekkiego pieczenia w gardle, spowodowanego uciskiem przedramienia napastnika. Kilka kieliszków wina pomogło się jej uporać także z tym niedomaganiem. Intensywne myślenie o tamtym zdarzeniu i próba zrozumienia, co się stało, zadziałały jak debriefing. Miała tylko za mało danych, żeby móc poskładać wszystkie elementy układanki. To, co usłyszała od prokuratora, zaskoczyło ją, ale też mogło posłużyć do wypełnienia luk w hipotezie, którą próbowała stworzyć na własny użytek.

Chucky leżała teraz z nogami zadartymi wysoko na ścianę u wezgłowie łóżka i bawiła się małym haftowanym fartuszkim mogącym służyć za element stroju pokojówkom w hotelu.

Wcześniej posłużył jej jako jedyny przydzwiek gosposi spełniającej wysublimowane życzenia jej gościa. Paradowała w nim po kuchni, szykując wino i kieliszki, każdym ruchem podnosząc ciśnienie w lędźwiach prokuratora. Zupełnie jakby w jej idealnie wciętej talii i zgrabnym tyłeczku czaił się niewidzialny kompresor połączony wirtualnym przewodem z podbrzuszem faceta. Zaaranżowana akcja podziiała na prokuratora jak

najlepszy afrodyzjak i gość w ciągu kilku minut został rozłożony na łopatki, głęboko przeżywając niedawne spełnienie.

- Uwielbiam te twoje przebieranki. - Czernski poprawił się na poduszce, przyjmując pozę pana świata. - Dla nich warto uchylić rąbka tajemnicy służbowej.

- Za dużo mi nie powiedziałaś - przekomarzała się dziewczyna.

- Tyle, ile sam wiem w tej sprawie.

- Mówisz, że nie zarejestrowano takiego zdarzenia? Co to może znaczyć?

- Nie wiem. To wygląda tak, jakby go w ogóle nie było.

Jakby nic się nie stało. - Przeciągnął dłonią po jej jędrnej nodze i bezwstydnie popatrzył na spojenie ud. - Wiesz, że znowu zaczyna być w modzie owłosienie łonowe, pomyśl o tym.

- O czym mam myśleć. Wszczepię sobie te kłaki z powrotem, czy co. Wiesz, ile kasy mnie kosztowało, żeby się ich pozbyć?

Chucky zerwała się z łóżka podrażniona. Paradując nago, podeszła do stołu w kuchni i nalała sobie wina. Usiadła na krześle, podkładając pod pupę biały fartuszek pokojowej. Prokurator wsparł się na łokciu, z lubością obserwując kobietę.

- Takich peruk, zdaje mi się, jeszcze nie wymyślono, a szkoda. Można by inscenizować ciekawe randki.

- Inscenizować, mówisz. - Dziewczyna zamyśliła się, próbując wychwycić z nurtu myśli nagłą impresję. Wydała się ona bardzo ważna, ale nie potrafiła jej sprecyzować. - Inscenizować - powtórzyła, żeby przywołać w umyśle wrażenie sprzed kilku sekund. Gadający prokurator nie pozwalał na odpowiednie skupienie, zebranie myśli.

- Czarne, rude, tureckie kędziorki, azjatyckie proste, skandynawskie blondyny - snuł wyuzdane wyobrażenia.

- A co kobita miałaby z takich przebieranek? - spytała zaczepnie.

- Dozgonny zachwył.

- Trochę mało - skrzywiła się, jakby w przełkniętym winie pływał jakiś podejrzany glut. - To znaczy, że jako Kojak już ci się znudziłam? - Poderwała się zza stołu i zaczęła rzucać w niego jego ubraniami. - Wynocha! Zabieraj się, ale już!

- No, co ty. - Facet łąpał części garderoby, jednocześnie próbując nieporadnie zakryć swoje dyndające groteskowo przyrodzenie.

- Precz, buszmenie. Muszę pomyśleć, a twoja obecność kojarzy mi się z czymś wręcz przeciwnym.

Kaśka wypchnęła na wpuł ubranego prokuratora na klatkę schodową. Wiedziała, że nie obrazi się na nią za ten wybuch.

Niedługo stwierdzi, że nawet mu się to podobało, bo było takie filmowe. Poza tym przyszykuje dla niego kolejną niespodziankę, dzięki której gość poczuje się kimś wyjątkowym.

Inwencja Chucky w tym względzie nie miała granic, a wszystko zaczęło się od teatrzyku studenckiego. Kiedy jako studentka pierwszego roku pisała z koleżanką jakiś skecz, tamta stwierdziła, że dobrze byłoby wstawić scenę erotyczną, ale trochę wstyd jej było o tym pisać. Z góry założyła też, że trudno będzie znaleźć chętną do odegrania takiej roli. Po rozmowie z zespołem okazało się, że żadna z aktorek amaterek nie miałaby oporów, żeby pokazać na scenie goły cycek, ale dziewczynom zabrakło odwagi na umieszczenie sceny w scenariuszu. One, artystki, widziały w tym jedynie sztukę, ale ktoś z profesorów czy w ogóle kadry mógł próbować dostrzec w tym coś nielicującego z powagą uczelni. Wtedy Kasia Miller otrzymała namacalny dowód na to, że każdy ma swoje fantazje erotyczne. Jaki więc jest sens w dekowaniu tych wyobrażeń wyłącznie dla siebie.

Trzeba z nich korzystać i dodawać smaku swojemu życiu.

Teraz, po skończonym przedstawieniu z panem prokuratorem, musiała wyjść ze świata kolorowanek i wykorzystać siłę swojej wyobraźni w innym, bardziej przyziemnym celu. Przeszła obok lustra w przedpokoju i kątem oka zerknęła na swój profil. Lubiała na siebie patrzeć i chociaż była daleka od samozachwyty, to własny wizerunek dawał jej zadowolenie. Zatrzymała się, wpatrując się w swoje odbicie. Nagle zerwała się i pobiegła do kuchni po swój fartuszek. Znów stanęła przed lustrem, ale tym razem zasłoniła fragment nagości haftowaną zapaską.

Kilka razy powtórzyła czynność, odkrywając i zakrywając część ciała.

- Pokojówka - powiedziała do siebie, przykładając troczki fartuszka do bioder - policjantka - dodała, zdejmując przysłonę.

- Pokojówka, policjantka, pokojówka w, policjantka bez, dziwka, idiotka, rozpustnica, kretyńska... - kontynuowała na oczekaniu wymyśloną wyliczankę.

W myślach zaczął się układać trudny do uchwycenia schemat, ale kilkakrotne powtórzenia wreszcie go ustabilizowały.

Już uchwyciła tę ulotną myśl, która przemknęła przez skraj jej jaźni jeszcze przed wyjściem Czerskiego.

- Ja wam dam monitoring, obwiesie - mruknęła do siebie.

W tym pomruku dało się słyszeć złowrogi ton.

W zasadzie powinna być wdzięczna prokuratorowi za wspomnienie inscenizacji, ale czyż nie była?

XXII



Poczta służbowa nie miała wolnego, podobnie jak kandydaci do policji, więc każdy dzień nieobecności Chucky powodował przyrost dokumentów na jej biurku. Gdyby w grę wchodził urlop lub długotrwałe zwolnienie, zapewne jej obowiązki przejęłaby któraś z koleżanek, ale taka niespodziewana krótkotrwała absencja nie niosła ze sobą podobnych skutków. Gdy Kaśka zasiadła przy swoim biurku i spojrzała na stertę materiałów, miała ochotę wstać i przepłacić jakiegoś lekarza, najlepiej psychiatrę, żeby uzyskać zaświadczenie o niezdolności do pracy przez najbliższy miesiąc. Wówczas tym całym bałaganem musiałby zająć się ktoś inny. Nie zdążyła nawet ocenić opłacalności tego perfidnego planu, gdy w pokoju pojawiła się Mira. Położyła na jej biurku kolejną ryzę kartek pochodzących z najświeższej poczty i stanęła w pozycji oprawcy, jakby odczytała nikczemne myśli podwładnej o próbie ucieczki z miejsca pracy.

- Odpoczęłaś sobie na zwolnieniu? - spytała, nie kryjąc nuty sarkazmu.

- Tak, całe dwa dni. - Kaśka od razu wyczuła zaczepny ton.

- To wystarczy. Ja nie byłam na zwolnieniu od czasu, gdy urodziłam córkę, a ona właśnie kończy studia - położyła rękę na klamce, szykując się do wyjścia. - Zastąpisz mnie podczas rozmów kwalifikacyjnych.

- Teraz? - dopytała Chucky, spoglądając na sterty papierzyk na swoim biurku.

- Nie, w przyszłym roku - burknęła. - Idź już, bo czekają na ciebie. - Mira zniknęła, pozostawiając za sobą wir powietrza.

Rekruterka niechętnie dźwignęła się zza biurka. Przeszła przez hol pełen kandydatów umówionych na ten dzień na rozmowy wstępne. Przed drzwiami do sali, gdzie urzędowała komisja, rozstała się przed nią grupka kilku osób. Wchodząc do środka, nie mogła usłyszeć komentarza jednego z kandydatów:

- No, to nam się przyfarcilo.

Reszta spojrziała z zaciekawieniem na starego wyjadacza, który podchodził do procedury już trzeci raz.

- Ja o tej, co teraz weszła, słyszałem. Mówią na nią laleczka Chucky. - Chłopak dzielił się pozyskanymi, z niewiadomego źródła, rewelacjami.

- No i co z tego? - Reakcja tłumu świadczyła o kompletnej ignorancji.

- Jak to co? Przecież to postać z horroru, zabójcza laleczka Chucky.

- Jesteś pewny, że to o nią chodzi? - Inny chłopak snuł wątpliwości.

- Jak to nie - obruszył się szpenio. - Widziałeś jej oczy? Tu nie może być pomyłki.

W holu powiało grozą.

Za stołem siedział pan Teodor i jeszcze jedna policjantka w mundurze z dystynkcjami nadkomisarza, którą Chucky znała z widzenia i wiedziała, że jest delegowana do pomocy w przeprowadzaniu tego etapu procedury kwalifikacyjnej. Dziewczyna przywitała się ze współpracownikami i udając animusz zawodowy, usiadła pomiędzy nimi. Rutyna, z jaką prowadzono tego typu spotkania, powodowała szybkie znużenie i brak zainteresowania dla tego, co mówią kandydaci i dla rzetelnej ich oceny.

Odpowiedzi chętnych do policji, na pytania o motywację, zainteresowania i kwalifikacje, są tak przewidywalne i przesycone sztaampą, że kadrowcy znają je na wylot i puszczają mimo uszu.

Czasem zdarzają się perełki, które swoimi odpowiedziami budzą komisję ze snu i przyprawiają o nagłe stany emocjonalne.

Takie rozmowy przechodzą do annałów działu doboru kadr i przed długie tygodnie są przedmiotem barwnych wspomnień.

Grupa stojąca przed drzwiami stanowiła zapewne sznur takich pereł, ponieważ komisja od początku do końca nadstawiała uszu, nie mogąc wyjść z podziwu dla polotu i odkrywczości przyszłych albo niedoszłych policjantów. Chucky dyskretnie zerknęła na znudzone twarze członków komisji. Była w tym gronie najmłodsza wiekiem, stażem pracy i stanowiskiem, ale czuła się najlepiej przygotowana do gadania z ludźmi o ich planach zawodowych. To dodawało jej pewności siebie w relacjach z tymi nadpalonymi zawodowo współpracownikami. Nabrała ochoty na rozruszanie towarzystwa, bo wypita kawa widocznie nie zadziałała na nich należycie.

- Słyszeliście o takiej jednej kandydatce z Krakowa? Jaki numer odwaliła? - zagadnęła. Reszta nadstawiała uszu, a na ich twarzach pojawił się cień zainteresowania.

- Pięć razy podchodziła do procedury kwalifikacyjnej - kontynuowała. - Za każdym razem coś jej tam znajdowali, co ją dyskwalifikowało. A to psycholog coś tam znalazł, a to komisja lekarska. Wreszcie kandydatka wzięła się na sposób i postanowiła zabawić się w Monikę Lewinsky. - Chucky spojrzała na kocie mordki członków komisji.

- Co takiego zrobiła? - spytała delegowana policjantka.

Kaśka wybuchnęła śmiechem.

- Przemianowała kilka gabinetów ważnych ludzi w gabinety oralne - wyjaśniła. Widząc jednak bezgraniczne zaskoczenie na twarzach współpracowników, szybko sprostowała. - Żartowałam. Tak na poprawę humoru.

Do sali weszła wysoka, szczupła dziewczyna, z rozpuszczonymi blond włosami i w dopasowanej sukience podkreślającej walory jej budowy. Trzepotała tak długimi rzęsami, że o mały włos nie zdmuchnęłaby kart oceny ze stołu prezydialnego.

Gdyby w tym całym procesie chodziło o wyłonienie miss kandydatów do policji, to z pewnością ta osóbką miałaby szansę na zwycięstwo.

- Jak się pani nazywa? - spytał Teodor, z pozoru obojętny na pozamerytoryczne podchody kandydatek.

- Julia Chlebek. - Dziewczyna usiadła na krześle w taki sposób, że nawet Chucky uznała ten ruch za wysoce atrakcyjny i przykuwający uwagę. Bardzo przypominał zachowanie Sharon Stone w „Nagim instynkcie”.

- Dlaczego chce pani wstąpić do policji? - Teodor uznał, że to on powinien przewodniczyć tej rozmowie. Poprawił się na krześle i postanowił zamienić w słuch, podczas gdy od samego pojawienia się dziewczyny zamieniony był we wzrok.

- Kocham mundur - odpowiedziała Julia dźwięcznym, cienkim głosem.

- A może chłopaków w mundurze? - Kadrowiec postanowił wprowadzić trochę luzu do rozmowy.

- Bardzo.

- A, co będzie, jak się pani odkocha?

- Jak to? Przecież tutaj sami mundurowi. Jak nie ten, to inny będzie albo inna. - Kandydatka spojrzała na panią nadkomisarz z komisji.

Po jej wyjściu nastąpiła długa, krępująca cisza. Nikt zza stołu pokrytego zielonym sukniem nie pokusił się o skomentowanie dopiero co przeprowadzonego wywiadu. Wszyscy skupili się na kartach oceny leżących przed nimi i w milczeniu nanosili swoją notę w postaci punktów. Zwykle ożywiona dyskusja i podśmiejki z kandydatów, za sprawą Julii Chlebek zamieniły się w pełną zdumienia ciszę.

Wszedł następny chętny do wykonywania zawodu gliniarza.

Po przedstawieniu się i kilku zdawkowych uwagach pani nadkomisarz zadała pytanie:

- Ma pan jakieś zainteresowania?

- Tak.

- Powie nam pan coś więcej na ten temat?

- Uwielbiam kwiaty, śpiew, muzykę.

- Coś jeszcze?

- Święty spokój.

- A pracuje pan gdzieś albo pracował? - włączył się Teodor.

- Tak.

- Można wiedzieć gdzie?

- Tak, w zakładzie pogrzebowym.

Po zamknięciu się drzwi za kandydatem komisja pogrążyła się w jeszcze większej ciszy niż po wizycie Julii. Każdy dławiał się w duchu wyjątkowością tych spotkań, ich kapryśnym przebiegiem i zaskakującą pointą. W drzwiach sali znów stanęła młoda dziewczyna. Tym razem prezentująca typ kujonki.

Włosy spięte, na szybko, w kucyk. Fryzura zapewne robiona na przystanku autobusowym w drodze na komendę. Okulary w grubych oprawkach i mocno zdewaluowana pod względem mody garsonka. Kandydatka nieśmiało usiadła na wskazanym krześle i równie nieśmiało odpowiadała na pytania. Chucky postanowiła przejść do kwestii motywacji.

- Dlaczego chce pani pracować w ruchu drogowym?

- Bo ja, proszę pani, boję się zwłok. I, jak w tych filmach pokazują takie

straszne sceny, to ja zamykam oczy.

- A w ruchu drogowym to pani nie spotka trupa?

- Przecież tam te, no, mandaty się wystawia.

- A jak będzie wezwanie do wypadku drogowego, to co pani zrobi?

- O tym nie pomyślałam - zamilkła skonsternowana, aby po chwili odkryć szansę dla siebie. - A takiej drogówki, gdzie same mandaty się wystawia, to nie ma? - Powiodła z nadzieją po twarzach członków komisji.

- Takiej pracy musi pani szukać w MZK - posłużył radą Teodor. - Pracują tam ludzie od mandatów. Pasażerowie nazywają ich kanary.

Kandydatka wymknęła się tak samo potulnie, jak lękliwie weszła i uczestniczyła w wywiadzie. W drzwiach minęła się z militarnie usposobionym, prężnym młodzieńcem. Nikt się nad tym nie zastanawiał, ale los ustawił tych ludzi w kontrastującej postawami kolejności. Jak pola szachownicy, czarne i białe albo czekolada z chili, gdzie słodycz przeplata się z ostrością. Chłopak był zdecydowany i pewny siebie. Pod ubraniem, na wzór wojskowy, krył umięśnione, wysportowane ciało. Chucky zmierzyła go przymrużonymi oczami, ale to nie był jej kandydat. Postanowiła sprawdzić, jaki z niego twardziel.

- Co zrobiłby pan, gdyby okazało się, że w samochodzie zatrzymanym przez pana za przekroczenie prędkości jest pańska matka?

- Ukaralbym ją mandatem, jak każdego - bez zastanowienia odpalił militarysta.

- I pan myśli, że my chcielibyśmy pracować z takimi ludźmi, którzy z powodu jakiegoś zasranego wykroczenia drogowego karzą własną matkę? - Rekruterka udała irytację. Wiedziała, że na prawdziwe emocje nie ma tutaj miejsca. Po pierwsze byłoby to, w jej mniemaniu, nieprofesjonalne, a po drugie w krótkim czasie trafiłaby albo do domu wariatów, albo na intensywną terapię. Chłopak w zielonym wojskowym swetrze nieco się speszył. Być może oburzyła go postawa policjantki, która podczas służby skuteczniałaby nepotyzm, ale nie podjął dyskusji. Chwilową ciszę przerwał Teodor:

- Zna pan jakieś środki przymusu bezpośredniego?

Chłopak przez moment się zastanawiał. Nie chciał popełnić gafy jak przy poprzednim pytaniu.

- Miotacz ognia? - odparł niepewnie.

- Może myślał pan o armatce wodnej, też coś z żywiołów - podpowiedział kadrowiec, z trudem powstrzymując rozbawienie.

Twardziel pomału zaczął mięknąć jak chabanina wyjęta nie w porę z zamrażarki. Jedyna mundurowa członkini komisji postanowiła ratować chłopaka i jego szanse utrzymania się w procedurze kwalifikacyjnej, zadając mu proste pytanie:

- Co to jest broń ostra?

Chłopak odetchnął, uznając odpowiedź na to pytanie za banał.

- Na przykład maczeta - wypalił.

Teodor otwarcie parsknął śmiechem, ale po dwóch skurczach tchawicy opanował się i przeprosił. Nie mógł odmówić sobie jednak komentarza.

- Jak pan trafi do komisariatu w Serengeti, to pewnie tak.

Chłopak wyszedł mniej sprężyście niż wszedł, próbował jednak do końca trzymać fason. Mało brakowało, a zasalutowałby przed opuszczeniem pomieszczenia.

Gdy Chucky wyszła z sali, na korytarzu było już pusto. Policjantka czuła się zmęczona. Pomimo rozrywki, jakiej dostarczyli jej dzisiaj kandydaci, wyraźnie cierpiała na brak kondycji związanej z wykonywaniem zawodowych obowiązków. Dwa dni poza pracą, nieprzyjemne przygody przeżyte ostatnimi czasami, ale też bardzo tajemnicza aura roztaczająca się wokół niej, trochę ją dekoncentrowały i zabierały energię. Od gadania i śmiechu zaschło jej w gardle, więc marzyła o łyku herbaty i chwili odprężenia w swoim pokoju. Może też uda jej się w ciszy i spokoju zrobić wstępny porządek z tą stertą papierów, którą zastała na swoim biurku po powrocie ze zwolnienia. Wyszła zza załomu korytarza i niemal zderzyła się z wysokim chłopakiem stojącym pod drzwiami jej pokoju.

- Nie tak ostro - skomentował niedoszłą kolizję Witek. Od czasu wieczornego zajścia, podczas którego wcielił się w rolę mściciela, zdecydowanie skrócił mu się dystans w stosunku do policjantki.

- Czego znowu chcesz? - Kaśka zauważyła poufałość, ale nie chciało jej się tego komentować. Wolałaby, żeby trzymał się od niej z daleka.

- Zobaczyć, jak się czujesz - chłopak nie zmieniał tonu.

- Zależy, co masz na myśli. - Spojrzała swoimi budzącymi niepokój oczami w jego naiwnie ukontentowaną twarz. - Chodzi ci o skutki napadu czy o to, że ktoś próbuje mnie zrobić w człona?

- Miałem tu nie przychodzić, żebyś nie pomyślała, że chcę coś ugrać na tym, co się stało, ale...

- Ale jednak jesteś - weszła mu w słowo. - Jak widzisz, dobrze się czuję, a będzie jeszcze lepiej, jak ustalę, co tak naprawdę zaszło tamtego wieczora. Czy rzeczywiście jesteś taki rycerski.

- Ładne mi podziękowanie. - Na twarzy Witka pozostała tylko naiwność. Zadowolenie gdzieś uleciało.

- Dziękuję, bo nie wiem, jak daleko miał posunąć się tamten bandzior, ale cała sprawa mocno mnie zastanawia, więc uważaj. - Podniosła dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym i zawiesiła go między ich twarzami na wzór słupa granicznego, którego nie sposób bezkarnie zlekceważyć.

Paluszek był mały i zgrabny, ale przekaz poważny i wart wzięcia pod uwagę przez tego, do kogo był skierowany. Chucky zignorowała próbę tłumaczenia chłopaka i zamknęła za sobą drzwi swojego pokoju. Zapomniała o suchym gardle, o pragnieniu i chęci zrobienia porządków na biurku. Opadła na krzesło, pragnąc umieścić jakoś właśnie odbytą rozmowę w misternie tworzonej przez siebie układance. Po co przyszedł? Czy rzeczywiście jest zatroskany o jej samopoczucie? Czy jest częścią tej mistyfikacji, jaka miała miejsce, czy on też został wkręcony?

Pojawiające się w głowie pytania nakładały się na siebie, wypychały wzajemnie, nie pozwalając skupić na odpowiedziach.

Jedyną impresją zapamiętaną z tych odwiedzin, była ta prosta, nieskomplikowana twarz. Ten chłopak nie jest zdolny do żadnych świństw i w tym względzie Chucky ufała zarówno swojej intuicji, jak też całemu doświadczeniu zawodowemu, polegającemu na pracy z ludźmi i ich ocenie. Po co więc ładuje się w dwuznaczne sytuacje, czyżby desperacka chęć wstąpienia do policji odebrała mu resztki instynktu samozachowawczego? Z zamyślenia wyrwała ją Kamcia. Koleżanka skończyła właśnie rozmowę telefoniczną i odłożyła słuchawkę.

- Komendant Filistyński cię szuka. Dzwoniła jego sekretarka.

- Jeszcze tego brakowało. Na pewno Filistyński? - upewniała się Kaśka.

- Tak, Filistyński.

Drzwi pokoju otworzyły się z rozmachem i weszła Mira, podając dziewczynom kolejne kwity służbowe. Ostatnie słowa rozmowy nie uszły jej uwagi. Zazdrość o wpływy i kontakty była zawsze w tej firmie jednym z głównych powodów animozji, wojen podjazdowych, a czasami otwartych konfliktów.

Młodzi robili karierę dzięki protekcji wujków, tatusiów, teściów, podczas gdy starzy pracownicy budowali swoją pozycję zawodową latami. Dawniej, poza nielicznymi przypadkami, poplecznictwo nie było mile widziane. Kojarzyło się z koneksjami partyjnymi, a do takich Polacy mieli wstręt nawet w milicji, a później w policji. Dlatego, jeżeli miały miejsce, były skrzętnie ukrywane i nikt się do nich nie przyznawał. Najczęściej jednak hołdowano zasadzie, że spokojna, niewymuszona ścieżka awansu każdemu dobrze zrobi i przyniesie obfite owoce w przyszłości. Czasy się zmieniły i teraz młodzi ludzie wręcz chwalili się swoimi znajomościami i tym, kto co może. Przyjmowanie awansów poza kolejnością i bez względu na przygotowanie zawodowe nikogo nie raziło, nie mówiąc o napiętnowaniu czy bojkotowaniu takich dzikich rozwiązań.

Mira nie mogła się pogodzić z tym, że komendant robi jakieś dyle z jej pracownicą z pominięciem hierarchii służbowej. Było to o tyle bolesne, że szło od góry, gdyby droga była odwrotna, Chucky zostałaby natychmiast zdyscyplinowana, a tak można było posłużyć się jedynie miernymi docinkami.

- Pewnie niedługo mnie zastąpisz - skomentowała przez zaciśnięte usta zastaną rozmowę.

- Daj spokój, nie mam pojęcia, czego znowu może chcieć ten buc - odpowiedziała Chucky, rozdrażniona, że znów ktoś odrywa ją od bieżących zadań. - Dawno dzwonił? - Dopytała koleżanki z pokoju.

- Jakieś pół godziny temu. Masz się u niego zameldować.

- Kamcia, widząc irytację szefowej, specjalnie położyła nacisk na słowa „u niego”.

- Może zmienił zdanie w sprawie Chausa? - spytała Mira, nie rezygnując z sarkazmu. Drzwi od gabinetu znów się otworzyły. Były takie dni, że

przypominały furtkę konfesjonału w Wielki Piątek. Kandydat trzymał w ręku w części wypełnioną ankietę i wskazywał na coś długopisem. - Pomyliłem się.

Można dostać nowy druk?

- Niech pan poprawi i postawi parafkę - doradziła mu Mira. - Co, nie wie pan, co to parafka? - spytała, widząc tępą minę interesanta. - A może wie pan, co to karafka? To niech pan postawi karafkę. - Wypchnęła kandydata za próg i oparła się o drzwi. - Przydałaby się, co dziewczyny?

Podwładne spojrzały na siebie, bo nie były przyzwyczajone do okazywania słabości przez szefową. Musiała być zmęczona wszystkim innym, bo przecież nie rozstroił jej do tego stopnia Filistyński swoim zaproszeniem dla Kaśki.

- Ty pamiętasz sprawę ojca tego Chausa? Starego Żbika? - spytała szefowej Chucky, korzystając z wytworzonego nastroju.

- To ma być przytyk do mojego wieku? - zachnęła się starsza z policjantek. - Na emeryturę jeszcze się nie wybieram.

- Chciałam dowiedzieć się czegoś o tamtej historii - łagodnie wytłumaczyła rekruterka.

- To nie miejsce ani czas, żeby o tym mówić, a zresztą ja niewiele wiem. Tyle co wszyscy. - Machnęła ręką, jakby chciała odgonić niemiłe wspomnienia. - Leć już do tego Filistyńskiego, żeby nie czekał.

Sekretarka, spojrzawszy na wchodzącą Chucky, kiwnęła głową w kierunku gabinetu komendanta. Rekruterka domyśliła się po tym geście, że droga wolna i można wchodzić. Filistyński siedział rozparty na swoim fotelu i na szmer otwieranych drzwi szybko schował coś pod blat biurka. Wierząc plotkom na temat tego faceta, można się było domyśleć, że ukrywa jakąś gazetkę z gołymi babami. Kaśka, przyjmując postawę zasadniczą przed obliczem szefa, pomyślała o całym mnóstwie treści porno w sieci, ale najwidoczniej komendant wolał tradycyjne kolorowe czasopisma.

- Skończ już z tą musztrą i podejdź tutaj - odchrząknął po wypowiedzeniu ostatniego słowa. Dziewczyna zatrzymała się przed samym biurkiem. Nie dostała jednak zaproszenia, żeby usiąść.

- Miałem do ciebie zaufanie - kontynuował komendant - ale teraz jesteś na najlepszej drodze do jego nadużycia. Nikt mnie tak nie zdeprawował - wypowiadając ostatnie zdanie, podniósł głos. Chucky zwróciła uwagę na

lapsus językowy. Miała na końcu języka, żeby go poprawić, ale bała się, że zabrzmi to zbyt obcesowo. Utrzymała więc swój ostry narząd za zębami, czekając na rozwój sytuacji. Wyprężyła się przy tym jak rekrut posłusznie słuchający rozkazów. - Masz to natychmiast odkręcić. Ta dziewczyna ma się dostać - inspektor wyłuszczył wreszcie problem.

- O kim mówimy?

- Nie udawaj, że nie wiesz. Julia. - Filistyński zaczął chaotycznie szukać czegoś na biurku, zapewne kartki z notatką na temat dziewczyny, o której rozmawiali. - Julia - powtórzył - jakaś tam. Podobno ją dzisiaj maglowaliście.

Kaśka była pewna, że nie słyszała o sprawie, więc być może karteczki powinien komendant poszukać nieco wcześniej. Powiedzenie mu o tym byłoby jednak oznaką służbowego masochizmu. Ten przełożony należał do klubu nieznoszących sprzeciwu, nieomylnych i szukających winy po stronie podwładnych. W tej sytuacji Chucky musiała się wspiąć na wyżyny dyplomacji.

- Trudno mi nad tym zapanować. Ta ma się dostać, tamten z kolei nie ma - wspomniała naciski w sprawie Witka Chausa.

- Akurat wszystko na odwrót.

- Jakie na odwrót, jakie na odwrót? Wystarczy, że będziesz robiła to, co ci każę.

- Ale przecież...

- Jakie ale, jakie ale? - powtarzanie zwrotów było najwidoczniej kolejnym złym nawykiem pana zastępcy komendanta.

- Wiesz, ile takich dziewczyn jak ty czeka na taką robotę, jaką ty masz? Chcesz do emerytury opuszczać szlaban? - Zgodnie ze wszystkimi schematami panującymi w firmie posłużył się najbardziej szampową groźbą, którą słyszy tysiące policjantów każdego dnia od swoich przełożonych.

- Wolałabym podnosić. - Chucky nie mogła powstrzymać się od cichego odszczeknięcia.

- Co podnosić?

- Szlaban.

- Ty mi tu nie pierdol o swoich walorach, bo jeszcze zechcę sprawdzić. Tymczasem wiesz, co masz robić. - Komendant uznał rozmowę za

zakończoną i opuścił ręce pod blat biurka, niczym chłopiec przymierzający się do zabawy pod kołdrą.

Chucky wyszła do sekretariatu. Właśnie odbyta rozmowa była dla niej tak zaskakująca i niedorzeczna, że nawet ona, przy całym swoim dystansie do wewnętrznych, firmowych relacji, nie mogła wyjść ze zdumienia. - O, ty zbolały kutasie, ładujesz mnie jak moździerz, od przodu? - Przemknął jej przez głowę krótki komentarz. Musiała jednak wypowiedzieć te słowa na głos, bo sekretarka spojrzała na nią wzrokiem będącym mieszaniną naiwności, nadziei i zaciekawienia.

- Ciebie też? - spytała cicho.

Na tyle cicho, że zagłuszył je hałas z korytarza, bo drzwi gwałtownie się otworzyły i stanął w nich Miecio. Kaśka spojrzała na sierżanta i jego twarz wydała jej się znajoma. Ten spytał sekretarkę o szefa i nie czekając na odpowiedź, uchylił drzwi do gabinetu komendanta.

- Komendantunio zajęty? - zagaił, wsadzając głowę w wąską szparę pomiędzy obitymi skórą drzwiami a futryną. Cały tułów, a przede wszystkim dupa przyodziana w świeżące od znoszenia, mundurowe spodnie, została po stronie obserwujących scenę dziewczyn.

Chucky, widząc tę pozę i słysząc pierwsze słowa, natychmiast skojarzyła, skąd zna gościa. Przypomniała sobie scenę z sali gimnastycznej, kiedy sierżant obłaskawiał trenerów.

- Co tam, Mieciu? - dobiegło z wnętrza gabinetu.

- Chciałem tylko zapytać, czy czegoś nie potrzeba komendancikowi? - Z każdą wypowiedzaną sylabą policjant znikał głębiej w pokoju Filistyńskiego, aby po postawieniu znaku zapytania zamknąć za sobą drzwi od tamtej strony.

Chucky, zdegustowana, wyszła z sekretariatu. Na korytarzu natknęła się na młodego chłopaka. Stał, wyłamując sobie palce dłoni i spłoszonym wzrokiem taksując otoczenie. Teraz, kiedy rekruterka przypomniała sobie sekwencję zdarzeń z testu sprawnościowego, z łatwością rozpoznała w nim łamagę niepotrafiącego zrobić poprawnie brzuszka.

„Co się tutaj dzieje” - pomyślała, idąc korytarzem do swojego wydziału. Trafiała bezwiednie w spiralę jakichś niezdrowych zależności i układów. Najpierw jakieś niezrozumiałe naciski w sprawie Chausa, które zburzyły jej

spokój. Nie miała ochoty się w to bawić, ale uznała sprawę za ważną, bo wtedy komendant osobiście ją o to poprosił. Zaimponowało jej trochę, że pominął jej szefową i zwrócił się bezpośrednio do niej. Po cichu upatrywała w tym jakiejś szansy na przyspieszenie kariery w policji. Później oczywiście w sprawę wmieszała się Mira i sytuacja stała się niewygodna. Teraz znowu jakaś głupia Julka. Komisja oceniła ją na zero, a ja mam się z tego tłumaczyć? Przecież ten Filistyński pełni tutaj rolę „załatwiacza”. On nie ma czasu na wypełnianie swojej funkcji, bo pozostaje do dyspozycji tych, którym coś potrzeba. A może na tym polega jego funkcja? Dziewczyna poczuła się jak gówniara na posyłki, a jej ambicje zawodowe znacznie wykraczały poza takie misje.

Nawet jeżeli zleca je sam zastępca komendanta. Jej wrodzona skłonność do buntu teraz zaczynała dochodzić do głosu. Spostrzegła, że nie tylko ona została potraktowana podle, ale niesprawiedliwość dzieje się wokół niej. Poczula się z tym źle, a jako hedonistka nie lubiła czuć się źle. Miała więc dwa wyjścia: albo polubić to, czego doświadczała w ostatnich dniach i pogodzić się z tym, że taki jest świat, albo wziąć sprawy we własne ręce i postawić światu własne warunki. Nie miała pojęcia, jak to zrobić, ale nie miała też wątpliwości, że jej natura domaga się realizacji drugiego wariantu.

XXIII



Pprzed drzwiami do mieszkania na trzecim piętrze wielkiego bloku przy ulicy Okopowej stało dwóch policjantów. Stanowili oni już ostatnią z kilku zapór chroniących dostęp do miejsca zbrodni. Komisarz Feliks Zdanowski nie chował swojej legitymacji służbowej, bo posłużył się nią już parę razy, żeby dotrzeć do tego feralnego mieszkania. Chłopcy z Oddziału Prewencji nie znają policjantów z Komendy Stołecznej, chociaż zabezpieczają wszystkie zdarzenia, również te o charakterze kryminalnym, mające miejsce na terenie Warszawy. W zasadzie przy tylu okazjach, ile stwarza wielkie miasto ze swoją podskórną, przestępczą tkanką, powinni być zaznajomieni z twarzami kryminalnych, ale rotacja w oddziale jest tak duża, że na każde wezwanie jadą inni ludzie. Komisarz jeszcze raz machnął odznaką przed policjantami stojącymi przy wejściu i ostrożnie wszedł do mieszkania. W środku pracowało kilka osób. Co pewien czas błyskał flesz aparatu fotograficznego. Już pierwsze spojrzenie na podłogę w przedpokoju i później zapuszczenie żurawia do łazienki uświadomiły mu, że informacja o jatce nie była przesadzona. Kafle dosłownie spływały brunatno-czerwoną mazią, w niektórych miejscach dodatkowo rozmazane jak na obrazach nowoczesnych malarzy, realizujących swoje odjechane wizje.

W innych, tworzyły zwykłe zacieki przypominające abstrakcję organiczną. W wannie leżały trudne do zidentyfikowania kawałki ciała. Ustęp wypełniała różowa woda jak po płukaniu mięsa. Przelewała się cienką strużką przez jego brzegi, bo kibel najwidoczniej zatkał się przez jakieś ochłapy. Feliks zrobił trzy duże kroki w kierunku sąsiedniego pomieszczenia, uważając, żeby nie wdepnąć w na pół zaschnięte kałuże posoki. W pokoju, skupiona na swoich czynnościach, pracowała dziewczyna z techniki, w uniwersalnym białym kombinezonie. Rude, gęste włosy i niebanalna twarz usiana piegami bardziej pasowały do reklamy szamponu albo jakichś kosmetyków niż do tego

makabrycznego otoczenia.

- Cześć Dorotka - przywitał ją Feliks. - Że też zawsze musimy randkować w strugach krwi. Czy to normalne?

Dorotka odwróciła głowę. Policzek miała delikatnie muśnięty proszkiem daktyloskopijnym.

- W naszym zawodzie to normalne - odparła rzeczowo, zdradzając tym samym swój stosunek do tego, czym się zajmuje.

- Od czego by tu zacząć? - Oficer rozejrzał się wokoło.

- W zasadzie wszystko jasne. Sprawcę zabrali do KRP, więc jak chcesz z nim pogadać, to musisz jechać na Żytnią.

- Policjantka nawet na sekundę nie rezygnowała ze służbowego zacięcia.

- Na żytnią to ja jeździłem z kolegami po robocie. Jak zaczynałem pracę w policji, nic innego się nie piło. - Policjant dał upust swoim skojarzeniom.

- Mówię o komendzie na Żytniej - rzuciła, nie rozwijając retrospektywnych wynurzeń kolegi.

- Ale ty masz wykrywalność, ja pierdolę - próbował zmiękczyć koleżankę Feliks. Ta oderwała się od swoich czynności i spojrzała poważnie swoimi zielonymi oczami.

- Się pracuje, się ma. - Przez jej twarz przemknęło coś na kształt uśmiechu. Wprawiony obserwator mógł w tym grymasie dostrzec dziewczęcą figlarność skrytą pod maską służbowej powagi. Jednak trzydziestopięcioletniej kobiecie po przejściach nie chciało się zbyt często ujawniać słodkich kobiecych odruchów. Zwłaszcza nie miała na to ochoty w zawodowych okolicznościach.

- Powiesz mi, co się stało? - Policjant wyciągnął e-papierosa. - Ktoś starał się o etat w rzeźni?

- Coś w tym stylu. Chłopak zamówił sobie dziwkę, ale słowo rznąć rozumiał zbyt dosłownie. Później postanowił rozwieźć jej kawałki po całej Warszawie. Z wyjątkiem tego, co zostało w wannie i splukane w sraczu.

- Jak go namierzyliście?

- Nie było potrzeby - kiwnęła głową, wprawiając w lekkie falowanie rude loki. - Ochroniarz burdelu wezwał policję, bo pracownica od trzech godzin nie dawała znaku życia. Jej komórka nie odpowiadała. Do mieszkania nie można się było dostać, więc strażacy wyjebali okno i zastali kolesia przy robocie.

- Tak po prostu?

- Mamy do czynienia z pojebem. - Policjantka zaczęła pakować sprzęt. W końcu spędzili tu już kilka godzin. - Zajrzyj do lodówki. Założę się, że te ładnie wykrojone kotleciki to nie ze świni pochodzą.

- Kurwa, to się nam Hannibal trafił. Niechętnie, ale muszę go poznać. Jadę na Żytnią. Do następnego, Dorotka. - Wycofał się, stąpając na piętach.

Wizyta na Żytniej okazała się krótka, bo decyzja kogoś z góry nakazywała natychmiast przetransportować gościa do pałacu, czyli siedziby Komendy Stołecznej. Psychologom zlecono wykonanie portretu psychologicznego nieznanego sprawcy, co okazało się chybionym pomysłem, bo sprawca był znany.

Można go było jedynie opisać na podstawie obserwacji. Pomimo zaangażowania większej ilości ludzi wszystko to kosztowało dużo czasu. Wstępne przesłuchanie nie tylko potwierdziło fakty ustalone w ramach czynności policyjnych, ale też pozwoliło stwierdzić poważne problemy psychiczne sprawcy zbrodni.

Feliksowi było na rękę, że przy sprawie pracują całe tabuny ludzi. Uznał, że dalej musi pomęczyć się nad łebkiem dochodzeniówka, a on w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku pognął na drugi etat. Był już spóźniony i wiedział, że w sobotnią noc jego brak na bramce będzie odczuwalny.

Zbliżając się szybkim krokiem do klubu, już z daleka spostrzegł, że coś się tam dzieje. Tłumek przed klubem był spory.

Z doświadczenia wiedział, kto jest najbardziej toksycznym klientem. Wytatuowani, łysogłowi z byczymi karkami byli niebezpieczni, ale można było ich okiełznać, pijani studenci nie stanowili żadnego zagrożenia, a narąbane panienki z rozmazanym makijażem i pretensjami do swoich chłopaków zamiatało się na śmietniczkę i wyrzucało z lokalu. Najwięcej problemów sprawiali zawsze metroseksualni gogusie prezentujący mentalność mieszkańca strzeżonego osiedla. Bramkarze nazywali ich prezesikami, bo przez złote smartfony głośno gadali o służbowych sprawach, wtrącając całą masę obcych wyrazów, czyniąc z języka jakiś kostropaty kod porozumiewawczy. Do uszu Feliksa dobiegły pierwsze odgłosy awantury.

- Chowaj tę stówę, prezesiku, i czekaj na swoją kolej jak biały człowiek, bo

w ogóle nie wejdiesz - dyscyplinował wyżełowanego pajaca kolega z BOA, jednocześnie próbując zrobić miejsce do wejścia innym klientom.

- Ty wwwogóle wwwiesz z kim rozzzzmawiasz? - wybełkotał prezesik, obejmując za szyję swoich dwóch kolegów.

Jeden z nich wyjął wypasionego smartfona i zaczął celować palcem w wyświetlacz.

- Rysiu, nie gadaj z tymi kutasami, ja kolnę do czifa tego burdelu.

Witek pociągnął w bok trzeciego z natrętów, wydawało mu się, że najtrzeźwiejszego z całego towarzystwa, i słowami próbował załagodzić sytuację:

- Zrób porządek z kolegami, bo przytrafi im się przykrość.

Mamy tutaj robotę, a wy nam przeszkadzacie.

Facet spojrział na Witka pełnym uznania wzrokiem i wyciągnął dłoń, żeby pogłaskać go po twarzy.

- Ładny jesteś i taki męski...

Młody ochroniarz odtrącił jego rękę z taką siłą, że tamten zatoczył się i zsunął z krawężnika. W tym momencie, przez naprędce utworzony tłumek gapiów, przedarł się Feliks.

- Sorry, Witek, za spóźnienie, ale chujowy dzień dzisiaj miałem. Co tu jest grane?

- Wszystko w porządku, mamy panów, którzy szukają biedy.

Zza pleców ochroniarzy wyłonił się menadżer lokalu.

- O co chodzi? - zapiszczał. - Wpuście tych panów, to goście szefa.

Feliks zatarasował wejście swoją wielką posturą.

- Przykro mi, kierowniku, ale oni nie wejdą.

- Coś ci się, Feliks, pomyliło? - Nawet w słabym świetle klubowego holu widać było, jak twarz menadżera pąsowieje. - Złaż z drogi.

- Nie ma mowy. To kwestia zasad. - Sposób, w jaki postawny bramkarz wypowiedział te słowa, mógłby posłużyć do fizycznego wbijania gwoździ.

- Wpuszczaj ich i nie rób bydła. - Próbował ratować swoją reputację szef.

- Ja robię bydło? Jeśli ktoś tu jest bydlakiem, to chyba właśnie ci trzej. - Kiwnął głową w kierunku prezesików, którzy, pewni skuteczności swojej interwencji u właściciela klubu, w ogóle nie interesowali się konfliktem wśród

obsługi. - Chcesz mieć problemy, to sam sobie ich wpuszczaj.

- Jak to?

- Srak to. Szukaj kogoś na bramkę, bo nas już tu nie ma.

- Puścił oko do Witka. Drugi z kolegów ochroniarzy po przyjściu Feliksa zniknął wewnątrz lokalu. - Ludzie! - krzyknął w stronę chętnych do wejścia. - Święto lasu, dzisiaj wstęp wolny, zapraszamy.

Feliks pociągnął Witka za rękaw i w sekundzie znaleźli się poza kręgiem zamieszania. Z daleka widzieli, jak menadżer znika wewnątrz lokalu, wepchnięty przez tłum imprezowiczów.

- Co cię tak wkurzyło? - Witek nieco oszołomiony sytuacją poszedł solidarnie z kolegą, ale nie wiedział, czy już ma tego żałować, czy dopiero będzie. W końcu praca w tym klubie to była dobra fucha, którą załatwiła mu ciotka Brona.

- Życie - smętnie odpowiedział Feliks i ruszył przed siebie ulicą. - Miałem dzisiaj zdarzenie. Młody chłopak, taki w twoim wieku, zabił i pokroił na kawałki kobietę.

- Miał powód? - zainteresował się młodszy z ochroniarzy.

- Bezpośredniego nie miał, ale jak go maglowaliśmy na komendzie, to wyjawiał motyw. - Mężczyźni doszli już do Świętokrzyskiej i przystanęli na chwilę, losując w głowach kierunek dalszego spaceru. Wybrali marsz w stronę Nowego Świata, tam było więcej knajp. - Przyznał się, że chciał zostać policjantem.

Cztery razy się starał i za każdym razem go odrzucali. W końcu się wkurwił i przeszedł na drugą stronę. Nie da się ukryć, że z przytupem. Jednak coś ci psychologowie umieją, że wyhaczyli takiego świra.

- Wszystko przede mną. Ja dopiero raz dostałem od nich kopa w dupę i już mam ochotę zamordować taką jedną. - Witkowi przypomniała się uwaga o wózkach widłowych. Poczuł, jak pięści same mu się zaciskają.

Chłopcy wybrali stolik w głębi sali. Kilka butelek piwa na stole i nieposprzątane szklanki prezentowały się jako wskaźnik upływu czasu. Podejmowane przez nich tematy stanowiły miernik tego, co ich gryzie, z czym prowadzą wewnętrzną walkę.

- Pieprzę taką robotę. Niby kasa jest, ale czy policjant powinien dać się tak

poniewierać? - Feliks nawiązywał do wieczornego zajścia przed klubem. - Człowiek chciałby z ludźmi po dobroci, na wesoło, z humorem. Ale się nie da. Przecież jak ta hałastrą się napije, to im wszystkie hamulce puszczają, a przecież pić to trzeba umieć. Zresztą, co ja ci będę mówił.

- Z hałastrą to my sobie zawsze poradzimy, ale z tym pedałem kierownikiem, to już gorzej. - Witek był przy stole tym ze zdecydowanie słabszą głową. - Dobrze mu powiedziałaś. W imię zasad, chuju. Jak w filmie - zarechotał śmiechem szaleńca.

- Myślą, że jak mają trochę więcej monety od ciebie, to mogą tobą pomiatać? Gdyby nie ten zasrany kredyt, nie dałbym się tak szmacić. - Policjant zamachnął się szklanką, ale resztki rozsądku nie pozwoliły mu jej wyrzucić ani rozbić o stół. Za to resztki piwa pochlapały dziewczyny przy sąsiednim stoliku. Te dały znać, że nic się nie stało. Ruch w tej części sali był jednak na tyle gwałtowny, że chwilę później pojawiła się kelnerka. Pozbierała puste naczynia, nie proponując gościom ponownej kolejki. Musiała uznać, że ci panowie mają już dość i każda kolejna porcja alkoholu może wiązać się z kłopotami.

- Jak będę już w firmie, to w życiu nie stanę na bramce - odgrażał się młody.

- Słabą śssssścieżkę zawodową sobie wybrałaś, Witusiu.

Uwierz mi, zasrana robota za psie pieniądze albo, jak wolisz, psia robota za zasraną kasę.

- Nigdy z tego nie zrezygnuję.

- Nigdy nie mów nigdy. Różnie w życiu bywa. Weź takiego Filio. Ty wiesz, co on ostatnio zrobił? Ty... Napuścił na mnie Pawlacza. Chciał się zemścić za tamtego kopa w dupę.

Pamiętasz?

- Pamiętam, ale nie wiem, kto to Pawlacz.

- Nieważne, człowiek z miasta, ale umiał się zachować, a ten debil kolejny raz zrobił z siebie głupa. Jak to pieniądze nie idą w parze z rozumem.

- A ten Filio podobno doi ojca, który jest jakąś potężną figurą.

- Chuja tam, potężną. Zwyczajny dupowłaz. Bez względu na kurs podczepia się do okrętu flagowego i czasami uda mu się dostać na pokład. Wtedy może

chronić synalka.

- Przed kim? - Witek pomału dochodził do siebie.

- Przed nim samym. Gdyby nie tatuś, gnój już dawno by siedział w mamrze albo gryzł glebę. Nie raz podpadł na mieście, ale u psów też ma przesrane.

- U psów? Dlaczego?

- Bo był kiedyś zamieszany w zabójstwo policjanta. - Feliks zamyślił się na moment. - To już chyba z dziesięć lat minęło - próbował sobie przypomnieć. - Czas leci, a ten głupek nie zmądrzał.

Witek oprzytomniał. Słowa Feliksa sprawiły, że natychmiast stał się trzeźwy. Od razu zorientował się, o czym mówi jego kumpel. Nie wiedział, jak zareagować, bo w zasadzie każda reakcja wiązałaby się z przyznaniem do tego, jak bardzo go ta sprawa dotyczy. Pochylił się w stronę zadumanego policjanta z wydziału zabójstw.

- Dokładnie czternaście.

- Co? - Feliks w pierwszej chwili nie zrozumiał, o czym mówi młodszy kolega, a może myślami był już gdzie indziej.

- Czternaście lat temu zginął mój ojciec. Do dzisiaj nie ustalono sprawcy.

Feliks wyprostował się na krześle. Czknął i popatrzył uważnie na partnera.

- To twój stary - stwierdził bardziej niż spytał, a później powiódł pijackim wzrokiem po sali, jakby widział w tej chwili zupełnie inny obraz niż knajpiane wnętrze. - Trochę policjantów zajebali od tamtego czasu, ale żadna z tych śmierci nie przypominała egzekucji.

- A ta przypominała? - Witek omal nie wyszedł z siebie.

- Przecież to był wypadek, ojciec znalazł się w nieodpowiednim miejscu, w nieodpowiednim czasie.

- Gówno prawda. Tak właśnie mówili, ale drugi obieg wykazywał co innego.

- Jak toczyła się sprawa, byłem dzieckiem, a teraz nie mogę się do niej dopchać. Myślałem, że jak zostanę policjantem, to coś nowego uda mi się ustalić.

- Uda, nie uda. Popatrz na ten tyłeczek. - Feliks odprowadził wzrokiem rozkołysane biodra kelnerki.

- Wątpię, żeby ci pozwolili. To strasznie pokręcona sprawa była. Tam w

trakcie postępowania jakiś nieformalny związek się narodził. Miłość jakaś czy coś.

Ochroniarz kiwnął na kelnerkę, pokazując dwa rozczapierzone palce. Nie oznaczały one, bynajmniej, wiktorii. Konsument domagał się dwóch piw.

- Miłość? - Witek uniósł brwi.

- Nie wiem, nie pamiętam, nie znam się na tym. - Głina przechylił szklanę do ust i wypił resztkę piwa.

Szala upojenia zdecydowanie przechyliła się teraz na stronę starego gliny. Zmęczenie ciężkim dniem, a może więcej niż jednym dniem, dało o sobie znać. Powieki Feliksa stały się ciężkie jak całe jego życie. Witek musiał pogodzić się z tym, że rozmowę trzeba będzie odłożyć na inny czas.

XXIV



Basen i SPA w podwarszawskim hotelu to dobre miejsce na romantyczną randkę. Chucky jednak nie była ani romantyczką, ani nie nazywała spotkań ze swoim prokuratorem randkami.

Niemniej jednak popołudnie spędzone w takim miejscu było świetną okazją do zażycia odrobiny relaksu i idealnym momentem do przedstawienia znajomemu prawnikowi swoich skromnych próśb. Zwłaszcza, że argumentem przetargowym mogła być zgoda dziewczyny na przedłużenie tej wyjazdowej sielanki do jutrzejszego śniadania. Myślała o tym z niechęcią, ale nie wiedzieć czemu sprawa, która ją tutaj przywiodła, stała się dla niej bardzo ważna.

Zainteresowanie jakimś zleżałym postępowaniem prokuratorskim mogła zawdzięczać, z jednej strony swojej rogatej duszy i przekornemu podejściu do życia, z drugiej, wrodzonej ciekawości i naturalnej skłonności do szpiclowania. Mówiła to jej matka, kiedy w dzieciństwie pytała o panów odprowadzających mamę pod dom i nadspodziewanie długo całujących jej rękę na pożegnanie. Mówił też tata, który zdumiony stwierdzał inny układ kolekcji pornosów schowanych w tylko jemu wiadomym miejscu z zabezpieczonym dostępem dla pozostałych domowników. Nie wyrażał się oczywiście wprost, żeby nie ruszać jego świerszczy, ale jasno dawał córce do zrozumienia, że wkracza na śliski grunt. Koleżanki próbujące zawiązywać różne, charakterystyczne dla nastolatek, przymierza i podgrupy towarzyskie, nie były w stanie utrzymać ich struktur w tajemnicy. Mała Kasia znała relacje panujące w grupie do samego dna, niezależnie czy była w koalicji, czy też w opozycji do danego obozu. Nigdy też nie miała prawdziwej przyjaciółki, bo te wcześniej czy później wysypały się na jakiejś nieszczerości, a to było dla dziewczyny asumptem do zerwania serdecznych więzów. Zawsze dążyła do prawdy, więc w pewnym okresie rozcinała żaby, żeby sprawdzić, czy nie ukrywa się w nich przypadkiem jakiś księżę, a Świętego Mikołaja

rozszyfrowała w wieku czterech lat, bo gapowaty sąsiad nie zmienił domowych kapci na czerwone kozaki.

Teraz Chucky zainteresowała się sprawą śmierci policjanta sprzed czternastu lat i nie miały dla niej znaczenia rozterki syna zamordowanego Żbika, ubiegającego się o przyjęcie do policji, ani zastanawiająca nieudolność śledczych, kompromitująca organa ścigania. Dla dziewczyny istotny stał się raczej fakt niezdrowego zaangażowania się w sprawę kilku ważnych osób.

Tajemnica, jaką owiana była tamta historia i dzisiejsze zachowanie wpływowych urzędników, wzbudzały głód wiedzy i pragnienie dowiedzenia się czegoś więcej. Młoda policjantka poczuła niepokój towarzyszący wielkim odkrywcom. Świadomość, że coś istnieje, a nie jest dostępne, napędzała ją do działania w takim samym stopniu co wynalazców, naukowców i twórców teorii. A może po prostu drzemała w niej druga, policyjna natura, która zrodziła się jeszcze w szkole policji w Szczytnie i ciągnęła ją w kierunku pracy dochodzeniowej. Przecież tak do końca nie wykrystalizowała się jeszcze jej ścieżka zawodowa. Lubiła to, co robi, ale mogły być rzeczy, które polubi jeszcze bardziej. Od czegoś trzeba było zacząć.

Chucky obserwowała, jak prokurator Czerski popisował się przed nią umiejętnościami pływackimi. W jej ocenie rozbryzgi wody przy kraulu były zbyt duże, jak na ten sprinterski styl. Nie komentowała jednak zachowania w wodzie Czerskiego, nie chcąc urazić jego męskiej dumy. W końcu miała dzisiaj za zadanie obłaskawić prokuratora, by ten włączył się w realizację jej planów. Prawnik podpłynął do krawędzi basenu i oparł się splecionymi przedramionami o brzeg. Spojrzał na jedną z kobiet wychodzących spod prysznic. Miała długie blade nogi i jednoczęściowy kostium wycięty tak głęboko w pachwinie, że spod lamówki trykotu wyłaniało się kilka niesfornych włosków łonowych. Prokurator odprowadził kobietę wzrokiem do momentu, gdy ta zanurzyła się w jacuzzi, po czym wspiął się na basenową drabinkę i wyskoczył z wody.

- Załatwię sobie taką perukę, jak mi załatwisz dostęp do tych akt. - Chucky wyśledziła wzrokiem ostatnie spostrzeżenie partnera.

Prawnik na moment przerwał wycieranie głowy. Szybko zorientował się jednak, do czego nawiązuje dziewczyna.

- Będziesz musiała jeszcze coś dorzucić.

- Nie targuj się. Przecież wiem, jak bardzo chcesz to zobaczyć. - Chucky wydawało się, że facet nieprzypadkowo w tym momencie usiadł na leżaku i przykrył ręcznikiem podbrzusze.

- Sprawa śmierci Wiesława Chausa sprzed czternastu lat. Zapamiętasz, czy przysłać ci esemesa?

- Zapamiętam. - Położył się z rękami pod głowę. Widocznie napięcie minęło. - Czyżbyś chciała zdradzić tych swoich kandydatów na rzecz dochodzeniówki? Zawsze uważałem, że w tych kadrach się marnujesz.

- Czym głępsi kandydaci, tym bardziej moje odczucia przypominają drinka Jamesa Bonda. Czuję się bardziej potrzebna w doborze i równocześnie bardziej chcę odejść, ale najbardziej wstrząśnięta jestem postawą Filistyńskiego. Od tego, co on robi, skóra mi się na dupie marszczy.

Prokurator zerwał się na równe nogi. Przebijając się przez poły szlafroka Chucky, ścisnął dłonią jej pośladek.

- Pokaż! - Próbował odwrócić dziewczynę. - Ja temu komendantowi dam, szpecić taki tyłeczek.

Policjantka odskoczyła jak poparzona, rzucając mu na głowę ręcznik. Przemknęło jej przez myśl, czy nie zadać ciosu kolanem w czułe miejsce, ale powstrzymała odruch w imię wyższych racji.

- Precz, dewiancie - udała rozbawienie. - Najpierw akta - dodała zalotnie.

XXV



Witek schylił się przy małej szafeczce stojącej na werandzie i z pedanterią układał narzędzia w plastikowym pudełku. To przeszklone pomieszczenie pełniło kilka funkcji w zależności od pory roku. Jednak wbrew pierwotnemu przeznaczeniu było najczęściej używanym wejściem do domu, przejmując rolę wiatrołapu i przedpokoju w jednym. Matka stała przy drzwiach prowadzących do furki w ogrodzeniu i raz po raz naciskając włącznik, wsłuchiwała się w dźwięk brzęczyka domofonu. Robiła to z takim ukontentowaniem, jakby odsluchiwała najnowszej płyty z muzyką Capella Gedanensis, którą tak bardzo lubiła.

- Jak dobrze, że udało ci się za to zabrać. Już miałam dosyć tego ciągłego wychodzenia do furki. Wszystko potrafisz zreperować. - Z uznaniem pokiwała głową i ponownie na krótko uruchomiła elektromagnes.

- Życie nas zmusiło do radzenia sobie z takimi sprawami.

Szkoda, że i jego nie potrafię naprawić - trzasnął drzwiczkami od szafki, przy której kuczał.

- Co ty mówisz? Nie masz co narzekać.

Weszli do kuchni. Witek odruchowo podszedł do babci zajmującej niezmiennie fotel pod oknem i pocałował ją w policzek. Witął się już ze staruszką zaraz po przyjściu, ale jej postać wzbudzała w nim rozrzewnienie, któremu za każdym razem musiał dać zadość. Usiadł przy stole i sięgnął brudną ręką po kawałek placka ze śliwkami.

- Wiesz, że moje marzenie coraz bardziej się oddala - powiedział z pełnymi ustami. Matka odwróciła się od zlewozmywaka, sięgając po ścierkę do wytarcia rąk.

- I dobrze. Po co ci ta policzka. To nie jest zajęcie dla ciebie.

Ty powinienes grać. - Postawiła przed synem talerzyk.

- Nie obchodzi cię, jak zginął ojciec? Kto to zrobił jemu, tobie, nam?

- Tego już się pewnie nie dowiemy. Ja na pewno nie doczekam - babcia włączyła się do rozmowy, nader sprawnie kontrolując poruszane tematy.

- Mogli dawno zamknąć sprawę, gdyby nie marnowali czasu na ksiuty. - Matka sięgnęła po papierosa.

Witek strzelił płomieniem zapalniczki, chcąc służyć matce ogniem.

- Jakie ksiuty? - Cofnął rękę. - Może wreszcie się czegoś dowiem? - Przyłożył ogień do końcówki papierosa. - Mamo, nie zapominaj, że nie jestem już dzieckiem. Nie musisz mnie chronić przed tym, co się stało.

- Złapałoby mordercę, gdyby nie to, że zachciało im się amorów. - Wypuściła dym nosem i nerwowo strzepnęła popiół do popielniczki. - Tej kurwie tylko to było w głowie.

- O kim ty mówisz?

- O kim, o kim - zachnęła się. - O Bronce. I tym jej Stasiu.

On zamiast szukać mordercy twojego ojca, rznął głównego świadka. No i co z tego wyszło.

- To oni poznali się podczas tej sprawy? - Chłopak aż podskoczył na krześle.

- Czułam się tak, jakby robili to na jego grobie. - Chausowa obracała papierosa w palcach, temperując żar o złobienia popielnicy.

- Nie przesadzaj - Witek zdążył już powściągnąć emocje.

- Od tego czasu dużo się zmieniło. Brona próbuje mi pomóc.

- Nie chcę o tym słyszeć. - Afekt u kobiety rósł, ale nie chciała dać po sobie poznać, że wciąż tak przeżywa traumę sprzed lat. Zmieniła temat. - Ćwiczysz trochę czy zaniedbałeś instrument?

- Ty znowu swoje. - Witek wstał od stołu. Zaczął szykować się do wyjścia. Intuicyjnie wyczuwał, kiedy jego matka staje przed granicą egzaltacji. Nie chcąc, by przekraczała tę niewygodną, również dla niej, barierę, wolał się wycofać.

- Nie zostaniesz na obiedzie? - próbowała go zatrzymać.

- Dziękuję, ale nie. Muszę poćwiczyć grę na instrumencie.

- Nie wygłupiaj się, tak tylko spytałam - kobieta łagodziła sytuację.

- To może damy Witusia do orkiestry policyjnej - babcia udawadniała, że cały czas jest w temacie. Jej doświadczony przez życie, praktyczny rozum

wytworzył kompromisowe rozwiązanie. Witek skrzyżował wzrok z mamą i po chwili oboje parsknęli śmiechem.

- Tak, babciu, będę walił pałą po cymbałach.

Dla chłopaka to nie był śmiech dający wytchnienie, odprężający i oczyszczający. Rozbroiła go ta komiczna sytuacja i genialnie trafny komentarz babci, ale problem, jaki go dotyczył, pozostawał i twardo zakorzenił się w jego egzystencji. Nie powinien rozmawiać z matką na ten temat, bo atmosfera tych rozmów jeszcze bardziej go dołowała. Z drugiej strony udało mu się dzisiaj wydobyć z niej jakieś szczątkowe informacje na temat tamtych wydarzeń. Być może, gdyby lepiej poprowadził tę dyskusję, to dowiedziałby się jeszcze więcej. Czuł wielkie zniecierpliwienie i niedosyt, że każda jego próba poszerzenia wiedzy na temat śmierci ojca kończy się przedwcześnie. Jak nie pijany Feliks, to rozhisteryzowana matka albo skąpa w wyjaśnienia Brona. Odnosił wrażenie, że wszyscy traktują go mało poważnie. Czy jedyną drogą do rozwiązania niektórych języków jest występowanie z pozycji policjanta? A może, jak powiedziała matka, on się do tej roboty nie nadaje. Brak mu opanowania, samokontroli, stanowczości. Nie potrafi zdobywać informacji i ich przetwarzać. Może powinien zmienić taktykę, ułożyć w głowie jakiś plan, poukładać fakty, odpowiedzieć na kilka pytań.

XXVI



Tworzyli specyficzny orszak przemieszczający się pomiędzy wysokimi regałami obłożonymi aktami od podłogi po sam sufit. Na początku szeregu szła zasuszonego kobieta o siwych włosach i okularach z grubymi szklami. W archiwum prokuratury pracowała od zawsze, a szary kitel był jej nieodłącznym atrybutem. Pod pachą trzymała plik akt w tekturowej oprawie.

Tuż za archiwistką, drobnymi kroczkami sunęła Chucky, starając się trzymać jak najbliżej przewodniczki w obawie, by nie zgubić się w tym labiryncie. Przez chwilę wyobrażała sobie, że zaginęła pomiędzy regałami i walczyła o przetrwanie w tych ciasnych przestrzeniach, gdzie trudno o jakąkolwiek orientację.

Skupienie na przebytej drodze zakłócał jej wciąż niewyżyty prokurator Czerski, który korzystając z okazji, że idzie za dziewczyną, zdradzał wielkie zainteresowanie jej pośladkami.

Kaśka, czując na swoim zadku zaczepki rodem z podstawówki, kręciła biodrami i dyskretnie opędzała się od natręta, wykonując ruchy, jakby miała na sobie zbyt ciasne majtki. Korowód dotarł na skraj klaustrofobicznej przestrzeni, gdzie stał prosty stolik i dwa krzesła. Pani w fartuchu zapaliła biurową lampkę, tworząc gabinetowy nastrój.

- Tutaj może pani sobie popatrzeć w te akta. - Położyła plik dokumentów na stole, wzbijając lekki tuman kurzu. Odruchowo zdjęła okulary, żeby je przetrzeć końcem fartucha i zwróciła się do Czerskiego. - Ja nadal nie wiem, czy powinnam, panie prokuratorze.

- Pani Lodziu, zna mnie pani przecież. - Położył jej rękę na ramieniu. - To tak, jakby pani mnie te akta wypożyczyła.

Wypisałem przecież fiszkę.

Pani Lodzia pokiwała jeszcze głową, nie mogąc wyzbyć się wątpliwości, ale decyzja tak czy tak była podjęta.

- Niech już będzie - zgodziła się. - W imię sprawiedliwości.

Zniknięcie archiwistki w otchłani wąskich przesmyków wyzwoliło w Czerskim nową falę zalotów. Próbował objąć policjantkę, ale ta wykręciła się, okazując większe zainteresowanie aktami niż obecnością faceta.

- Zadowolona? - spytał, modulując głos jak lowelas.

- Tak - odpowiedziała bezwiednie kartkując dokumenty.

- Robiłaś to już w takim miejscu?

- Nie i nie zamierzam - usiadła za stołem i założyła nogę na nogę, blokując dostęp do siebie. - Spójrz, ile tu kurzu, po takiej zabawie miałabym cipkę jak worek po cemencie. Poza tym: najpierw obowiązek, a później przyjemność.

- A może najpierw przyjemność i potem przyjemność?

- Czerski oparł się o kant stołu i splótł ręce na piersiach.

- Potem nogi śmierzdzą - odepchnęła go. - Zabieraj dupsko i daj popracować.

Patrz, ile tego jest.

- A to jeszcze nie wszystko - powiedział, jakby zamierzał się droczyć.

- Jak to, myślałam, że załatwiłeś całość.

- To są akta procesowe do dyspozycji sądu i prokuratury.

Akta operacyjne leżą u was.

- W komendzie?

- Tak powinno być. Na pewno są lepiej strzeżone niż te, bo mają wyższą klauzulę niejawności. O której cię stąd zabrać?

- O szesnastej. Siedzę do oporu.

Prokurator odebrał Chucky punktualnie i prosto z mrocznej piwnicy pojechali coś zjeść do centrum. Podczas obiadu policjantka nie mogła się na niczym skupić. Ciężko jej było ochłonać po lekturze akt sprawy. Nie wyczytała tam żadnych rewelacji, po prostu czyste, żywe relacje, ale natychmiast zaczęła tworzyć hipotezy śledcze i budować sekwencje zdarzeń. Nie słyszała sprośnych tekstów partnera i nie bardzo pamiętała, co jadła. Dopiero powrót do domu pozwolił jej poukładać co nieco w nafaszerowanej informacjami głowie. Czerski, korzystając z zaprzątniętej uwagi dziewczyny, odebrał prowizję za uprzejmość. Do pełnej świadomości przywróciło ją dopiero głośne stęknienie faceta i pocałunek w policzek, czym odbiegł znacząco od dotychczasowych standardów zachowania.

Leżeli oboje na łóżku, mając głowy po przeciwległych jego końcach. Chucky zadarła nogi wysoko na ścianę u wezglowia i nie zdawała sobie sprawy z tego, jak odrobina seksu rozjaśniła jej umysł.

- Przeczytałam tylko część tych akt, ale jedna rzecz dała mi do myślenia. Raport z sekcji zwłok, opinie biegłych i nawet wnioski policjantów prowadzących sprawę pozwalają na bardzo dokładne odwzorowanie ciosu, od jakiego zginął stary Chaus.

- I co, pani detektyw, obce ci jest takie pchnięcie? - Prokurator wykonał ruch biodrami, naśladując ruch frykcyjny i rechocząc przy tym obleśnie.

- Właśnie, że nie - w zamyśleniu odparła dziewczyna.

Prawnik uniósł głowę nad poduszkę, żeby sprawdzić, czy ona nie robi sobie z niego żartów. Gdyby tak było, to sam wpadł we własne wnyki, sprośnie dowcipkując.

- O, czyżby? - bąknął niepewnie, nieco uspokojony poważną miną dziewczyny.

- Widziałam już taki cios. W każdym razie tak go sobie wyobrażałam, czytając akta.

- Śniło ci się?

- Nie, dokładnie taki cios zadał młody Chaus, ratując mnie przed tym rzekomym gwałcicielem. Wtedy w nocy, pamiętasz?

Prokurator znów podniósł głowę.

- Pamiętam, ale co to znaczy według ciebie. Syn zadźgał ojca?

- On miał wtedy jedenaście lat.

- No, to kicha. - Wsparł się na łokciu i zaczął całować nogę dziewczyny.

Chucky poderwała się i wyskoczyła z łóżka podrażniona ignorancją prawnika. Miała nadzieję, że trafi na moment, w którym będzie mogła merytorycznie porozmawiać z prokuratorem, ale ten w jej obecności dostawał małpiego rozumu albo raczej króliczego popędu. Usiadła przy stole w kuchni i naląła sobie wina.

- Dziwię się, że prokuratura nie zwróciła uwagi na inne fakty w tej sprawie.

Czerski zasłonił sobie oczy małą peruczką przypominającą tupecik. Jej przeznaczenia można się było zaledwie domyślać.

- Bo Temida jest ślepa.

- Wiesz, że w tej sprawie przewijał się niejaki Bolo. Glina na usługach handlarzy narkotyków. - Umoczyła usta w słomkowym płynie. - Miał nawet dyscyplinarkę i był zawieszony z tego powodu. Wiesz, kto to? - Upiła jeszcze łyżeczek. - Bolesław Filistyński. Zastępca komendanta. I wiesz, co jeszcze...? Kilka dni temu pan Filistyński kazał mi utracić kandydaturę młodego Chausa. Zadziwiający zbieg okoliczności, nie uważasz?

Czerski wygramolił się z betów i na bosaka poszedł w ślad za swoją kobietą. Stanął za nią i objął dłońmi jej piersi.

- Ależ ty jesteś inteligentna i odcytana.

Wykonał zaledwie pół obrotu pieszczotliwego ruchu, gdy Kaśka strąciła jego ręce.

- Przestań, bo wylecisz, jak ostatnim razem. - Pod wpływem jej zabójczego wzroku facet usiadł na krześle naprzeciwko. - Podobno Żbik, czyli stary Chaus próbował odwieść Bola od gry na dwa fronty.

- To znaczy, że wiedział o jego głównianych interesach.

Czekaj, coś mi przyszło do głowy - przyłożył wierzch zwiniętej w pięść dłoni do ust. Chucky spojrzała na niego uważnie, pierwszy raz od początku rozmowy.

- Wiem, dlaczego nazywali go Żbik. Przecież chaus i żbik to pokrewne gatunki. Ktoś znał się na kotach.

Dziewczyna pokręciła głową zdegustowana.

- To nie ma znaczenia.

- Wszystko może mieć znaczenie, pani detektyw. - Prawnik dławił się śmiechem.

- Jak zawiesili Bola - Kaśka wróciła do zasadniczego wątku - jego partnerka trafiła do załogi z Chausem. Ona teraz jest jakąś fiszą w BSW i asem dochodzeniowym, ale wtedy, w śledztwie, nie wykazywała się zbytnim zaangażowaniem.

- Bo przejawiała inny rodzaj aktywności.

- To znaczy? - Chucky zerknęła na faceta nieufnie, spodziewała się kolejnego dowcipu z jego strony.

- Uwiodła prowadzącego śledztwo.

- Ależ ty jesteś głupi. Wynocha. - Dziewczyna przybrała pozę do ataku.

- Poczekaj. Mówię serio.

- Skąd taki pomysł?

- Skojarzyłem. Na początku mojej pracy była taka sprawa, cała prokuratura o tym gadała. Pamiętałem tylko ten fakt, a teraz ty dopowiedziałaś resztę - Czernski tłumaczył się szybko i chaotycznie, żeby tylko nie wylądować na klatce. - Dziewczyna była poszkodowana i występowała jako świadek. Skończyło się ślubem z policjantem prowadzącym śledztwo. Dzisiaj już nie ma takich kobiet. - Obrócił w palcach małą czarną peruczkę.

XXVII



Sandra, po wykonaniu pełnej serii ćwiczeń na brzuch, usiadła na miękkiej ławeczce atlasa i sięgnęła po ręcznik i butelkę napoju energetycznego. Wycierając spoconą twarz i kark, zerknęła z uznaniem na ćwiczącego obok Witka. Chłopak pakował tak, jakby od ilości i intensywności powtórzeń zależało jego życie. Przepocona czarna koszulka z napisem POLICJA lepiła mu się do ciała i była najlepszym wyznacznikiem wysiłku, jaki wkładał w trening.

- Nie odpuszczasz - zagadnęła dziewczyna.

- Potrzebuję tego. Muszę się wyżyć i odbudować zapas energii, który ostatnio wysłali ze mnie różni ludzie - tłumaczył się, sapiąc.

- Wiem, o czym mówisz, są takie wampiry energetyczne - przytaknęła Sandra.

- Jeżeli masz rację, to ja odbywam ostatnio Tour de Transylwania, ale tak naprawdę dołuje mnie bezradność, bezsilność.

Sportsmenka spojrzała na mięśnie chłopaka rysujące się pod ubraniem.

- Ciebie?

Chłopak wyłapał jej spojrzenie.

- To nie ma nic wspólnego z siłą fizyczną.

Przerwał, bo na salę weszła Bronka. Nie zwracając uwagi, że strasznie kontrastuje z tym miejscem, ubrana w szpilki i długi elegancki płaszcz, energicznym krokiem podeszła do Witka.

- Cześć ciotka, znowu zapomniałaś stroju?

- Mówiłam ci, żebyś mnie tak nie nazywał - słowa te zabrzmiały inaczej niż zwykle. - Nie zamierzam być ciotką kretyna! - podniosła głos.

Sandra, widząc wybuch jakiejś nawiedzonej baby, przemieściła się o kilka urzędzeń dalej. Witek, chcąc uczynić scenę jak najmniej kompromitującą dla siebie, odciągnął niespodziewanego gościa w najmniej uczęszczany kąt sali.

Rozmowa w towarzystwie wiszących worków treningowych zapewniała nie tylko trochę dyskrecji, ale też współgrała z atmosferą mającą towarzyszyć spotkaniu.

- Straszysz moje koleżanki - kiwnął głową, wskazując speszoną Sandrę. - Co się stało?

- Jeszcze się pytasz? - z trudem panowała nad sobą, żeby nie krzyknąć. - Z takim długim językiem powinieneś startować na etat męskiej dziwki, a nie do policji. Umawialiśmy się przecież, że zostawisz tamtą laskę w spokoju.

- Jaką laskę?

- Synek, nie udawaj. Ta od przyjęć do policji. Przecież umawialiśmy się, że ona ma kruszeć do czasu, aż ja sama to rozegram.

- Ale ja chciałem tylko wybadać.

- Co wybadać, co wybadać? Ty felczer jesteś? - Wbiła palec zakończony długim paznokciem w pierś chłopaka. - Tyle zdziałałeś, że ona teraz węszy przy sprawie twojego starego.

- To może dobrze.

- Gówno dobrze! - wrzasnęła. - To miało być pod moją, naszą - poprawiła się - kontrolą. Łącznie z tą nocną rozgrywką.

Zapomniałeś już? Czy ty w ogóle chcesz do tej policji?

Witek kilka razy grzmotnął pięścią w najbliższy worek. Siła Witka zrobiła wrażenie na ciotce policjantce, ale nie zamierzała odpuszczać chłopakowi.

- Jak tak dalej pójdzie, to taką koszulkę będziesz mógł sobie nosić podczas remontu mieszkania - warknęła, ponownie dźgając palcem żebra młodego. - Nic więcej nie rób, zostaw to mnie.

Rozrzuciła poły płaszcza, odwracając się w stronę wyjścia.

Chwilę później pozostał po niej tylko intrygujący zapach perfum. Sandra zatrzymała rozkołysany ciosami worek i wychylając się zza niego jak zza pnia drzewa, spytała:

- To jakaś rodzina?

- Nie - odparł Witek, w którego głowie dudniły jeszcze echa niedawnej rozmowy.

- Mówiłeś do niej: ciotka.

- To taka ksywa.

- Chyba wypadła z trasy rajdu wściekłych macic, co?

Chłopak spojrział na koleżankę z siłowni wzrokiem będącym odzwierciedleniem mieszaniny skrajnych odczuć kołaczących się w jego wnętrzu. Szale z emocjami wahały się jak przy targowych transakcjach. Znów ktoś próbuje wyeliminować go z gry, odciąć od działania. Dopiero co postanowił wziąć sprawy we własne ręce, a już ciotka próbuje manipulować nim i przesuwać jak pionka. Ona jest doświadczoną, mądrą kobietą i na pewno wie, co robi, ale jego męska duma domagała się należytej jej pozycji w poczynaniach, które w końcu dotyczą jego samego. Chciał mieć coś do powiedzenia, nawet gdyby miał popełnić błędy. Nie wierzył jednak, żeby przy jego szczerych i uczciwych intencjach jakakolwiek siła mogła zadziałać przeciwko niemu. Mógł więc spokojnie zdecydować się na własną aktywność, wybierając swoją drogę w odkrywaniu otaczających go tajemnic.

- Nie umówiłabyś mnie z Filiem? - spytał.

Sandra znieruchomiała. Chwilę coś kalkulowała w głowie.

Nie interesowała jej opłacalność takiego posunięcia, ale poziom ryzyka, jaki ze sobą niesie taki gest.

Przypatrzyła się uważnie twarzy Witka i nic nie mówiąc, poszła do szatni po telefon.

Tego klubu Witek jeszcze nie znał. Nic mu też nie mówiły twarze chłopaków stojących na bramce. Byli to jednak chłopcy z policji, bo po krótkiej wymianie zdań udało mu się zidentyfikować kilku wspólnych znajomych działających w tej profesji.

Młody Chaus wszedł do środka i od razu przyszło mu na myśl pytanie, dlaczego jego spotkanie z Filiem musiało odbyć się właśnie w takim miejscu. Nie w kawiarni albo w parku, ale w klubie go-go. Prawdopodobnie ciągle jeszcze styl życia tego bumelanta obraca się wyłącznie wokół takich miejsc, a grafik dzienny składa się z dwóch pozycji, nocnej zabawy i dziennego odpoczynku. Witek nie narzekał, zależało mu na rozmowie z tym łebkiem, więc dostosował się do jego warunków. Poza tym i tak na razie miał wolne w klubie, bo po ostatniej awanturze z menadżerem sytuacja jeszcze nie wróciła do normy.

Rozejrzał się po wnętrzu i otaksował bywalców lokalu. Towarzystwo

wydało mu się młodsze i mniej eleganckie od tego, z którym miał do czynienia u siebie. Zapewne to kwestia lokalizacji i granej muzyki decydowała o klienteli. A może było odwrotnie? Tego dylematu nie był w stanie rozwikłać. Tutaj dominowały klimaty młodzieżowe, a klub zaadaptował budynek w takiej okolicy, że nawet w środku dnia trzeba by tutaj mieć oczy dookoła głowy. Przeszedł wzdłuż baru w stronę antresoli.

Zatrzymał się na ażurowych schodach i spojrzał na trzech muzyków, którzy, zapewne na zmianę z didżejem, oferowali trochę muzyki na żywo. Skład mu się podobał, a to, co grali, jeszcze bardziej. Elektroswing, to było coś, czego w ostatnim czasie słuchał najchętniej. Próbował nawet sobie coś takiego podgrywać, ale solo, bez sekcji rytmicznej brzmiało to trochę zbyt płasko.

Zobaczył Filia przy jednym ze stolików na piętrze. Siedział w towarzystwie jakiegoś kafara i przyglądał mu się od momentu wkroczenia na schody. Witek postanowił nie tracić czasu na wzajemne macanki. Zrobił kilka zdecydowanych kroków w stronę stolika Filia i usiadł bez zaproszenia. Towarzysz synalka chciał interweniować, ale ten szybko go uspokoił.

- Idź zamówić coś do picia. - Wetknął mu w dłoń stowę.

Prośba zabrzmiała trochę na wyrost, bo stół zastawiony był kolorowymi, wymyślnymi drinkami. Miała jednak służyć temu, by przez chwilę Filio mógł zostać sam ze swoim gościem.

- Zmieniłeś przystań - odezwał się wreszcie Witek.

- Nie będę więcej chodził do tej obory - warknął nygus.

- Obory?

- Gdzie na bramce stoją zazdrosne bydlaki - wyjaśnił z goryczą w głosie.

- Bardziej poetycko nie można tego ująć - łagodnie skomentował młody Chaus.

- Nie wysilaj się, i tak cię nie lubię. - Miglanc ciskał się jak dzieciak wyśmiany przez kolegów z podwórka. - Sanderka prosiła, więc mogę ci poświęcić kilka minut. Czego chcesz?

- Prowadzisz wygodne życie, nie obawiasz się, że pewnego dnia może to się skończyć?

- Właśnie dlatego niczego sobie nie żałuję.

- A jak zabraknie taty, to co z tobą będzie?

Filio zerwał się na równe nogi. Dłonie twardo oparł na blacie.

- Weź ty się ode mnie odpierdol. Mój życiorys piszesz czy co?

Witek podniósł lekko głowę, żeby móc spojrzeć w twarz narwańca.

- Siadaj - powiedział spokojnie. - Jak będziesz fikał, to dostaniesz kolejną zetkę i na disco będziesz jeździł do Radomia.

- Nie będziesz mi mówił, co mam robić. Umiem sam o siebie zadbać.

- To teraz masz okazję. Wiesz, że tamta sprawa zabójstwa policjanta ciągle jeszcze jest otwarta.

- To było kilkanaście lat temu, byłem wtedy szczyłem. A ty kim w ogóle jesteś?

- Synem. Synem tamtego policjanta.

W spojrzeniu Filia pojawiło się zdumienie, jego ręce wykonały jakiś niepotrzebny, bezsensowny ruch nad stołem. Szybko jednak uporał się z niechcianym wrażeniem i z obojętnością malującą się na twarzy powiedział:

- I co, kurwa, chcesz mnie wziąć na litość?

- Nie, chcę ci powiedzieć, że wstępuję do policji i nie spocznę, dopóki nie wyjaśnię tej sprawy. Nikt nie będzie bezpieczny, nawet jeśli ma mocnych opiekunów.

- Możesz sobie darować, bo ja nie mam z tą sprawą nic wspólnego. - Po raz pierwszy od początku rozmowy spojrział Witkowi w oczy.

- Wiem co innego.

- Co?

- Że jednak coś masz.

- Inni mają więcej, zdecydowanie więcej.

- Kto?

- Koniec, nic więcej nie powiem. - Splótł ręce na klatce piersiowej, w mowie ciała blokując do siebie dostęp.

- Byłeś wtedy w tej piwnicy. Jeśli nie ty to zrobiłeś, musisz coś wiedzieć. - Witek nieustępliwie próbował zmusić faceta do mówienia.

Filio nabrał powietrza w płuca i powoli je wypuścił, później zanucił do ucha rozmówcy:

- Późno już, zgasły wszystkie światła.

Witek podniósł się od stolika. Odebrał jedną ze szklanek z rąk stojącego

nad nimi od kilku chwil kafara i wychylił dwa duże łyki koktajlu. Zamaszyście odstawił szkło, rozchlapując sporą część płynu. Zbiegł po schodach i znów zatrzymał się przy zespole grającym na żywo. Bez pytania zdjął ze statywu nieużywany w tej chwili saksofon, przetarł ustnik i dmuchnął kilka nut. Zagrał to, co pierwsze przyszło mu do głowy: „Runaway”, motyw z filmu „Crime story”. Tam też ginęli policjanci.

XXVIII



Zapach pieczonego jabłeczniaka rozchodził się po całym mieszkaniu. Stasiak co chwilę podchodził do piekarnika i zaglądał przez szybkę zaciekawiony, jak ciasto reaguje na temperaturę. Wyroby cukiernicze dopiero od niedawna pojawiły się w obrębie jego kulinarnych zainteresowań. Uważał pieczenie słodkości za niemęskie zajęcie, ale doszedł do wniosku, że z chwilą odejścia z policji nie musi dalej kreować się na twardziela. Poza tym zmiana, jaka w nim zaszła po przejściu na emeryturę, podobała się Bronce. To, że stał się domatorem dbającym o klimat panujący w rodzinie, najwyraźniej i ją uspokajało, odprężało i tonizowało. Oboje zaczęli pomału wyhamowywać z zawrotnego tempa życia, dochodząc do wniosku, że nie muszą już niczego nikomu udowadniać. Odkryli nową jakość życia i można powiedzieć, że spodobało im się to wyciszenie.

W takiej atmosferze łatwo było wyczuć wszelkie zmiany nastroju. Ostatnio jakiś złośliwy chochlik pojawił się w ich otoczeniu, burząc tworzoną przez nich sielankę.

Brona z podkurczonymi nogami siedziała na kanapie obłożona jakimiś papierzyskami. Wychyliła się w kierunku niskiego stolika, żeby zgasić papierosa w pełnej niedopałków popielniczce. Przyniosła pracę do domu, ale chociaż miała ambitne plany nadrobienia zaległości służbowych, nie mogła skupić się na tym, co czytała. Często, wbrew przepisom, wynosiła pojedyncze akta do domu, żeby w spokoju popracować nad sprawą.

Tym razem sprawa, nad którą pracowała, nie posunęła się do przodu nawet o krok. Pani podinspektor czytała każde zdanie po kilka razy, a jej myśli i tak krążyły bardzo daleko od czytanych treści. Wreszcie, poirytowana odrzuciła teczkę z materiałami w drugi kąt kanapy i rozprostowała nogi.

- Nie mogę się skupić, tak mnie ta cała sprawa wy prowadziła z równowagi
- mknęła rozdrażniona, sięgając do paczki z elemami. - Nalej mi drinka,

Stasiu.

Mąż podniósł się z klęczek i przerywając modlitwę nad ciastem, sięgnął po butelkę wermutu.

- Zachciało ci się bawić w Matkę Teresę, a tymczasem wszystkich uszczęśliwić się nie da.

- Lubię mieć wszystko pod kontrolą, a poza tym uszczęśliwiam tylko tych, którzy napędzają moje koło fortuny - wypuściła z ust kłęb dymu ze świeżo przypalonego papierosa.

- Coś ostatnio to koło scentrowane. - Podał żonie szklanekę z grubego szkła i wrócił do piekarnika. Zmienił ustawienia na panelu sterowania i uchylił drzwiczki pieca. - W sprawie Chausa należało zachować status quo - zawołał z kuchni.

- Do tego zmierzałam. - Upiła spory łyk koktajlu. - Skąd mogłam wiedzieć, że młody będzie się kręcił jak gównu w przeręblu, ściągając uwagę połowy garnizonu. Dojdzie do tego, że jego nie przyjmą, a mnie wywalą.

Ostatnie słowa Brony zagłuszył, koszmarny dla każdego kucharza, brzęk formy kuchennej uderzającej o podłogę. Towarzyszyła temu seria siarczystych przekleństw Stacha pomstującego na swoją pokraczność i niesprawiedliwość losu. Brona zerwała się z kanapy i w trzech susach doskoczyła do miejsca katastrofy. W swojej karierze nigdy tak szybko nie znalazła się na miejscu zdarzenia. Uklęknęła przy groteskowo spękany cięcie i zaczęła podjadać rozsypane kawałki kruszonki. Chciało jej się śmiać, bo rozbite ciasto stanowiło idealną metaforę będącą kwintesencją treści ich rozmowy. Mimowolny skurcz mięśni twarzy był nie tylko efektem rozbawienia, ale reakcją na bezsilność w konfrontacji z przekornym losem. Próbowała zdusić w sobie tę beznadziejną wesołość, żeby nie robić przykrości mężowi, ale przegrała te zmagania, wybuchając spazmatycznym śmiechem.

Stasiek spojrział z wyrzutem na próbującą opanować śmiech kobietę. Pomimo pozy lamentującego kucharza, intuicyjnie wyczuł jej nastrój.

- Nie ma się z czego śmiać. Może być gorzej. Martwię się o ciebie i o siebie zresztą też. - Bronka szybko spoważniała i zaciągnęła się papierosem, z którego został już tylko ustnik.

Jakby w jednej sekundzie postanowiła wyzbyć się słabości i działać.

- Może, cholera, pogadać z Filistyńskim - zaproponowała, dobrze wiedząc, że Stasiak zrozumie jej intencje.

Emerytowany policjant próbował nieporadnie zatuszować skutki wypadku, dopasowując do siebie odłamane kawałki ciasta. Przypominało to trochę głaskanie samochodowego zderzaka po obcierce parkingowej. Kierowcy mają nadzieję, że potarcie palcem uczyni rysę niewidzialną.

- On cię nie cierpi. Nie wiadomo, co z tego może wyniknąć.

- Nie mam więc nic do stracenia - odparła naładowana nową energią niewiadomego pochodzenia. - Musi ze mną szczerze pogadać ze względu na wspólną przeszłość.

- Żeby tylko nie zamieniła się we wspólną przyszłość.

- Stasiak oblizał palce po zakończonej operacji dawania plackowi drugiego życia.

Brona dźwignęła się z klęczek znad reanimowanego ciasta.

Miała postanowienie, które jak gwiazda przewodnia kazało brnąć w kierunku jego założeń. Do rana miała ułożony cały plan wizyty u dawnego partnera.

Filistyński przyjął Bronę w swoim gabinecie. Zachowywał się poprawnie i nie próbował od samego początku iść kursem kolizyjnym. Trochę popisował się w sposób charakterystyczny dla ludzi, których przerosła ich funkcja. Doświadczonej policjantce zupełnie to nie przeszkadzało, ponieważ stykała się z tym na co dzień. W jej ocenie przynajmniej połowę ludzi na stanowiskach kierowniczych w policji przerastała ich funkcja.

Pomijając jednak dziecinadę w zachowaniu, zastępca komendanta robił wrażenie, jakby spodziewał się tej wizyty. Być może dało mu do myślenia ostatnie spotkanie w podziemiach pałacu, przed drzwiami archiwum. Choć facet miał wyraźne niedostatki w zasobie wiedzy i słownictwa, to jednak utrzymywał na wysokim poziomie inteligencję emocjonalną i związaną z tym intuicję w relacjach z ludźmi. Był przekonany, że Brona będzie drążyła temat starego Chausa, bo od lat ta sprawa ich łączyła.

Paradoksalnie im bardziej ich łączyła, tym bardziej różniła. Jednak tego wątku komendant stanowczo unikał, nie chcąc budzić niedźwiedzia. Bał się, że jednym słowem czy posunięciem może coś spieprzyć, więc zgodnie z

ustaleniami polegał w tej sprawie na panu Baronowskim. On zapewniał jej status nienaruszalności i do tej pory to się sprawdzało. Kariera komendanta toczyła się nadszpiewanie dobrze, a on sam uznawał taki stan rzeczy za wygodny i bezpieczny.

Brona wyjęła laptopa i zaprezentowała Filistyńskiemu filmik nagrany kamerą przemysłową. Sprawa, z którą przychodziła pani podinspektor, nie pokrywała się z przewidywaniami komendanta, ale zaskoczyła go na tyle, że przez moment zapomniał o odgrywaniu roli wielkiego bossa i przypominał chłopca, któremu ktoś pokazał zdjęcie gołej baby. Szarpnął się i w przyпіływie emocji, telefonicznie, w trybie pilnym, polecił wezwać podkomisarz Katarzynę Miller. Bronie na rękę była taka reakcja komendanta, bo w afekcie nie był w stanie wychwycić tych niuansów sprawy, o których nie powinien wiedzieć. Mogła też nieco zawoalować prawdziwy powód swojej wizyty, skrojonej na miarę intrygi. Bronie chodziło głównie o zmiękczenie młodej podkomisarz, żeby łatwiej można było wywierać na nią presję. W założeniach młoda policjantka miała przywrócić do kandydowania na policjanta młodego Witka i zaniechać węszenia w sprawie sprzed lat, dotyczącej jego ojca.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i stanęła w nich zgrabna sekretarka.

- Podkomisarz Katarzyna Miller, panie komendancie.

- Niech wejdzie.

Filistyński poprawił się na fotelu w taki sposób, żeby jego pozycja świadczyła o przewadze nad interlokutorem, wprawiając go w poczucie niższości. W swojej bufonadzie całkiem odwracając sens kiedyś odczytanej instrukcji z czasów carskich, którą policjanci, dla jaj, wieszali sobie na drzwiach szaf pancernych, a która brzmiała mniej więcej tak: „Podwładny powinien przed obliczem przełożonego mieć wygląd lichy i durnowaty, aby swoim pojmowaniem spraw nie peszyć przełożonego”.

Chucky najwyraźniej nie zastosowała się do wytycznych z instrukcji, bo weszła do gabinetu zdecydowanym krokiem i wdzięcznie próbowała przyjąć postawę zasadniczą.

- Melduję się, panie komendancie - pół żartem, pół serio wypowiedziała służbową formułkę, nie chcąc dawać temu bucowi pretekstu do osobistych wycieczek. Obecność Brony trochę ją speszyła, bo nie spodziewała się zastać

kogokolwiek w gabinecie szefa. Przynajmniej dotychczas tak przebiegały jej wizyty w tym miejscu.

- Pani podkomisarz. Darzę panią zaufaniem, ale pani nie chce, żeby ją darzyć. Po raz kolejny mnie pani zawodzi. - Splótł dłonie na brzuchu, jak przystało na bossa.

Chucky zrobiła zaskoczoną minę. Być może wyglądało to nazbyt teatralnie, ale chciała ukryć tym grymasem zainteresowanie, jakie wzbudziła w niej obecna przy rozmowie kobieta.

Nie spuszczała więc wzroku z pani podinspektor, która wpatrywała się w ekran notebooka, czekając aż wybrzmia słowa pretensji komendanta. Teraz i on spojrzał na Bronę, licząc, że ona przejmie pałeczkę w łajaniu młodej policjantki. Ta, pod naporem spojrzeń, odezwała się, chociaż w duchu liczyła na dłuższy wstęp dysponenta tego gabinetu.

- Pani podkomisarz, została pani rozpoznana jako uczestniczka pewnej nocnej awantury. Dlaczego nie zgłosiła pani tego przełożonym?

- Jakiej awantury?

- Tej, podczas której prawdopodobnie doszło do poważnego przestępstwa. Czy miała pani powody, żeby to zataić? - napierała podinspektor z BSW.

- Właśnie, dlaczego ja nic nie wiem o tej rozróbie? - wtrącił Filistyński, czując krew i zapach dyscyplinarki.

- Nie było żadnej rozróby - niemal weszła mu w słowo Chucky, podrażniona bezpodstawnym atakiem.

Brona odwróciła komputer ekranem w stronę Kaśki.

- Monitoring wskazuje co innego.

- Właśnie, monitoring co innego wskazuje - wtrącił podniecony sprawą komendant.

Chucky głośno odetchnęła. Wyczuła, że może z tej rozgrywki wyjść bez szwanku, i to ją trochę rozluźniło.

- Monitoring, rzeczywiście, wskazuje co innego. Wiem, bo sprawdzałam u dyżurnego.

- Jak to? - Filistyński nie był już cappo di tutti cappi, lecz zwykłym trepem, w dodatku posługującym się słowami, których znaczenia nie rozumie. - Pani aprobejuje dyżurnych swoimi sprawami?

Brona uśmiechnęła się pod nosem z lapsusu kolegi komendanta i, ratując go przed dalszą kompromitacją, uciszyła gestem. Sama zaś spytała:

- Dlaczego podaje pani w wątpliwość to nagranie?

Zabiegi chroniące pana zastępcę przed nim samym nic nie dały.

- Właśnie, dlaczego to pani kwestuje? - wskazał na ekran, na którym osiadły kropelki jego śliny.

- Kwestionuję, ponieważ to nie są zdjęcia z monitoringu miejskiego - pewnym głosem odparła Chucky.

- Od samego początku wyglądało to na głupi żart - spojrzała wymownie na Bronę. - Co miałam zgłaszać, że jakiś wielbiciel chciał mi zaimponować?

- Spotyka się pani z kandydatami poza godzinami służbowymi? - Brona zmieniła temat, wiedząc, że rekruterka zrozumie, co ma na myśli.

- To nie zależy ode mnie.

- Tak nie wolno, to wbrew etyczności zawodowej. - Filistyński nie kontrolował już meritum, w jego mniemaniu nadarzyła się okazja do dokonania linczu na niesubordynowanej podwładnej.

- A gdyby, teoretycznie, wszyscy obywatele tego kraju złożyli podania o przyjęcie do służby w policji, to co, miałabym po pracy wyjeżdżać za granicę? - zachnęła się młoda policjantka.

Twarz Filistyńskiego zmieniła kolor i formę. Nagle straciła wszystkie zmarszczki i bruzdy, pęczniąc i nabiegając krwią jak organ, którego mianem większość podwładnych nazywała tego pana.

- Zdaje się, że znudziła się pani ciepła miejscówka w dziale rekrutacyjnym. Może Oddział Prewencji nauczy panią pokory - zagroził w sposób tak banalny i przewidywalny, że wzbudził tym kolejną falę złości u Chucky.

- Służyć można wszędzie - powiedziała cierpko. - Pan też jeździł w patrolu. W dodatku z obecną tu panią podinspektor i, jak widać, wyszło to państwu na dobre. Póki co - dodała z satysfakcją.

Zastępca komendanta zerwał się z fotela, wyprostował rękę, wskazując drzwi, chociaż bardziej przypominało to w tej sytuacji hitlerowskie pozdrowienie.

- Na co pani sobie pozwala?! - wrzasnął. - Proszę stąd wyjść, proszę natychmiast wyjść!

Brona przestała reagować na przejawy ambiwalencji komendanta, sięgnęła tylko po papierosa i w milczeniu obserwowała scysję. Chucky z ulgą odwróciła się na pięcie i zamknęła za sobą drzwi. W tym momencie nie zależało jej na karierze zawodowej. Ten facet obrzydził jej całą policję i wszystko z nią związane. Jak przyjdzie czas egzekucji jego wyroku, to najwyżej podziękuje za współpracę. Świat nie kończy się na tej firmie.

Za drzwiami policjantka skrzyżowała wzrok z przestraszoną sekretarką, do której musiały dotrzeć strzępy burzliwej rozmowy w gabinecie szefa.

- Już sobie idziesz? - spytała, licząc nie widomo na co.

- A co, ładnie pachniałam? - Kaśka mrugnęła do dziewczyny.

XXIX



Chucky nie miała wątpliwości, że Filistyński nie daruje jej tego, co wydarzyło się w jego gabinecie, w dodatku w obecności babki z BSW KGP. Zdążyła już na tyle poznać tego bufona, że nie spodziewała się skorzystania z prawa łaski. Wręcz przeciwnie, uważała, że służbowa zsyłka do peryferyjnej jednostki może stanowić najłżejszy wymiar kary. Facet lubił się mścić, więc nękanie jej postępowaniami dyscyplinarnymi również było wpisane w jej najbliższą zawodową przyszłość. Postanowiła poddać się karzącej ręce zastępcy komendanta z dwóch powodów. Po pierwsze, musiała się zastanowić, co dalej w życiu mogłaby robić i do wyników tych przemyśleń dostosować dalsze decyzje, po drugie, dzięki takiemu manewrowi dawała sobie czas na jeszcze bliższe przyjrzenie się sprawie, która na wszystkich działała jak płachta na byka. Widząc te nerwowe reakcje na hasło Chaus, aż korciło ją, żeby przeniknąć przez sparciałą już po części, ale ciągle jeszcze szczelną skorupę chroniącą pewne odległe fakty i dotrzeć do jądra tajemnicy. Czym więcej wiedziała na temat tamtej historii, tym silniejsze miała odczucie, że atmosfera wokół niej gęstnieje. Z początku myślała, że chodzi o zwykłe utracenie kandydata, bo jego związki rodzinne czy też przeszłość, niezapisana w żadnych sądowych rejestrach, obiektywnie wykluczają jego ubieganie się o wstąpienie do policji.

Następnie sytuacja zaczęła przybierać dość nieoczekiwany obrót. Zaangażowanie się w sprawę najwyższych przedstawicieli struktur policyjnych było niespotykane, a tym samym zastanawiające. Preparowanie przestępczego zdarzenia polegającego na napadzie na nią przypominało grę obcych wywiadów na najwyższym poziomie. Wymagało pewnych nadzwyczajnych nakładów w postaci dyspozycyjnych aktorów, obserwacji na odpowiednim poziomie i innych zabiegów. Ale, jeżeli miało to służyć przekonaniu rekruterki do kandydata Witka Chausa, wcielającego się w rolę

szlachetnego rycerza, to jak uzasadnić fakt pojawienia się pani z BSW z lewym materiałem pod pachą.

W dodatku, u Filistyńskiego, który był zagorzałym przeciwnikiem przyjęcia chłopaka. Tutaj musiało chodzić o coś więcej.

Dla Chucky oczywistym było, że sekret tkwi w przeszłości, ale dlaczego od czternastu lat nikt nie pokusił się o wyjaśnienie tej sprawy. Przez ten szmat czasu wokół zabójstwa policjanta panowała cisza przypominająca paskudną znowę milczenia. Być może sprawa ożyła i, jak wskazują reakcje niektórych osób, wymknęła się spod kontroli w związku z chęcią wstąpienia do policji młodego Chausa. Pamiętała jego motywację przedstawioną podczas którejś z rozmów na ulicy. Chłopak wiązał swoje plany wstąpienia do policji z niewykrytą zbrodnią dokonaną na jego ojcu. Może to jest klucz do rozwiązania zagadki. Chucky potrzebowała więc czasu.

Otworzyła szafę ubraniową i z niechęcią popatrzyła na od dawna nieużywany czarny mundur ćwiczebny. Teraz może on się stać jej codziennością, łącznie z kaskiem, przyłbicą, nakolannikami i tarczą. W kącie szafy stała jeszcze zapomniana chwilowo „blondyna”. Powinna tę długą, gumową białą pałę zdać dawno temu do magazynu. Nie zrobiła tego, bo liczyła, że może wykorzysta ją kiedyś jako rekwizyt w zabawach z prokuratorem. Teraz, w nowej rzeczywistości służbowej, blondi będzie jak znalazł do wykonywania służbowych zadań. Ubrała jedną z czapek daszkiem do tyłu, a części munduru rozrzuciła wokół szafy, wprawiając w konsternację Kamilę, z przerażeniem obserwującą niecodzienne zachowanie partnerki. Koleżanka z pokoju bała się zapytać o przyczynę tak nagłego zainteresowania Chucky swoją służbową garderobą, jednak jej nastrój wskazywał, że stało się coś niespodziewanego. Podobnych problemów z asertywnością nie miała Mira, która właśnie weszła do pokoju dziewczyn. Zatrzymała się w progu i od razu przystąpiła do wyjaśniania zaskakującej, również dla niej, sytuacji.

- Nie masz co robić? - spytała zaczepnie. - Przeglądu sortów mundurowych ci się zachciało w środku dnia?

- Już nie musisz być zazdrosna o moje kontakty z komendantem. Filistyński odstawił mnie na boczny tor. - Kaśka stała na środku pokoju ze spuszczoneymi rękami, w których trzymała fragmenty służbowego przyodziewku.

- Co?

„Chujów sto” - cisnęło się na usta Chucky, ale zamiast tego odpowiedziała ze smutkiem:

- Spodziewaj się decyzji o moim przeniesieniu.

Mira wzięła się pod boki. Ten gest oznaczał, że właśnie zamierza wyjaśnić sprawę na swój sposób.

- Nie wiem, o co tutaj chodzi, ale po moim trupie.

- No, to już zacznij rozstawać się z życiem. Komendant nie żartował.

- Ten dupek tutaj nie pracuje, więc nie będzie mi bruździł - zdradzała bojowe nastawienie szefowa. - Chodź ze mną - rozkazała podwładnej.

Kilka minut później kobiety siedziały zamknięte w gabinecie szefowej działu rekrutacji. Mira właśnie odłożyła słuchawkę, próbując na gorąco ustalić stan rzeczy. Rozmawiała z Broną, bo Kaśka pokrótce zrelacjonowała jej przebieg wizyty u komendanta i ten kierunek interwencji wydał się najodpowiedniejszy. Krótka wymiana zdań z koleżanką z BSW pozwoliła Mirze zrozumieć, że Brona przestała w tej sprawie być sobą.

- To dziwne, ona zawsze pomaga policjantom. Znana jest z tego w swojej jednostce i często bywa karcona, że staje po ich stronie. Teraz rozmawiała ze mną tak, jakbyś była jej największym wrogiem.

- Dziwisz się? Prawdopodobnie uznała, że reprezentujemy sprzeczne interesy.

- Cały czas chodzi o tego Chausa? - Mira zmieniła ton na bardziej partnerski, przyjacielski. To zachęciło Chucky do śmielszego wejścia w rozmowę.

- Powiedz, Mira, kojarzysz sprawę Żbika, ojca Witka

Chausa? Wszyscy pamiętają z tej sprawy tylko to, że poderwała prowadzącego śledztwo.

- Są razem do dzisiaj. On to chyba do dzisiaj świata poza nią nie widzi. - Pani nadkomisarz oczy zaszyły mgłą, wyrażając tęsknotę na romantyczną miłością.

- Wiesz coś więcej? - Kaśka próbowała ściągnąć szefową na ziemię, bo w tej sentymentalnej pozie prezentowała się okropnie.

- Pamiętam, że Bronka po tym wszystkim też była w szpitalu. Chodziło nie

tylko o fizyczną kontuzję, ile o stan stresu pourazowego. Stasiek pojechał ją przesłuchać i... - Mira znów poddała się nastrojowi swojej własnej opowieści. - To była miłość od pierwszego wejrzenia.

- A coś, co bezpośrednio dotyczy samego zdarzenia.

Fakty, dowody, świadkowie. - Kaśka była bezwzględna dla lirycznej aury roztaczanej przez starszą z policjantek.

- Nie pamiętam - ocknęła się tamta. - Zdaje się, że mieli podejrzanego, ale musieli go zwolnić z braku dowodów.

Drzwi do pokoju otworzyły się pomału, jakby stał za nimi ktoś niezdecydowany. Po chwili, niewiele wyżej niż jest umieszczona klamka, wysunęła się zza nich głowa młodego łebka.

- Przepraszam, czy tutaj jest poczekalnia?

- Skąd pan się urwał? - spytała Mira, niezadowolona, że ktoś zburzył jej nastrój rozmowy.

- Skończyłem badanie psychologiczne i pani powiedziała, żebym poczekał w poczekalni na końcu korytarza.

- Dobrze, że nie trafił pan na Dworzec Centralny, tam też jest poczekalnia.

Szeszony kandydat wycofał się, zamykając za sobą drzwi.

Kierowniczką przymknęła oczy, nie wiadomo czy próbując pozbierać się po tak nietypowym najściu, czy też w poszukiwaniu wątku rozmowy. Chucky postanowiła jej pomóc odnaleźć właściwy tor kolejnym pytaniem.

- Co dzisiaj może mieć z tym wspólnego Filistyński? Jego dyscyplinarki z tamtych czasów już trzy razy się przedawniły.

W zasadzie jest czysty, a tak strasznie się wziął na tego młodego Chausa.

- Nie mam pojęcia. Był, co prawda, w jakiś sposób zamieszany w tamtą sprawę, ale wtedy to on był zwykłym sierściuchem.

- Jednak ktoś go dobrze pociągnął za futro. Jak mi się uda, to sprawdzę w aktach, od kiedy zaczęła się jego kariera.

- Chucky zanotowała w myślach zadanie na najbliższą przyszłość.

- Nie musisz. Jak ja miałam promocję oficerską, to on zaczynał szkołę. O matko, to już czternaście lat minęło, a mnie się wydaje, jakby to było wczoraj.

- Mira nie mogła się wyzbyć nostalgicznego nastroju.

- Fajna nagroda za jego wyczyny. Zawieszenie, dyscyplinarka.

- Ktoś miał interes w tym, żeby go wysłać daleko od bazy.

Bali się, że chlapnie coś głupiego, wiesz, jaki on jest. A tak, mieli go na trzy lata z głowy.

- Dobrze, taktyczne posunięcie.

- Tak sobie teraz myślę, że tym musiał kierować ktoś spoza firmy. Wydaje mi się, że Stasiek jako naczelnik był za krótki, Bronka - młoda i niedoświadczona, a reszta to głupki niezdolne do tworzenia tak dalekosiężnych strategii.

- A może... - Chucky zawiesiła głos, bo drzwi znów lekko się uchyliły. Tym razem ukazała się w nich postać podstarzałego faceta w mundurze sierżanta. Dziewczyna natychmiast skojarzyła fizjonomię Miecia, bo tak unижonej postawy nie widziała u żadnego policjanta, chociaż dupowłazów w tej firmie nie brakowało. Zapamiętała tego typka z sali gimnastycznej, gdy napierał na trenera testującego kandydatów. Później spotkała go w sekretariacie Filistyńskiego, chociaż z tamtego kontaktu najbardziej rzuciły się jej w oczy jego spięte pośladki. Te szybkie skojarzenia sprawiły, że teraz poderwała się z krzesła i jednym susem znalazła się przy wyjściu, robiąc wolną przestrzeń dla gościa. Odruchowo ustąpiła miejsca sierżantowi dźwigającemu wypchaną reklamówkę, decydując się nie świadkować szefowej podczas tej wizyty. Chucky zamknęła za sobą drzwi gabinetu szefowej, ale ulegając kobiecej ciekawości, zatrzymała się tuż za progiem. Nie zdążyła nawet rozgrzeszyć swojego wścibstwa, gdy drzwi znów się otworzyły i Miecio rakiem wycofywał się z pola minowego, na które, jak się okazało, wkroczył.

- Jak pana jeszcze raz tutaj zobaczę, wezwę policję! - wrzeszczała Mira, stojąc za biurkiem z rękoma wspartymi na biodrach. - Za kogo pan mnie bierze? Co za bezczelny typ, chce ze mnie zrobić kur... szmatę - dosadne określenie ugrzęzło jej w gardle. Nawet w stanie wzburzenia Mira potrafiła trzymać fason. Albo wzburzenie nie było na tyle silne, żeby wyeksponować jej możliwości w sztuce knajackiej erudycji.

Sierżant, czerwony jak kapturek, zamknął drzwi, odgradzając się od reszty tyrady. Szpetnym uśmiechem próbował zatuszować zmieszanie przed Chucky, która z kostycznym rozbawieniem obserwowała całą scenę. Wysunął rękę z reklamówką w jej stronę.

- He, he, nieporozumienie. Można na słówko, pani komisarz?

- Słyszał pan, co kierowniczka mówiła? Radziłabym tego nie lekceważyć.

Wiatr wywołany zamaszystym otwarciem drzwi przypominał tajfun. W progu swojego gabinetu stanęła Mira.

- Jeszcze pan tutaj jest? Ma pan dwie minuty na opuszczenie tego korytarza. A ty - zwróciła się do Kaśki - pakuj mundury z powrotem do szafy i zajmij się tym, co do ciebie należy.

XXX



Most Łazienkowski w godzinach szczytu przypomina długi regularny parking. Częściej tam się stoi niż jedzie, stąd kierowcy lubiący tkwić w korkach w innej części stolicy omijają tę przeprawę, pozostawiając tę drogę konserwatystom. W ciągu doby sytuacja na trasie zmienia się kilkakrotnie. Od kompletnego zatkania, jak w źle użytkowanym DPF-ie, do pełnej drożności. Poza godzinami szczytu jeździło się tą trasą całkiem przyjemnie i bezkolizyjnie. Może właśnie z tego powodu wybrał tę arterię pędzący jak na złamanie karku kierowca błyszczącego na czarno bmw. Niejeden z właścicieli srebrnych oktawii, mijanych przez tego rajdowca, kłął go w duchu, przypisując najdotkliwsze przywary i defekty psychiczne. Ci, co nie jechali sami, nie tłumili w sobie ocen nasyconych barwnym słownictwem. Wiąchy rzucane były zgodnie z dewizą powielaną przez przeważającą większość królów szos: Ten, który nas wyprzedza, to kompletny debil, a ten, którego my wyprzedzamy, to skończona ciota. W tym przypadku żaden z siedzących za fajerą mścicieli nie zdążył dokończyć tych wielopoziomowych wyzwisk, bo zgiełk uliczny zagłuszyły sygnały dźwiękowe policyjnego radiowozu. Kierowcy, znudzeni monotonią przejazdu praca - dom, natychmiast wyostrozili zmysły, w nadziei na jakąś ciekawą atrakcję uliczną. W mgnieniu oka orientowali się, że są świadkami policyjnego pościgu. Jedni przytomnie ustawiali swoje auta tak, żeby ułatwić zadanie policjantom, ale ci o mniejszej wyobraźni w jednej sekundzie przyczyniali się do chaosu na drodze. Od strony praskiej do pościgu włączył się jeszcze jeden wóz policyjny, blokując uciekinierowi wszelkie możliwości manewru. Pół minuty później bmw zostało unieruchomione, a kierowca, w kajdankach, umieszczony na tylnej kanapie policyjnego radiowozu. W zasadzie ruchacze już w momencie podjęcia tej interwencji powinni żegnać się z pracą w policji, o czym dowiedzieli się z obietnic składanych im w niewyszukanych słowach przez zatrzymanego pirata

drogowego.

Za radiowozem błyskającym niebieskim światłem stanął jeszcze jeden samochód. Tym razem była to czarna limuzyna. Z fotela pasażera wygramolił się brzuchaty facet w wygniecionym na plecach garniturze. Policjant z patrolu wyszedł mu naprzeciw i zasalutował. Krótka rozmowa z przybyłym mężczyzną musiała w znaczący sposób wpłynąć na postawę mundurowego. Oddał facetowi tasowane w dłoniach, jak karty do pokera, dokumenty zatrzymanego, a po chwili rozkuł i wyprowadził z radiowozu sprawcę zamieszania. Brzuchacz i drogowy rozrabiaka zajęli miejsca na przednich fotelach bmw. Łączyło ich podobieństwo świadczące o rodzinnych więzach. Nic dziwnego, bo Filio zawsze w takich momentach wzywał swojego ojca. Baronowski spojrzał zmęczonym wzrokiem na syna.

- Powiedz, ile jeszcze razy mam robić z siebie głupa? Czy ty kiedyś zmądrzejesz? - Starszy z panów zaczął od reprimendy, która dla obserwatora z zewnątrz mogła wydawać się pieszczotliwym napomnieniem. Była bowiem nieadekwatnie słaba w stosunku do wyczynu.

- Zdenerwowałem się. A poza tym, po co robić z igły widły? - Młody bagatelizował sprawę.

- Zapierdalanie po mieście sto sześćdziesiąt i ucieczka przed policją to dla ciebie igła? - Sięgnął po otwartą paczkę sezamków leżących we wgłębieniu deski rozdzielczej.

- Bo oni znowu grzebią przy tamtej sprawie - poskarżył się jak dziecko Filio. - Mówiłeś, że wszystko załatwione, więc czego chcą? Przecież jestem niewinny.

- Taaa... - pokiwał głową minister. - Niewinny i głupi do tego. Nie mogłeś mi od razu powiedzieć, co się dzieje? Kto grzebie, co za oni? - Miał ochotę pacnąć syna w potylicę, ale zamiast tego, pogłaskał go po czuprynie.

- Syn tamtego gliny. Mocny jest i widać, że nie odpuści.

Może pogadać z nim szczerze.

- Szczerze, to ty mogłeś ze swoją nianią gadać, jak ci się kupę chciało, a teraz trzeba walczyć. Rozumiesz?

Do bmw podszedł sierżant z radiowozu, który prowadził pościg. Nachylił się przy oknie od strony pasażera. Baron opuścił szybę. Policjant wetknął do

wnętrza samochodu notatnik służbowy.

- Panie ministrze, proszę mi tutaj podpisać pod notatką i sprawa załatwiona.
- Mundurowy przełknął ślinę ze złości, że musi się płaszczyć przed takim palantem.

Baronowski spojrział na policjanta, jakby ten zwracał się do niego w jakimś obcym języku. Cmoknął, wysysając spomiędzy zębów zalegające ziarnko sezamu.

- Panie sierżancie, nie obowiązuje pana przypadkiem droga służbowa? Proszę ją zachować. - Położył palec na sterowniku szyby.

- To znaczy, ja mojemu kierownikowi, kierownik naczelnikowi, naczelnik komendantowi, komendant komendantowi głównemu, a on panu? - wyliczał niedorzeczną propozycję ministra zniesmaczony policjant.

- Właśnie tak jak pan mówi.

- To ja, za przeproszeniem, pierdolę taką robotę. - Nie wytrzymał sierżant i z trzaskiem zamknął notatnik i odwrócił się na pięcie.

- Jeszcze raz dziękuję za pomoc - sarkastycznie rzucił Baron i wrócił do rozmowy z synem.

- Ale skoro jestem niewinny, to może warto raz na zawsze zakończyć tę sprawę. - Filio kontynuował rozpoczęty przez siebie wątek. Rozmowa ojca z policjantem z drogówki w ogóle go nie obeszła, tak jakby w całej sprawie chodziło o przewinienie na poziomie złego parkowania. Tymczasem facet właśnie uniknął aresztu, sprawy sądowej i więzienia. Ojciec spojrział na niego z pobłażaniem. Objawy złości z początku spotkania zniknęły bez śladu.

- Zobacz, synek, żeby zniechęcić do działania takiego sierżanta, ile trzeba mu kłód pod nogi rzucić. Teraz pomyśl, jakie muszą być obiektywne przeszkody, żeby zatrzymać proces karny. - Wygrzebał z opakowania ostatniego sezamka. - To nie takie proste.

- Łatwo ci mówić, bo ciebie wszyscy słuchają - żalił się duży, nieogolony chłopczyk.

- Dlatego zostaw to mnie i nie rób więcej głupstw - znów pogładził syna po głowie.



Chucky zinterpretowała słowa Miry na swój sposób, zresztą jak większość służbowych poleceń, z których tylko nieliczne miały dla niej jakiś sens. Słyszając od szefowej, że ma robić swoje, uznała za oczywisty swój udział w wyjaśnieniu sprawy kandydata Chausa i tajemniczej śmierci jego ojca. Pomimo świadomości, że kibicuje jej w tej sprawie coraz więcej osób, czuła, że stąpa po cienkim lodzie. Nie zniechęcało jej to do działania, przeciwnie, dodawało paliwa drzemiącej w jej wnętrzu przekornej naturze.

Idąc piwnicznym korytarzem w kierunku policyjnego archiwum, zastanawiała się, jak rozegrać potyczkę o udostępnienie jej akt operacyjnych, żeby nie ponieść porażki, jakiej doznała rano w prokuraturze.

Umówiła się z Czerskim na dalsze czytanie akt sądowych, do których wcześniej, w zawilej procedurze, umożliwił jej dostęp. Tym razem kochaś wyszedł do młodej policjantki ze złą wiadomością:

- Niestety, kocie - silił się na naturalność. - Dzisiaj nie wejdziemy do archiwum. Szef udzielił mi reprimendy, że zajmuję się nie swoimi postępowaniami. Mam szlaban na tę sprawę.

Poza tym przeczytał mnie z powodu wszystkich zaległości.

Kaśka знаła go na tyle, żeby się domyśleć, że ta, jak on określił, reprimenda, to był zwyczajny opierdół. W związku z tym nie naciskała faceta i nie szantażowała fochem, bo wiedziała, że to przez nią znalazł się w niewygodnej sytuacji. Podzieliła się tylko swoim spostrzeżeniem, że sprawa przypomina gorący kartofel. Miała nadzieję, że trafność jej dedukcji zrekompensuje prokuratorowi gorycz połajanek szefa.

- Wiedziałam - mówiła podniecona - że coś w tej sprawie musi być. Przecież oczywistym jest, że twój pryncypał sam nie wpadł na trop ponadplanowego zainteresowania swojego pracownika zabójstwem Chausa.

- Masz rację - potwierdził. - Nacisk w tej sprawie jest tak widoczny, że pod

jego wpływem można wyleczyć uporczywe wągrzy na gębie.

Chucky skrzywiła się, słysząc obleśne porównanie. Domyśliła się, że facet nawiązywał do wyciskania syfów na skórze, ale nie zamierzała wnikać, skąd mu to przyszło do głowy. Jego ciało było zadbane i zdrowe, ale z kim się jeszcze zadawał?

Pożegnała się z Czerskim i zgodnie z jego wcześniejszą sugestią postanowiła pogrzebać w policyjnym archiwum. Właśnie otwierała ciężkie drzwi opatrzone tabliczką: Archiwum, składnica akt.

Za biurkiem uginającym się pod stosami papierzysk siedziała młoda dziewczyna. Chucky znała ją z korytarzy komendy. Miała delikatną urodę, charakterystyczną dla naturalnych blondynek i alabastrową skórę budzącą zazdrość wszystkich bab wydających majątek na drogie kremy niby poprawiające cerę. Taka laleczka na pewno nie zrozumiałaby metafory prokuratora.

- Wytrzymujesz jeszcze w tych kazamatach? - Rekruterka zaczęła od zbudowania przyjaznej atmosfery rozmowy. Ostatecznie, to był jeden z jej fachów. - Ten kurz i sztuczne światło chyba nie służą zdrowiu.

- Komendant Filistyński obiecał mi etat u siebie, ale to musi potrwać - szczerze wyznała porcelanowa twarzyczka.

- Filistyński, mówisz - z przekąsem powtórzyła Kaśka.

- To już lepiej zostań tutaj, bo przeniesienie nie wyjdzie ci na zdrowie.

- Pani Teresa mówi tak samo, ale ja chcę się rozwijać.

- Słuchaj pani Teresy, bo przy Filistyńskim rozwiniesz się nie w tym kierunku, jakiego byś sobie życzyła.

Dziewczyna spojrzała spłoszona na Chucky, jakby ta właśnie puściła z dymem cały jej plan na rozwój zawodowy.

- Ale przecież to taki sympatyczny pan.

- Na krótką metę. Zapewniam cię - podkomisarzowa ucięła dyskusję, chcąc jak najszybciej zrealizować potrzebę, z którą tu przyszła. - Znalazłabyś mi akta sprawy sprzed czternastu, może piętnastu lat? Dotyczą śmierci policjanta - powiedziała najbardziej obojętnie, jak tylko potrafiła. Bała się, że okazywane zbyt nie podeksycytowanie może wzbudzić w młodej archiwistce chęć nadmiernego trzymania się formalności, a ona była tu przecież mniej formalnie.

- Żbika? Odnajdę ją z zamkniętymi oczami - pochwaliła się dziewczynka, wzbudzając cichą nadzieję interesantki na łatwe załatwienie sprawy. - Duży ruch ostatnio przy tych aktach.

Tak duży, że komendant zakazał ich udostępniać - wyjaśniła, w naiwnym przekonaniu o dobrze pełnionym obowiązku.

Chucky pociemniało w oczach. Czasami tak reagowała na frustrującą ignorancję otoczenia. W zasadzie powinna się do tego przyzwyczaić, przebywając na co dzień z młodymi ludźmi starającymi się o przyjęcie do policji, ale w ich przypadku miała wpływ na rozwój sytuacji, a teraz była bezradna. Poczowała się jak róża, na którą ktoś właśnie pierdnął. Już miała zrzucić wszystkie płatki i bez niczego wyjść na korytarz, gdy w szarości tła pomiędzy regałami zamajaczyła jakaś postać. Rekruterka miała wrażenie, jakby doświadczyła déjà vu, ale szybko zdała sobie sprawę, że to zbieżność sytuacji, a nie psikus mózgu wywołał takie wrażenie. Kobieta, która wyłoniła się spomiędzy półek, niosąc pod pachą plik zakurzonych teczek, do złudzenia przypominała panią Lodzie z archiwum w prokuraturze. Tereska, bo tak nazywali tę legendę archiwistyki wszyscy pracownicy w komendzie, miała ostre rysy oddające jej twardego charakter i nieprzejednaną postawę w przestrzeganiu procedur. Chucky, widząc tę kobietę, całkowicie złożyła w myślach broń. Dopuściła do swojej jaźni wizję, że nic nie wskóra, choćby nie wiadomo jak budowała atmosferę spotkania. Już miała wyjść w poczuciu kolejnej klęski, gdy nagle wydało jej się, że pani Teresa mrugnęła do niej zza grubych szkieł swoich okularów. Może to przywidzenie, a może jakiś paproch wpadł jej do oka w tym zakurzonym pomieszczeniu? Kaśka zawiesiła rękę na klamce, ale wstrzymała się z jej naciśnięciem.

- Weź, Marietka, wypisz fiskę i zanieś te akta pani naczelnik kadr. - Podała dziewczynie o pięknym ciałku znalezione przed chwilą materiały. - Tylko dopilnuj, żeby pokwitowała.

Pomocnica wykonała polecenie i po chwili zniknęła za drzwiami.

- Marietka mówiła prawdę o tych aktach, ale ja mam gdzieś polecenia tego łachudry. - Tereska rzuciła te słowa w ciasną przestrzeń składnicy akt, krzywiąc się do własnych myśli. - Dobra dziewczyna jest, a ten zagiął na nią parol. Spaskudzi ją jak wszystkie inne.

Archiwistka uchyliła barierkę, pod którą kilka sekund temu schylała się Marietka i wprowadziła Chucky między regały.

Zdjęła z półki i podała jej tom akt, a następnie zrobiła miejsce przy stoliku niewidocznym od strony drzwi wejściowych. Policjantce znów przemknęło przez myśl wrażenie „już byłam, już widziałam”.

- Podoba mi się to, co mówiłaś tej biednej dziewczynie, masz tutaj kawałek biurka i szukaj, czego potrzebujesz. - Teresa podsunęła swojemu gościowi krzesło.

- Bez wypisywania fiszki?

- Bez.

Chucky skupiła się na lekturze akt operacyjnych. Notatki policyjne były pisane w różnym stylu. Jedne kwalifikowały się do wykorzystania w prześmiewczych memach i podobnych satyrycznych formach, podczas gdy inne rzeczowo opisywały ustalenia policyjnych wywiadowców. Na początku chaotycznie przewracała kartki, zaledwie przebiegając wzrokiem po notatkach policjantów. W miarę upływu czasu usystematyzowała pracę i zaczęła się dokładnie wczytywać w ich treść. Nie zauważyła momentu, w którym czasoprzestrzeń zagięła się nad jej głową i znalazła się w zupełnie innych realiach. Wyćwiczona wyobraźnia dziewczyny pracowała na najwyższych obrotach, tworząc z wyrwanych fragmentów rzeczywistości logiczne, spójne sekwencje zdarzeń. Może wyobrażała sobie odtwarzany świat zbyt współcześnie, bo w tamtym czasie była dzieckiem, ale nie przeszkadzało to w odwzorowaniu ludzkich reakcji, działań i zaniechań.

Suchy, duszący klimat i półmrok archiwalnego zaułka zastąpił zapach lizolu i jasne ściany szpitalnej sali. Błada twarz i siwe włosy ćpuna niewiele odcinały się od bieli poszewki. Głowa, poranionego podczas nocnej awantury narkomana, głęboko wniknęła w strukturę poduszki. Obok łóżka, na krześle, siedział policjant z małym notesikiem w ręku. Drugi z funkcjonariuszy stał przy oknie, opierając się tyłem o parapet. Nie był zbyt zainteresowany przesłuchaniem, ale dokładnie wszystko słyszał i podświadomie notował w pamięci. Siedzący przy rannym próbował nakłonić ćpuna do złożenia zeznań.

- Jak trafisz do pudła, to nie przeżyjesz głodu, a tak możemy się dogadać. - Narkoman z wysiłkiem odwrócił głowę od rozmówcy.

- Taki z ciebie chojrak? - dopytał śledczy w reakcji na ten gest.
- Pójdę na odwyk - powiedział chory, nie patrząc na policjanta.
- Uhm, all inclusive ci zapewnią na Rakowieckiej. - W słowach dało się wyczuć groźbę.

- Ja nic nie zrobiłem, nie wsadzicie mnie.

- Rozpowiem na mieście, że się prujesz, to cię uspią.

Chcesz iść na ubój za free?

Ćpun poprawił się na poduszce. Spojrzał podejrzliwie na policjanta, ale w jego wzroku nie dostrzegł blefu.

- Co pan właściwie chce wiedzieć?

- Mów, jak było w tej piwnicy.

Narkoman przymknął oczy.

Chucky nie wiedziała, kiedy i jakim sposobem znalazła się w mrocznej, pełnej wilgoci i nieprzyjemnych zapachów piwnicy. Od słabej żarówki, gdzieś w sąsiednim korytarzu, docierała mglista smuga mdłego światła. Widać w nim, niezbyt wyraźnie, postaci młodych mężczyzn. Jeden jest chudy i zaniedbany. Nieumyte, długie włosy opadają mu na czoło, ręce chowa w kieszeni kurtki, jakby próbował coś ukryć. Może tym czymś jest drżenie dłoni spowodowane głodem narkotykowym.

Drugi, modnie ubrany i starannie przystrzyżony. Całą swoją postawą i sposobem bycia emanuje pewnością siebie i nonszalancją. Wyjmuje z wewnętrznej kieszeni dzinsowej katany etui i pokazuje ćpunowi zawartość. Tamtemu oczy się zaświeciły do równiutko, jak znaczki w klaserze, ułożonych saszetek z prochami. Żaden diler nigdy tak nie prezentował swojej oferty, więc ten łebek musiał naprawdę czuć się bezkarny i pewny swojej pozycji. Nagle elegant zamyka wygłodniałemu narkomanowi etui przed nosem i pociera palec wskazujący o kciuk, co ma oznaczać gest płacenia. Chudy człowieczek składa rozedrgane ręce jak do modlitwy. Jeszcze chwila i klęknie przed handlarzem. Resztki godności nie pozwalają mu na zgięcie kolan.

Zamiast tego znów sięga do kieszeni i wyszarpuje nóż. Wykonuje kilka niebezpiecznych wymachów, ostrze błyska w słabym oświetleniu piwnicy. Diler robi jeden unik, później następny.

Desperacja ćpuna pozbawia precyzji jego ruchy, macha nożem na oślep, nie

wyrządzając żadnej szkody zwinnemu przeciwnikowi. W pewnym momencie zza załomu piwnicznego muru wyłania się, jak duch, trzecia postać. Bez słów obezwładnia narkomana kilkoma wprawnymi ciosami. Ten osuwa się na mokrą posadzkę piwnicy i trzyma za brzuch. Pokracznie, na czworakach, próbuje wydostać się z klinczu. Na odchodne dostaje kopniaka w tyłek. Duch i młody diler zostają sami. Jak przez mgłę słyszą głosy:

- Z kim ty się zadajesz, synku. Zobaczysz, że kiedyś rozpierdolą ci ten karmnik, biznesmenie...

- Płacę ci za to, żeby nie było takich sytuacji.

- Za te pieniądze nie kiwnę więcej założoną ręką, chcę promil od obrotów...

- Będziesz stał z założonymi rękami i nie kiwniesz palcem, patrząc, jak twój zarobek odchodzi w siną dal?

- Ty mnie tu nie foruj, bo zaraz sina będzie twoja gęba, a nie dal...

Ćpun wygramolił się z piwnicy, ale na dalsze odejście z tego trefnego miejsca nie starczyło mu sił. Zatoczył się w bramie i opadł u jej wylotu. Jego oblaną zimnym potem twarz omiotło niebieskie, migające światło policyjnego radiowozu. Dostoczył do niego jakiś policjant, ale szybko pobiegł do piwnicy, później uklękła przy nim policjantka. Namacała nóż tkwiący w brzuchu rannego, wyszarpnęła ostrze z rany w odruchu pomocy Jednak okaleczony nie wyczuł w jej działaniu troski. Dziewczyna w mundurze szybko się zerwała i pobiegła w ślad za swoim partnerem.

Chucky przeciągnęła się, podnosząc obie ręce wysoko nad głowę. W głowie miała mętlik. Czytane treści tak ją wciągnęły, że przez moment była w innej rzeczywistości. Pokręciła głową, żeby rozluźnić mięśnie szyi i dać sobie czas na powrót do realiów zakurzonego ciemnego archiwum. Wiedziała, że potrzebuje czasu na poukładanie sobie w głowie wszystkich nowo poznanych faktów, ale i bez tego była pewna jednego:

- Coś mi się zdaje, Boluś, że umoczyłeś - powiedziała do siebie.

Zamknęła tom leżących przed nią akt i zerknęła między półki, żeby namierzyć panią Teresę. W tym momencie odezwała się jej komórka. Sięgając do kieszeni, typowała w myślach, kto dzwoni. Gdy spojrzała na wyświetlacz, zaklęła w duchu. Po krótkim wsłuchaniu się w to, co dzwoniący ma jej do powiedzenia, dziewczyna zerwała się z chybatego stolika i pobiegła do

wyjścia. Obydwie archiwistki siedziały przy swoich biurkach. Podniosły głowy trochę zdziwione tak raptowną ewakuacją pani podkomisarz. Ta w biegu położyła akta na blacie przed Teresą i jednym susem dopadła drzwi.

- Sąsiad dzwonił, że spod moich drzwi leje się woda - wyjaśniła w odpowiedzi na pytania malujące się na twarzach pracowników archiwum. - Pewnie znowu coś z pralką.

XXXII



Witek z daleka widział, jak matka żegna się na ganku z małą dziewczynką trzymającą przyciśnięty do piersi futerał ze skrzypcami. Wiedział, że to jedna z jej uczennic. Ten obrazek przewijał się przed jego oczami całe życie. Nasuwał skojarzenia dotyczące tęsknoty matki za niedoszłymi pragnieniami. Gdyby nie wypadek ojca, może historia ich rodziny wyglądałaby zupełnie inaczej. Może miałyby rodzeństwo, może siostrę grającą na skrzypcach. Jego status jedynaka był tak niezachwiany i niezmienny, że nigdy nie zastanawiał się nad tym, że może coś w tej sprawie się zmienić. Może wpływał na to również brak ojca, a co za tym idzie, mężczyzny w domu i partnera życiowego matki. Teraz patrząc z perspektywy czasu, dostrzegał, jak ascetyczną ścieżkę życia wybrała ta kobieta. Przez te wszystkie lata od śmierci Żbika walczyła z wielkim ciężarem doświadczeń przytłaczającym ją do ziemi. Nie poddawała się. Nie wiadomo czy były to pozory, czy autentyczna siła, ale głowę zawsze nosiła wysoko podniesioną i w iście szlacheckim stylu prezentowała się jako wdowa. Nie potrafiła już czerpać radości z życia, ale nie pozwalała, by w jej towarzystwie panował nastrój żałoby i przygnębienia. Jako estetka nie dopuszczała do siebie pokusy, by zrezygnować z własnej kobiecości i atrakcyjności. Dbała o swoją powierzchowność i o rozwój duchowy. Wszystkie te zabiegi były jednak robione ze smakiem i wyraźną tendencją minimalistyczną. Czas jej nie pokonał i jeszcze teraz prezentowała się bardzo wytwornie. Biorąc pod uwagę styl, z jakim się obnosiła, czyli bardzo subtelny makijaż, włosy gładko zaczesane, upięte w kok i stonowane stroje, to jej uroda broniła się sama.

Podobała się mężczyznom, ale tworzyła wokół siebie niewidzialną sferę, której żaden z nich nie potrafił przekroczyć. Witek nie wnikał, czy któremuś z facetów to się udało. Faktem pozostało, że nigdy nie zdradziła się z czymś, co mogłoby urazić pamięć po jej mężu i jego ojcu.

Teraz Witek złapał się na refleksji, że towarzysząca mamie na ganku dziewczynka mogłaby być jej córką i jego siostrą. Nagle zrozumiał, że taka kolej rzeczy mogła zupełnie odmienić ich życie.

- Dzisiaj było bardzo dobrze, Anielko. Popracuj w domu nad układem kwartowym przy przejściu na inną strunę.

Witek usłyszał głos matki, gdy był już przy furtce. Dziewczynka w podskokach minęła go i pobiegła w swoją stronę, odprowadzana spojrzeniem obydwójga Chausów.

Babcia siedziała na swoim fotelu i oglądała powtórkę jakiejś telenoweli. Witek rytualnie przywitał się z nią, cmokając w poorany zmarszczkami policzek.

- Ilu opryszków już przymknałeś, Wiciu? - spytała przytomnie, próbując taką aktywnością opierać się otepiennym, chwilowym zanikom pamięci.

Chłopak nie zdążył odpowiedzieć, bo do akcji natychmiast wkroczyła matka. Na hasło policja reagowała jak najczulszy sensor.

- Witek nie jest w żadnej policji i nie przymyka opryszków - rzuciła, z trudem nie podnosząc głosu. - Co się mamie ubzdurało? - Luźne kartki z nutami, które zbierała ze stołu, rozsypały się ponownie, część z nich falując, opadła na podłogę. Witek schylił się, żeby pomóc pozbierać partytury.

- Jak zwykle przesadzasz z tymi swoimi reakcjami. Rzeczywistości nie zmienisz - powiedział łagodnie.

- Coś o tym wiem - odparła, nieco ukojona jego spokojnym tonem.

- Więc dlaczego to robisz? - spytał, odkładając na stół zebrane kartki.

- Co robię? - Włączyła czajnik, żeby zająć czymś ręce.

- Napijesz się herbaty?

Babcia oderwała wzrok od telewizora.

- Dla mnie też zrób, tylko bez cytryny, bo mam po niej zgagę.

Witek oparł się tyłem o jedną z szafek kuchennych.

- Zaklinasz ją, zaklinasz rzeczywistość, a tym samym pozbawiasz mnie marzeń.

- Co z tą herbatą? - Matka próbowała nie dopuścić do rozwinięcia tematu.

- Zrób, proszę. Jeżeli to dla ciebie ważniejsze niż rozmowa z synem o jego planach życiowych.

- Jesteś uparty jak twój ojciec. I co z tego wyszło?

- Nie wiem, co wyszło. Nikt nie wie. Może był bohaterem, a ty kryjesz wszystko w sobie i robisz z niego ofiarę losu.

- Przestań! - krzyknęła. - Nie dręcz mnie. Całą tajemnicę skryła ta pieprzona piwnica, a nie ja. Adwokaci ślizgali się po sprawie, bo nie wiedzieli, jak ją ugryźć. Świadkowie gubili się lub nie doczekiwali procesu, którego zresztą nigdy tak naprawdę nie było. A ja, zostałam sama z małym dzieckiem - dodała już spokojniej. Przez te wszystkie lata nie wypowiedziała nigdy tylu słów na temat tamtych wydarzeń.

Czajnik pyknął, dając znak, że woda zawrzała.

- Jacy świadkowie? - Witek podchwycił temat.

- Nie pamiętam już nazwisk. Był taki narkoman, ale zaćpał się na śmierć zaraz po wyjściu ze szpitala. - Postawiła dzbanek z herbatą i dwie filiżanki na stole. Babciny kubek podała staruszce do rąk.

- Z jakiego szpitala? - Chłopak zwietrzył szansę na usłyszenie czegoś więcej, niż tylko lamentów.

- Był pchnięty nożem podczas bójk. Ojciec zatrzymał radiowóz, żeby mu pomóc i potem zszedł do tej piwnicy. - Kobieta wyraźnie oswajała się z opowiadaną przez siebie historią.

Rozmowa zadziałała na nią, jak debriefing. - Później tamten ćpunek miał być świadkiem, ale przedawkował i było po świadku.

Witek w zamyśleniu bełtał łyżeczką w filiżance z herbatą.

Cieszył się, że trafił u matki na nastrój do zwierzeń. Całe życie nie mógł z niej wyciągnąć nawet strzępka informacji, a tymczasem ona pamięta każdy szczegół z tamtych wydarzeń. Z drugiej strony żal mu było tej pokiereszowanej przez życie kobiety. Widział, jak drżącą ręką sięga po papierosa i wiedział, że wewnątrz niej toczą się zacięte zmagania terażniejszości z traumatycznymi wspomnieniami z przeszłości.

- Jak lekcje? - wyrwało mu się pytanie.

Matka podniosła na niego wzrok. Trochę ją zaskoczyła zmiana tematu, więc nie odpowiedziała od razu.

- Rzępolą. - Babcia kolejny raz udowadniała, że tylko pozornie jest gdzieś daleko od tego, co działo się w kuchni.

- Doskonale - zareagowała wreszcie młodsza z kobiet.

- Mam ich tyle, że mogłabym zrezygnować z etatu w szkole. Ale wiesz, to się liczy do emerytury, więc trzeba jeszcze trochę się pomęczyć.

Witek natychmiast zaobserwował zmianę w zachowaniu i wyglądzie mamy. Więc jednak była do tego zdolna, ocenił to jako nową jakość w jej zachowaniu. Przeskok z tematu na temat tak ją odmienił, że w jednej chwili stała się inną osobą, jak doktor Jekyll i pan Hyde. Tyle, że ona w żadnej postaci nie była tą złą.

Drgnęła, gdy z ganku doszedł ich obcy odgłos. Oboje spojrzeli w stronę wejścia. W drzwiach pojawił się przystojny, siwiejący mężczyzna w farmerskim ubraniu, co podkreślał skórzany kapelusz z dużym rondem. Elementy tego stroju musiały jednak pochodzić z markowych sklepów zza oceanu. Nieco się speszył, widząc Witka, więc, co było widoczne gołym okiem, na poczekaniu tworzył legendę swojego pojawiania się.

- Danusiu, pani Danusiu - poprawił się. - Przyniosłem kwiaty, o które prosiłaś. Postawiłem na schodach przed gankiem.

- Dziękuję, wejdzie pan i napije się z nami herbaty? - zaproponowała matka, chociaż nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

- Widzę, że masz, ma pani gościa. Nie będę przeszkadzał.

- Zrobił krok w tył.

- To mój syn. Poznajcie się. - Wstała, żeby dokonać prezentacji. Witek też się podniósł i uścisnął dłoń faceta.

Uścisk miał staromodny, silny i zdecydowany. Teraz rzadko się takie spotyka.

- To pan Andrzej. Mieszka na sąsiedniej ulicy - przedstawiła przybysza.

Gość uklonił się i nie czekając na dalsze zachęty do dotrzymania towarzystwa, ulotnił się, pozostawiając smugę zapachu wody kolońskiej, równie ekskluzywnej, co ten farmerski strój.

- Absztyfikant. - Babcia siorbnęła z kubka wystygłej herbaty.

- Co mama opowiada. - Danka machnęła ręką, jakby chciała zagrać staccato na skrzypcach. - To taki społecznik, kiedyś namówił mnie na koncert na jakimś festynie i tak się zapoznaliśmy. Jest lekarzem w szpitalu bródnowskim.

- Kobieta błędziła wzrokiem po wszystkich pajęczynach w kuchni.

Witek pomyślał, że może jego rozważania przed furtką nabrały właśnie materialnych kształtów. Nie miał nic przeciwko temu, żeby matka zmieniła styl życia, odnalazła jeszcze w nim jakiś sens, poczuła gęsią skórkę nie tylko na dźwięk policyjnej syreny. Widział zmieszanie matki, więc zamierzał wykorzystać przewagę. W żadnym razie nie chciał rezygnować ze swoich dążeń.

- Lekarzem, mówisz - zawiesił głos.

- Tak, lekarzem - odparła niepewnie, jakby bojąc się zdradzić jakimś niepożądanym gestem lub słowem.

- A tamten, jesteś pewna, że zmarł zaraz po wyjściu ze szpitala?

- Kto? - spytała zaskoczona.

- No, ten świadek, ten ćpunek, jak go nazwałaś.

- Ty podstępny gówniarzu. O czym my właściwie rozmawiamy?

- O naszych sprawach - powiedział z naciskiem. - Czy tego chcesz czy nie, to są nasze sprawy, nie twoje.

XXXIII



Wieczór był parny, a powietrze lepkie, co zwiastowało nadciągającą burzę. U niektórych taka pogoda wywołuje rozdrażnienie niczym wiejący halny albo inny wiatr, rodem z Australii, który swoim pojawieniem się w czytnikach meteorologicznych uruchamia ściśle określone procedury. Okazuje się bowiem, że jego oddziaływanie na ludzkie emocje jest tak silne, że sądy, szkoły i inne instytucje, gdzie dokonuje się oceny, zostają zamknięte na czas jego występowania.

Chucky, jak każda kobieta, reagowała czasami na zmiany pogody. Kojarzyła złe samopoczucie z aurą za oknem, kiedy było jej to na rękę. Na przykład, żeby wykręcić się od namolnych umizgów podnieconego prokuratora. Tego wieczora nie myślała o takich bzdurach jak gwałtownie atakujący stolicę układ niskiego ciśnienia. Pobrzękując kluczykami umocowanymi na breloczku ze świętym Krzysztofem, podeszła do zaparkowanego po drugiej stronie bloku samochodu. Chucky rzadko uruchamiała swojego suzuki Jimny, bo nienawidziła stać w korkach, zwłaszcza unikała przemieszczania się samochodem w godzinach szczytu. Czasami jednak uznawała, że tak będzie wygodniej, praktyczniej i szybciej. Wieczorna wyprawa autkiem była przyjemna do momentu, kiedy nie trzeba było znaleźć miejsca postojowego w okolicach Teatru Wielkiego. Humor jej się pogorszył, a atmosfera ożywienia nieco przygasła po trzecim okrążeniu Placu Teatralnego. Być może pogoda miała swój wpływ na jej reakcje i zniecierpliwienie, być może cieknąca pralka i zalane pół mieszkania, ale zdecydowanie największy udział w rozdrażnieniu zawdzięczała fatalnym perspektywom w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania. Pomyślała ze złością, że aby pomieścić wszystkich użytkowników samochodów stojących w tej okolicy, to teatr powinien dysponować co najmniej dziesięcioma tysiącami foteli. A gdzie miejsca dla tych, co przyjadą komunikacją?

Zrobiła kolejne kółko ulicami okalającymi plac, obwiniając z kolei swoją naiwność, że coś w tym mieście zmienia się na lepsze. Przy kolejnej rundzie dostało się pomysłodawcom i realizatorom budowy ścieżek rowerowych, które zabierają kierowcom parkingi, nie rekompensując tych strat w żaden inny sposób. Jedyne pożytek z tego beznadziejnego krążenia wokół teatru był taki, że precyzyjnie namierzyła lokalizację imprezy mającej się odbyć w ogródku przed teatrem. Wystawione maszty z chorągwiami instytucji zaangażowanych w event, a także parasole i białe stoliki dobitnie świadczyły o pełnej gotowości do przyjęcia znamienitych gości. Mały ruch w oddzielonej strefie świadczył, że do rozpoczęcia imprezy zostało jeszcze trochę czasu lub towarzystwo nie dopisało w obawie przed załamaniem pogody.

Młoda policjantka dojrzała wreszcie włączony migacz forda oklejonego znaczkami banku. Przyczaiła się, powodując mały korek i natychmiast wskoczyła w pozostawione przez niego wolne miejsce. Przekręcając kluczyk, odetchnęła w taki sposób, jakby właśnie odnalazła zagubiony pamiętnik, w którym wypisywała najintymniejsze sekrety i fantazje. Zajęta miejscówka stanowiła dobre miejsce do obserwacji imprezy bez wysiadania z samochodu. Chucky nie wiedziała, czy jej plan wypali i przyniesie jakikolwiek efekt. Miała świadomość, że stąpa po cienkim lodzie albo, jak mawiała Mira, kręci bat na własną dupę.

Wiedziała jednak, że rezygnacji z dotarcia jak najbliżej prawdy nie daruje sobie nigdy. Po lekturze akt doszła do wniosku, że kolejnym krokiem powinna być rozmowa z panem Baronowskim, którego nazwisko, za sprawą syna, przewijało się w materiałach, i który miał wyraźnie największy wpływ na to, co działo się z tym postępowaniem w następnych latach. Pogrzebała trochę w Internecie i znalazła to, czego szukała. Chodziło jej o stworzenie pozorów przypadkowego spotkania z panem ministrem. Impreza w Teatrze Wielkim, połączona z koncertem, którego jednym z patronów było ministerstwo reprezentowane przez Baranowskiego, dawała pewność, że wiceminister pojawi się tutaj w pełnej krasie. Obecność kamer i dziennikarzy sprzyjała takiemu niespodziewanemu najściu i gwarantowała, że facet będzie uprzejmy, wylewny i nie wyskoczy z gwałtownym kontratakiem.

Wystarczyło dziesięć minut, żeby miejsce gali zatętniło życiem. Panowie w

garniturach i panie w wytwornych kreacjach witali się ze sobą nawzajem, dobrze udając serdeczność. Później w małych grupkach omawiali wzajemne zależności, poruszając kwestie najmniej związane z tematem wieczoru i ideą uroczystości.

Chucky na moment odwróciła wzrok od tego szykownego towarzystwa i natychmiast dostrzegła znajomą postać. Od strony Senatorskiej szła piękna dziewczyna w eleganckiej mini i szpilkach, których obcasy mogłyby zastępować druty w robótkach ręcznych. Rekruterka nie miała wątpliwości, że to jedna z kandydatek, z którą niedawno przeprowadzała rozmowę kwalifikacyjną. Teraz prezentowała się o klasę lepiej niż podczas wizyty w komendzie, ale świadczyło to, że dziewczynka umie dostosować się do sytuacji. Kandydatka, jak nazwała ją w myślach Chucky, wsparta była na ramieniu starszego, brzuchatego pana, w wygniecionym na plecach garniturze. Pomimo dużej postury i zaawansowanego wieku, facet starał się zachowywać jak zakochany nastolatek. Trudno to było sprecyzować, ale takie właśnie wrażenie odniosła obserwatorka. Jednak większym zaskoczeniem niż sześćdziesięcioletni zalotnik był dla policjantki fakt, że rozpoznała w nim pana ministra. Szybko zrozumiała, dlaczego Filistyński wpadł w swoim czasie w szal, że Julia jakaś tam została odrzucona na jednym z etapów procedury kwalifikacyjnej. Baron musiał interweniować w tej sprawie u swojego przydupasa, żeby dogodzić swojej najnowszej partnerce.

Ten z kolei postawił do pionu ją samą. Chucky poczuła złość, że to ona stała się tak naprawdę ofiarą tych gier, kombinując, jak odkręcić sprawę, żeby zadowolić całe to próżne towarzystwo.

Czując wyraźne nasycenie złymi emocjami, wyskoczyła z samochodu i chwilę szła za obserwowaną parą. Kilka metrów przed wejściem na imprezę zawołała:

- Panie ministrze, chciałabym umówić się z panem na spotkanie.

Facet odwrócił się w teatralny sposób, nie tracąc nic z animuszu młodzieniaszka.

- Z jakiej redakcji? - spytał, przekonany, że ma do czynienia z dziennikarką.

Chucky spojrzała na Julię. Z jej wzroku wyczytała, że dziewczyna ją rozpoznała. Nie pozostało jej więc nic innego, jak zagrać w otwarte karty.

Taki zresztą miała zamiar od początku.

- Jestem z policji. Chciałabym porozmawiać z panem na temat wydarzeń sprzed czternastu lat, w które za mieszany był pana syn - wypaliła na jednym oddechu.

Serdeczny uśmiech zniknął z twarzy Barona. Dopiero w tym momencie dotarło do Chucky, że teraz naprawdę znalazła się na ścieżce bez odwrotu. Czekwała w napięciu, co odpowie. Facet natomiast, zaskoczony takim obrotem sprawy, zaczął się rozglądać wokół siebie, jakby szukając pomocy w tej trudnej chwili. Nie mógł nie dostrzec kamer, więc jego reakcja była rozpaczliwie stonowana.

- Kim pani jest i właściwie jakim prawem mnie pani zaczepia?

- Ona mnie pytała na przyjęciach - odpowiedziała mu Julia, chcąc się pochwalić dobrym rozeznaniem w sytuacji.

- Jakich przyjęciach, do cholery? - Minister z trudem hamował narastającą w nim wściekłość.

- Do policji - wyjaśniła Chucky. - I niech dziewczynka wybije sobie z głowy mundur, dopóki nie rozmówię się z panem lub pana synem. - Spojrzała za plecy Barona. W oddali dostrzegła znajomą postać Filistyńskiego, który z kieliszkiem szampana wędrował pomiędzy grupkami gości, lansując się w towarzystwie.

Julia strąciła ze swojego biodra rękę podstarzałego amanta i złapała się pod boki. Facet poczuł, że musi ratować sytuację.

- Czy pani próbuje nas szantażować? To niedopuszczalne, proszę się w tej chwili przedstawić.

- Mówią na mnie Chucky, ale znam jeszcze kilka mniej trafnych określeń. Znajdzie mnie pan bez problemu, ale ponieważ mamy mało czasu, powiem tylko, że czytałam akta, do których zabronił pan dostępu i wiem, że pański synalek znalazł się tam, gdzie nie potrzeba. - Spojrzała prosto w roziskrzone oczy Barona.

- Nie wiem tylko, czy zrobił to, czego nie powinien - dodała.

- O czym ty mówisz? - wycharczał.

- O zabójstwie policjanta.

Minister łąpał powietrze jak ryba wyjęta z wody. Policjantka czuła, że jest

bliski wybuchu i nawet bliska obecność dziennikarzy nie ochroni jej przed jego gniewem.

- To... to jest niesubordynacja, jakim prawem...

Jego młoda partnerka nie pozwoliła mu dokończyć.

- Ja chcę do policji. - Dała wyraz swoim egoistycznym pobudkom. - Jak nie umiesz tego załatwić, to się bujaj - odwróciła się na kosmicznie długim obcasie i ruszyła w kierunku imprezy.

- Julia! Wracaj! - krzyknął za nią błagalnie, zwracając uwagę części gości z ogródka i czujnego, jak ważka, Filistyńskiego. Ten, zauważywszy pryncypała w towarzystwie swojej podwładnej, ruszył sprawdzić, co się dzieje. Baron kontynuował: - I po co to robisz? Potrzebne ci kłopoty? - zwrócił się do Chucky ze śmiertelną dawką jadu w głosie.

- Niech pan przestanie straszyć. Na mnie to nie działa.

- Mówiła szybko, widząc zbliżającego się komendanta. - Zainwestował pan w nie tego człowieka, co potrzeba, dlatego cały wasz plan się sypie. Ja chcę wydobyć spod gruzów jednego chłopaka, kandydata do policji i obiektywnie sprawdzić, czy się nadaje. To jest moja praca. Pana syn też może na tym skorzystać.

- To nie miejsce i czas na takie rozmowy. Proszę zadzwonić - wyjął wizytówkę i podał ją dziewczynie.

Filistyński był o krok od nich. Zauważył gest ministra.

- Od tego chciałam zacząć. - Chucky próbowała się wytłumaczyć, korzystając z nagłej zmiany nastawienia Barona. Ten jednak nie zamierzał słuchać tego, co ona ma do powiedzenia.

Objął Filistyńskiego za szyję w przyjacielskim geście i nachylił się do jego ucha.

- Miałeś pilnować akt, miałeś pilnować sprawy - wyszeptał szorstko. - Nie wciskaj mi więcej ciemnoty, że wszystko pod kontrolą. Myślisz, że po co ciebie tam wstawiłem, żebyś dymał kolejne sekretarki?

- Szefie, ja... - *globus histerikus* tkwiący w gardle odebrał zastępcy komendanta głos. Jego szorstkość i hardość rozmyły się w niełasce bossa.

- Teraz już za późno. Zawiodłeś mnie. W tej chwili to wszystko. - Zwolnił uścisk na karku Filistyńskiego i poszedł w ślad za swoją Julią.

Chucky obserwowała tę scenę, czując jak kropelka potu spływa jej po plecach, a później odprowadziła wzrokiem ministra, z trwogą myśląc o czekającym ją odwecie z jego strony.

XXXIV



Korytarz był długi, ponury i przeważnie pusty. Wydawałoby się, że gmach jest opuszczony albo pracujący w nim ludzie tak zajęci są swoimi obowiązkami, że bite osiem godzin siedzą na dupach w swoich pokojach. Prawda, według obserwacji Chucky, była zupełnie inna. Zatrudnieni tu ludzie byli smutni, nadęci i przesadnie słuźbiści, przez co nie potrafili stworzyć sobie przyjemnej, budującej słuźbowe i pozasłuźbowe relacje, atmosfery. Przy swojej aroganckiej mentalności zadowalali się tą cierpką, pozbawioną energii i entuzjazmu urzędniczą aurą. Pozamykani w pokojach pracownicy pochodzili z różnych części kraju, z różnych środowisk, a do Komendy Głównej Policji trafiali po to, żeby robić karierę. Kiedy im się to udawało, wtedy mogli zaspokajać swoje prowincjonalne kompleksy i udawać, że coś chcą dla tej firmy zrobić, najczęściej do czasu, kiedy następowała kolejna zmiana kierownictwa. Rekruterka zauważyła też pewną prawidłowość. Czym wyższa ranga komendy, tym bardziej puste korytarze. W komisariatach i komendach powiatowych czuło się ten policyjny nerw, życie toczyło się na każdym metrze kwadratowym powierzchni, w zasadzie o każdej porze. U kolegów z komend wojewódzkich ten nerw był już w zaniku, chyba że trafiło się na piętro zajmowane przez słuźby kryminalne, ale już na szczycie hierarchii panował wszechobecny marazm i nuda.

Chucky miała dużo czasu, aby snuć swoje hejterskie refleksje, ponieważ korytarz, który przemierzała, miał chyba ze sto metrów. Dodatkowo kontrolowała numery mijanych pokoi, żeby nie przegapić celu swojej wędrówki. Oczywiście na dole w recepcji, później w kiblu i teraz na piętrze nie spotkała żywej duszy, więc w razie czego nie było kogo zapytać o drogę. Przypomniał jej się czas, gdy będąc na studiach, pojechała do swojej koleżanki uczyć się do egzaminu. Kumpela mieszkała parę kilometrów poza Warszawą, ale w takim miejscu, że przejeżdżający za ogrodzeniem posesji

samochód wywoływał tak wyraźne zakłócenie harmonii ciszy, że aż zwracał uwagę.

Policjantka stanęła przed pokojem z szukanym numerem i bez pukania sięgnęła do klamki. W tym momencie drzwi się otworzyły i dziewczyna była zmuszona przecisnąć się w ościeży z wysokim facetem, który właśnie wychodził. Na widok Chucky chciał być uprzejmy i cofnął się, żeby dać jej pierwszeństwo przejścia przez próg, ale zrobił to tylko dlatego, żeby móc zajrzeć jej w dekolt i wydłużyć maksymalnie czas oględzin pięknego zjawiska. W jego szarych oczach malowało się uznanie dla urody gościa. Chciał coś powiedzieć, ale Brona obserwująca to zajście z wewnętrznego parapetu była szybsza w komentarzu.

- Nic z tego, Miras. Wystarczy, że chuchnąłeś pani w nos.

- Ześlizgnęła się ze swojego ulubionego miejsca kontemplacji i przekładając papierosa do drugiej dłoni, wyciągnęła rękę na przywitanie. - Kolega jest fanem czosnku - wyjaśniła wygłoszoną na wstępie aluzję.

Mirek zamknął za sobą drzwi, więc kobiety zostały w pokoju same.

- Spotkałyśmy się u komendanta Filistyńskiego - powiedziała Chucky, zastępując tym zwrotem i przywitanie, i prezentację.

- Pamiętam. - Gospodyni usiadła za biurkiem, wskazując gościowi miejsce na krześle naprzeciwko. - Muszę przyznać, że ma pani jaja.

Chucky wzruszyła ramionami.

- Zrewanżuję się tym samym. Ta komedia z napadem na mnie, to pani pomysł? - spytała obojętnym tonem.

- Chce pani udupić dobrego chłopaka. Idealnego kandydata do tej zaszraney roboty. - Sięgnęła po papierosy i wyciągnęła paczkę w kierunku rekruterki. - Zapali pani?

Chucky potrząsnęła głową.

- Dziękuję. - Wzmocniła odmowę gestem ręki.

- Zmieniłam zdanie na temat Witka Chausa. Nie miał jednak na to wpływu ten, że tak powiem, incydent.

- Więc co?

- Muszę przyznać, że rozzłościł mnie jego siermiężny styl i grube nici użyte do zszycia tej intrygi, ale jeszcze bardziej wkurzyła mnie bufonada

Filistyńskiego. Jego przekonanie, że obejmując stanowisko, zawładnął prawo do decydowania o życiu i śmierci pracowników, jest dla mnie nie do przełknięcia.

Przyznam, że w pierwszych dniach jego urzędowania dałam się nabrać na jego styl, ale koszty bycia uległą są dla mnie zbyt wysokie.

- Można powiedzieć, że gramy teraz do jednej bramki.

- Niezupełnie.

- Więc po co pani tutaj przyszła? - Brona nerwowo poruszyła się na krześle.

- Chłopak, o którym rozmawiamy, ma szlaban na policję.

Tak postanowili ludzie znacznie bardziej wpływowi niż pani i ja razem wzięte. Chociaż ja, w ogóle, nie jestem wpływową.

Raczej wpływową. Podejrzewam, że przyczyną tej hysterii jest niezakończona sprawa sprzed lat, dotycząca zabójstwa jego ojca - Młoda policjantka referowała jak rasowa dochodzeniowa.

- Głęboko pani sięgnęła. To chyba nie są kompetencje doboru kadr? - zauważyła Brona. Sarkazm, który Kaśka wyczuła w tym głosie, mógł świadczyć o narastającym zniecierpliwieniu starszej z kobiet.

- Pani ta sprawa również dotyczy - Chucky nic sobie nie robiła ze złośliwości rozmówczynie.

- Dotyczyła.

- Nie ustalono sprawcy zabójstwa. Nie obchodzi to pani? - punktowała podkomisarz.

Brona zdradzała coraz wyraźniejsze oznaki niepokoju, być może wywołane wspomnieniem przeżytej traumy, ale jeszcze podejmowała dialog.

- Nie ustalono nawet narzędzia zbrodni i pewnie tak zostanie, więc o czym my mówimy?

- Czytałam akta operacyjne, zeznania świadka.

- Który już nie żyje, ta sprawa nie doczeka się rozwiązania.

- Odpaliła papierosa od kiepa poprzedniej fajki.

- Nie doczeka? - powtórzyła młoda policjantka tonem pełnym wątpliwości.

- Ponieważ cały czas blokowany jest do niej dostęp. Baron i jego kolejne przydupasy w policji i prokuraturze pilnują tego. Ale mnie się udało dotrzeć do tej interesującej lektury.

Chucky zauważyła, że jej starsza koleżanka dała sobie chwilę na przemyślenie reakcji. Była nieco spokojniejsza niż przed paroma chwilami, ale cały czas nie wykraczała w tej rozmowie poza ramy dyplomacji.

- Brawo. Potwierdza się moja opinia z początku naszej rozmowy. Ma pani jaja większe od niejednego z tych rzekomych twardzieli. Jeżeli chodzi o Barona, to chroni on swojego synalka. Zdaje się jedyne i głównego podejrzanego w tej sprawie.

- Parę osób ponosi winę za położenie tego postępowania, nie tylko Baron.

- Kogo ma pani na myśli?

Atmosfera znów nasyciła się nerwowością, ale Kaśce to było na rękę. Wiedziała z rozmów kwalifikacyjnych, że najprawdziwsze informacje można wyciągnąć z człowieka po tym, jak się go zgrilluje. Poza tym nie tak ważne jest to, co człowiek mówi, lecz jak reaguje. Spece od mowy ciała twierdzą, że osiemdziesiąt procent informacji pochodzi z przekazu pozawerbalnego. Chucky wbiła wzrok w panią z BSW.

- Pani obecny mężulek też trochę namieszał w tym śledztwie, nieprawdaż?

Brona zdusiła niedopałek w popielniczce z taką siłą, że o mały włos nie zrobiła wgłębienia w szklanym dnie. Jakby to była szyja rozmówczynie, z pewnością słyhać by było trzask kręgów.

- Ty mała źmijo. Od Staszka to ty się odpierdol, jasne? - wysyczała przez zaciśnięte zęby.

Chucky zrobiła dłuższą pauzę, żeby pozwolić emocjom opaść i ocenić, na ile może sobie jeszcze pozwolić.

- Zapoznała się pani z mężem przy tej sprawie? - spytała po chwili.

- Nic ci do tego - warknęła tamta, ale za moment dodała.

- Tak, to była prawdziwa miłość od pierwszego wejrzenia. Ja po tej nieszczęsnej interwencji byłam ledwo ciepła, a on, jako jedyne, roztoczył nade mną parasol ochronny.

- Nie wątpię. Wydaje się jednak, że zrobił znacznie więcej...

- Tak nie będziemy rozmawiać - weszła w słowo Brona.

- Powiedz, o co ci chodzi albo do widzenia. Zaczęłyśmy spotkanie od Witka Chausa, a tymczasem gadamy o zaraniu mojego małżeństwa.

- Punktem wspólnym jest tu postać Żbika, starego Chausa - wyjaśniła

Chucky. - Pani mąż fałszował wyniki śledztwa albo inaczej - sprowadzał je na fałszywe tory. Pytanie, dlaczego?

- To poważny zarzut. Może powinna pani jego o to zapytać?

Atmosfera rozmowy falowała jak wykres wakacyjnej pogody nad Bałtykiem. Teraz rekruterka wyczuła spadek emocji, tak jakby pani podinspektor nagle złożyła broń.

- Pytam panią - naciskała.

- Nic o tym nie wiem. Staś był świetnym policjantem i doskonałym śledczym.

- Ale kwity pokazują masę błędów.

- Na przykład?

- Na przykład brak narzędzia zbrodni uznał za coś naturalnego. Nie stawał na rżęsach, żeby je odnaleźć.

Ku zaskoczeniu Chucky, rozmowa zdawała się wykraczać ponad siły Brony. Udało jej się zmęczyć rutynowaną starszą policjantkę. Ostre rysy twarzy złagodniały, a może nawet sflaczały. Oczy, w których rozbłysło tyle iskier w czasie tej wymiany zdań, teraz przygasły i zaszyły smugą dymu równie smutnego, jak ten unoszący się z niedopałka w popielniczce.

- Nie rozmawialiśmy nigdy o tym - odpowiedziała bladym głosem - ale wiem, że prowadził to śledztwo pod ogromną presją. Być może naciski powodowały błędy, które przecież zdarzają się każdemu.

- Kto był źródłem tych nacisków?

- To wiemy obydwie. - Brona nie patrzyła od jakiegoś czasu na swojego gościa. Błądziła wzrokiem po blacie biurka, jakby tam były zapisane jej kwestie do tego dialogu. - Niech pani już idzie.

- Dlaczego? - naiwnie spytała młoda policjantka.

- Proszę. - Brona sprawiała wrażenie osoby w depresji. W zestawieniu z jej waleczną postawą sprzed kilku chwil, można by podejrzewać u niej chorobę afektywną dwubiegunową.

Chucky uszanowała prośbę. Czuła się zwyciężczynią tej rundy. Wyszła bez „do widzenia”.



W tramwaju nie było tłoku. Zajęte miejsca siedzące należały do silnych i sprytnych, a stojące zajęte były przez kilkanaście osób niezważających na wygodę podróżowania przez miasto. Każdy skupiony na swoich sprawach, w milczeniu pokonywał trasę wyznaczoną przez torowisko. Dla Witka wypad w tę część miasta wiązał się nie tylko z pokonaniem pewnej urbanistycznej przestrzeni, ale była to podróż w czasie, a także wyprawa w celu wypełnienia jakiejś, bliżej nieokreślonej, powinności. Po ostatniej rozmowie z matką dużo myślał o tamtej nocy, podczas której stracił ojca. Oczywiście, wyobrażenia z tamtego okresu towarzyszyły mu dość często, ale teraz postanowił potraktować te rzewne wspomnienia zadaniowo, przekuć je w konkretne działania. Nie miał pojęcia, dokąd go one zaprowadzą, jednakże czuł potrzebę działania. Wymyślił sobie, że może małymi kroczkami uda mu się dotrzeć do momentu, w którym możliwe będzie uchylenie rąbka tajemnicy. To z kolei da asumpt do dalszych poczynań, aż wreszcie dojdzie do prawdy. Bez pomocy Bronki, bez etatu w policji, wbrew Baranowskiemu i jego synowi. Ułożył sobie w głowie szybki plan i wynikało z niego, że trzeba zacząć pracę od samego początku, od źródła. Wsiadł więc do tramwaju, aby dotrzeć do miejsca, w którym to się zaczęło. Czarny punkt, w którym jego tata podjął feralną interwencję. Chłopak obawiał się, że taka akcja to kolejna mrzonka nadmiernie rozgorączkowanego młodzieńca, nie był nawet pewien, czy tam trafi, ale postawił na empirium i tego zamierzał się trzymać. Musiał tego doświadczyć. Sam.

Nie miał pojęcia, że ta wyprawa wzbudzi w nim takie emocje. Mające nastąpić zderzenie z przeszłością przeżywał tak, jakby od tego zależało dalsze jego życie. Może podświadomie uzależniał swoje losy od ustaleń, jakich dokona w swoim prywatnym śledztwie. Był spięty jak przed trudnym egzaminem, więc wszystkie bodźce z zewnątrz odbierał ze zdwojoną siłą.

Wagon tramwajowy zakołysał się na nierówności szyn, wytrącając część pasażerów z odretwienia. Witek zwrócił uwagę na nienaturalne zachowanie jednego z pasażerów. Właściwie to nie poczynania młodego łebka wzmogły jego czujność, ale refleks świetlny pochodzący z przedmiotu w jego dłoni. Odblask promieni słonecznych od metalowej powierzchni zakłuł Witka w oczy przy nagłym zachwianiu. Młody Chaus zatrzymał wzrok na rękach chłopaka. Tamten zauważył to i jego bystre oczka znieruchomiały. Nieco speszony wsunął ostry skalpel w rękaw kurtki. Ponad ramieniem siedzącego kieszonkowca chybotą się torebka młodej dziewczyny trzymającej rękę na uchwycie pod sufitem. Blondyna miała w uszach słuchawki i zapatrzona była w ekran smartfona. Witek natychmiast obnażył zamiary doliniarza i wbił w niego natarczywy wzrok. Bandzior przez dłuższą chwilę nie reagował na niemą zaczepkę, wpatrując się w obrazy za szybą, ale zachowanie Witka wyraźnie go zdeprymowało.

- Coś ci się nie podoba? - spytał niedbale.

- Nie rób tego - odparł Witek, nie spuszczając z niego wzroku.

- Czego?

- Wiesz, czego.

- Bo co?

- Jak zrobisz, to zobaczysz, co.

Tramwaj przyhamował przed kolejnym przystankiem.

Dziewczyna z torebką odessała wzrok od telefonu i spojrzała na współpasażerów. Napięte twarze i agresywna mowa ciała chłopaków za jej plecami trochę ją zaniepokoiły. Zrobiła dwa kroki w stronę wyjścia, ale najwyraźniej nie zamierzała wysiadać.

Drzwi otworzyły się i kieszonkowiec zerwał się z fotela z zamiarem ulotnienia. Przechodząc obok Witka wyszeptał mu do ucha kilka słów z wyraźną groźbą w głosie:

- Jeszcze się, kurwa, trafisz.

- Na twoim miejscu nie marzyłbym o tym! - krzyknął za odchodzącym. - Ciesz się, że pozwalam ci odejść.

Trzy przystanki dalej Witek wyskoczył z tramwaju. Stanął na skrzyżowaniu i rozejrzał się dookoła. Słabo znał tę część miasta. Orientacji w terenie nauczył

się od babci, z którą chodził na grzyby w otwoczkich lasach i długie spacerunki nad Świdrem, ale teraz ta traperska umiejętność nie była mu potrzebna.

Wyjął z kieszeni komórkę i dzięki aplikacji potwierdził wcześniejsze ustalenia dotyczące topografii tej okolicy. Cofnął się trochę i skręcił we Wronią. Kroki stawiał coraz mniej pewnie, jakby dziurawy, powykrzywiany chodnik parzył go w stopy.

Nie myślał w tej chwili o tym, ale mógł skojarzyć ten pełen napięcia nastrój z odczuciami mieszkańców getta, którzy właśnie w tej okolicy przeżywali swoją gehennę. Stał przed bramą jednej z zaniedbanych, może już w części niezamieszkałej kamienicy. Z bramy docierał do jego nozdrzy zapach wilgoci i uryny. Na ścianie tworzyły się lizaje odłóżającej farby, której niezliczona ilość warstw świadczyła o odnawianej przez lata lamperii. Witek zrobił krok do przodu. Bardzo chciał sobie przypomnieć, jaki był ojciec i jak reagował w sytuacjach zawodowych. W jego pamięci pozostały tylko strzępy dziecięcych wspomnień.

Pogodna twarz twardego, a zarazem nieunikającego czułości, faceta. Chłopak wszedł na podwórko. W pierwszym odruchu zadął głowę, by obejrzeć dom z perspektywy dna studni.

Na wyższych piętrach gołębie toczyły walkę o jak najlepsze miejsce na gzymsie lub parapecie. Spuścił wzrok. Podwórko przygnębiało atmosferą wiecznego cienia. Tu jakaś skrzynia, kawałek dalej kupka gruzu. Urwana rynna, która zapewne padła łupem złomiarzy i omszała na skutek tego niecnego demontażu podmurówka. Kamienica umierała. Witek skoncentrował się na domysłach, czy agonია tego domu była naturalną kolejną rzeczą, czy też ktoś dokonywał na tej nieruchomości aktu eutanazji, aby w dalszej kolejności tchnąć w nią nowe życie i zarobić na tym kolosalne pieniądze.

Wycofał się do bramy. Po obu stronach były wejścia na klatkę schodową. Jedno z nich zostało na stałe zabite deskami.

Dotyczyło to zapewne tej opuszczonej części domu. Lekko pchnął jedno ze skrzydeł przeciwległych wrót. Na pół spróchniałe schody wiodły w górę, na piętra. Mrok tego podejścia niczym nie różnił się od pozbawionego drzwi zejścia do piwnicy.

Namacał kontakt, ale jego przekręcenie nie wywołało najmniejszej reakcji.

Przewidział taką możliwość, wyjął więc z wewnętrznej kieszeni latarkę i omiółtłszy snopem żółtego światła przestrzeń poniżej, powoli zszedł w dół. Odczuwał emocje, jak grotolaz eksplorujący nieznaną jaskinię. Niestety, okoliczności przyrody były nieporównywalne z penetracją malowniczych pieczar. Do zapachów witających go w bramie tutaj doszedł jeszcze fetor zwierzęcych odchodów. Równe rzędy nieotynkowanych cegieł dawały w świetle latarki ciekawy efekt półcieni.

Ku zaskoczeniu eksploratora korytarz nie był zastawiony żadnymi gratami. Za załomem leżało kilka drewnianych skrzynek po owocach i jakieś plastikowe pojemniki. Niektóre boksy były pozamykane na kłódki, niektóre, puste, stały otworem. Do uszu chłopaka doszedł jakiś szmer. Stał w bezruchu i chwilę nasłuchiwał, ale odgłos się nie powtórzył. Zrobił kolejnych kilka kroków do kolejnego zakrętu korytarza. Zastanawiał się, jak to się odbyło. W którym miejscu. Nie był w stanie określić, gdzie dokładnie nastąpił krytyczny moment. Nie miał żadnej wskazówki, a jeżeli liczył po cichu, że to miejsce podsunie mu taką wskazówkę, to najwyraźniej się pomylił. Doszedł do skrzyżowania korytarzy, ale w świetle latarki poprzeczne odnogi labiryntu wyglądały na ślepe. Zawrócił. Znowu usłyszał jakiś dyskretny szmer. Tym razem wyraźnie dochodził go odgłos cichego stąpania. Ktoś szedł ostrożnie korytarzem. Może któryś z mieszkańców kamienicy postanowił sprawdzić, kto zapuścił się w ten mało przyjazny zaułek. Czy to ktoś z sąsiadów, czy jakiś intruz? Witek intuicyjnie wyczuł, że lokator stawiałby pewniejsze kroki. To musiał być ktoś czujący się w tym miejscu równie niepewnie co on. Zgasił latarkę i wtulony w niszę w murze próbował niezauważony przeczekać niewygodny moment.

Pierwsza smuga światła z latarki tamtego kogoś oświetliła ścianę naprzeciwko miejsca, w którym przyczał się Witek.

Najwyraźniej niechciany przybysz zbliżał się do niego i spotkanie w piwnicznym korytarzu było nieuniknione. Młody Chaus napiął wszystkie mięśnie, gotów skorzystać z najmniejszej okazji, żeby bez konfrontacji uciec z tego miejsca. Światło z latarki tamtego wykonało gwałtowny zygzak, a chwilę później słychać było stłumione kichnięcie. Muzyczne ucho Witka natychmiast wychwyciło kobiecy tembr głosu, wydało mu się, że znajomego głosu.

Zwolnić napięcie ciała i czekał na odpowiedni moment do ujawnienia swojej obecności. Wychylił się nieznacznie ze swojej kryjówki i w odbitym od plastikowych pudeł świetle zobaczył twarz dziewczyny. Przypomniała mu się noc, kiedy obezwładniał rzekomego gwałciciela, a te same oczy wpatrywały się w niego z przestachem i czupurnością zarazem. Ten błysk, który wówczas dostrzegł, również teraz rozpałał jej spojrzenie. Chłopak skierował na nią latarkę i nacisnął przycisk.

Odskoczyła na dobry metr otoczona oślepiającą smugą światła.

Jednocześnie z jej gardła wydobył się przeraźliwie piskliwy krzyk zaskoczonej, spłoszonej kobiety. W odruchu obronnym cofnęła się w kilku nerwowych krokach i skierowała latarkę w stronę napastnika. Strumienie światła skrzyżowały się, niczym miecze u bohaterów „Gwiezdných wojen”.

- Pojebało cię? Chcesz, żebym dostała zawału, czy to znowu jakaś kolejna mistyfikacja? - Chucky natychmiast poznała chłopaka, ale zaskoczenie było tak wielkie, że ją dosłownie zatkało. Nie mogąc złapać tchu, oparła się o ścianę i osunęła do pozycji w kucki.

- Jestem tak samo zaskoczony jak ty - przyznał szczerze.

- Jak pani - poprawił się w mgnieniu oka.

- Zdecyduj się. - Zwróciła uwagę na jego semantyczną szamotaninę. - Co tutaj robisz? - Dźwignęła się z przysiadu.

- Ten dom. To w tym miejscu - nie przestawał się jąkać.

- Wiem, co to za miejsce. Pytałam, co tutaj robisz.

- Moja matka mówiła, że tajemnicę śmierci ojca pochłonęła ta piwnica. Może coś jest w tym stwierdzeniu.

Dziewczyna zdążyła już otrząsnąć się z szoku wywołanego zaskakującym spotkaniem. Wiedząc, że jest w bezpiecznym towarzystwie, zaczęła śmieiej machać latarką, oświetlając kąty piwnicy.

- Próbujesz rozwikłać zagadkę kryminalną? Sam, na własną rękę? - spytała, robiąc kilka kroków do przodu.

- Tylko się miotam, ale skąd ty tutaj? - spytał, decydując się na bezpośrednią formę.

- Parę rzeczy mnie zastanowiło. - Skierowała strumień światła tam, gdzie coś poruszyło kartonem w mijanym przez nich boksie. - W twoich tragicznych

zmaganiach o przyjęcie do policji pojawiło się tyle intrygujących wątków, że postanowiłam się im przyjrzeć. Przyznam, że byłam dla ciebie niesprawiedliwa, ale to pokłosie... - pomiędzy pudłami dostrzegła wąski, długi ogon jakiegoś zwierzęcia. Wzdrygnęła się. - Nomen omen, wyścigu szczurów.

Witek objął ją za ramię, widząc, jak otrząsa się z obrzydzenia.

- I ten wyścig zaprowadził cię, z twoimi dylematami, do tej nory?

- To coś więcej. - Delikatnie uwolniła się od jego troskliwego uścisku. - Czytałam akta. Albo raczej to, co z nich zostało.

Kto mógł i chciał, to gmerał przy nich według uznania. Parę rzeczy jednak zostało. Filistyński, wiesz, obecny zastępca komendanta, musiał mieć niezłe alibi. Śledczy całkowicie zignorowali zeznania świadka, który widział go wtedy w tej piwnicy.

Powoli szli dalej korytarzem.

- To może porozmawiać z nim jeszcze raz? - dociekał Witek.

- Z Filistyńskim? Zapomnij, to buc, jakich mało.

- Nie, z tym świadkiem.

- Chyba w ramach seansu spirytystycznego. Facet dawno temu zmarł. W dodatku w podejrzanych okolicznościach.

- Jak to?

- Przedawkował.

- Matka wspominała mi o tym. A co na to ciotka Brona, to znaczy, pani podinspektor?

- Widzisz, tu jest pies pogrzebany. A właściwie suka. Ten nieżyjący świadek zeznał, że jak wyczołgał się z piwnicy, to nóż miał w brzuchu. A jak przyjechało pogotowie, to rana była otwarta i obficie krwawiąca. Faktem jest, że chłopak był na haju i półprzytomny, ale nikt nie zweryfikował jego wersji. - Chucky zatrzymała się przed prowizorycznie skleconym z desek przepierzeniem piwnicznego korytarza. Omiotła światłem miejsca styku przeszkody ze ścianą. - Tutaj jest drugie wejście do tych lochów. Prawdopodobnie zasklepili je już po tamtych zdarzeniach. Może mieszkańcy mieli dość tałatajstwa dostającego się do piwnicy z sąsiedniego podwórka.

- Przecież Stasiak był orłem w swojej dziedzinie. Nie mógł przeoczyć takich ważnych faktów. - Witek trzymał się kurczowo tematu. Bał się, że przy

okazji dygresji o tałałajstwie może umknąć mu coś ważnego.

- Takiemu specowi łatwo manipulować śledztwem.

- Ale po co?

- Na przykład, żeby kogoś ochronić.

- Filia? Młodego Baronowskiego? - zgadywał Witek.

- Wątpię. Taka przysługa musiałaby nieść ze sobą wyjątkowo hojną gratyfikację. A w tym przypadku jej nie dostrzegam. Jednak Staszek dostał coś innego.

- Co?

Chucky nie odpowiedziała, zatrzymała się na skrzyżowaniu korytarzy i światłem z latarki wyłapywała detale wyglądu tej części piwnicy. Witkowi wydało się, że już tutaj był, ale rozmowa tak go pochłoneła, że stracił orientację w przestrzeni.

- Powiem ci w tajemnicy - zaczęła, nie patrząc na niego - że według szkicu, który znalazłam w aktach sprawy, to stało się właśnie tutaj.

Witek oparł się o ścianę. Przed chwilą marzył o wskazówkach przybliżających go do pełnej wiedzy na temat okoliczności śmierci ojca, teraz nie był pewien, czy chce to wiedzieć i co ma z tą wiedzą zrobić. Ogarnął go jakiś rodzaj przygnębienia.

Zniechęcenie do babrania się w tej historii kazało mu nagle wyjść z tej piwnicy. Z odrętwienia wybił go głos towarzyszącej mu kobiety.

- Te, karateka, ogarnij te śrubki. - Wskazała na cztery motylki pokryte grubą warstwą farby, przytrzymujące wieko niedużego wjazdu rewizyjnego na rurze kanalizacyjnej.

Chłopak kucnął przy niej, zawstydzony myślami, które przed chwilą przemykały mu przez rozpaloną głowę.

- Mało ci jeszcze smrodu? - rzucił swobodnie, chcąc zatuszować chwilę słabości. - Znam inne sposoby na zagęszczenie atmosfery.

- Nie gadaj, tylko kręć. - Nastawienie dziewczyny było stricte zadaniowe. Świeciła latarką na jego rękę. - Czternaście lat temu policjanci przetrząsnęli każdy kąt tej piwnicy i wiesz co? - Nie przerywając wywodu, odpowiedziała sobie sama.

- Nie znaleźli jednego z najważniejszych ogniw spinających każde

postępowanie przygotowawcze.

- Nie rozumiem, o czym do mnie mówisz - wysapał Witek siłujący się z zapieczonymi, zardzewiałymi śrubami.

- Coś mi jednak z tego Szczytna zostało. - Widząc, że chłopak uporał się z ostatnim motylkiem, wyjęła z kieszeni lateksową rękawiczkę. - A tak po ludzku - gadała jak Okrasa komentujący każdy swój ruch. - Takiemu ignorantowi jak ty, to można powiedzieć, że nie ma w tej sprawie narzędzia zbrodni. Dwoje ludzi, nie licząc skaleczenia pani Broneczki, odniosło poważne rany od noża, a noża ni ma. - Naciągnęła chirurgiczną, gumową osłonkę takim ruchem, jakby za chwilę zamierzała przeprowadzić komuś badanie per rectum.

Witek, zaskoczony tak dalekim zaangażowaniem dziewczyny w sprawę, podniósł się znad otworu, robiąc Chucky miejsce.

- Słabo to widzę po czternastu latach.

- Rozmawiałam z hydraulikiem, który ratował mnie ostatnio podczas zalania. - Wykrzywiła twarz w tak zniekształconą formę, jakby to właśnie ją miała za chwilę wsadzić do rury kanalizacyjnej. - Mówił, że jak coś nie spłynie od razu, to może leżeć w rurze i sto lat. U mnie absolwentka teraz zatkała odpływ od pralki, a szukałam jej od skończenia szkoły oficerskiej.

- A kiedy to było?

- Dwa lata temu.

Witek nachylił się nad dziewczyną.

- Masz coś?

- Nie.

- To może jest głębiej?

- Bez fachowców nie damy rady. - Wyjęła rękę z otworu.

- Robiłam, co mogłam, ale rura kanalizacyjna to nie dupa. Jak pogrzebiesz, to zawsze coś znajdziesz. - Uśmiechnęła się do swojego naprędcę wymyślonego porównania. - Każdy przecież ma coś albo kogoś w dupie, nie?

Witek kiwnął głową bez przekonania.

XXXVI



W hali odlotów lotniska na Okęciu wzywali właśnie przez megafon pasażerów do odprawy na kolejny rejs tanimi liniami lotniczymi w jednym z wakacyjnych kierunków. Filistyński siedział w kawiarence i obserwował ruch w terminalu. Był niezwykle czujny i uważny, żeby nie przegapić swojego lotu.

Ubrany był sportowo, ale nie wakacyjnie. Dżinsy, koszulka polo i marynarka miały dawać poczucie swobodnej elegancji, ale jednocześnie zapewniać wygodę w podróży służbowej. Nie był pewien, czy jego przeniesienie służbowe na misję do Kosowa miało być nagrodą, czy karą za jakieś potknięcia zawodowe. W decyzji przełożonych bardziej upatrywał reakcji na swoją nieudolność w sprawach pozazawodowych. Ostatnia rozmowa z ministrem Baranowskim najwyraźniej na to wskazywała. On jednak nie miał sobie nic do zarzucenia. Wszystkie obowiązki wykonywał sumiennie i gorliwie. Ludzie pod jego ręką chodzili jak w zegarku. Każdy znał swoje miejsce i nie wychylał się nawet na piczy włos, jak mawiał jego dowódca w Oddziale Prewencji. Sprawowana funkcja była dla niego spełnieniem marzeń, więc robił to, co do niego należało, wiernie służąc wszystkim mocniejszym od niego, aby w ten sposób utrzymać się na tym stanowisku jak najdłużej. Tymczasem przed kilkoma dniami wezwał go Komendant Główny i w krótkiej rozmowie oznajmił zmianę planów dotyczących jego dalszej kariery zawodowej.

- Panie komendancie, wezwałem pana, żeby podsumować wyniki pańskiej pracy - powiedział najwyższy rangą policjant do wyprężonego jak struna Filistyńskiego. - Niestety, nie są one zadowalające. W związku z tym podjąłem decyzję o odsunięciu pana od dotychczas zajmowanego stanowiska i skierowaniu do pełnienia dalszej służby w charakterze oficera łącznikowego do Prisztiny.

- Tak jest - odparł służbiście zastępca ze stołecznej. - Służyć można w

każdym województwie.

Komendant spuścił wzrok, zażenowany ignorancją podwładnego. Żeby ukryć grymas twarzy powstały w wyniku tłumionego pustego śmiechu, sięgnął po resortowy proporczyk i wręczył go podkomendnemu.

- Żałuję, że pana misja trwała tak krótko i liczę na to, że odnajdzie pan swoje powołanie podczas sprawowania nowej funkcji.

- Będę sprawował się nienachalnie podczas sprawowania nowej funkcji - zapewnił przy pożegnaniu.

„Cholerny Baronowski - pomyślał, sięgając po kubek z wystygłą już kawą. - Temu facetowi nigdy nie można dogodzić, tak jak jego zasranemu synkowi”. Coraz wyraźniej docierało do niego, że to właśnie dzięki mściwej naturze wiceministra będzie przez najbliższe lata tłukł się gdzieś po jakichś Prisztinach, których szukał na mapie pół wieczoru. Jedyna korzyść, jakiej dopatrywał się w tej całej sytuacji, to dieta płacona w euro, dająca w przeliczeniu niemałe kwoty. Poza tym bałkańskie dziewczyny, niektóre o egzotycznej urodzie i południowym temperamentem, mogły być wartością dodaną do tej całej szopki z przeniesieniem. Jak się dobrze urządzi, to nawet na tym skraju Europy może całkiem dobrze funkcjonować. Z zamyślenia wyrwał go kolejny komunikat w wykonaniu ponętnej, nieco zniekształconego w megafonach, głosu lotniskowej spikerki. Filistyński poderwał się zza kawiarnianego stolika, zerknął na tablicę świetlną, czy dobrze usłyszał zapowiedź i pociągnął wielką walizę na kółkach w kierunku stanowiska odpraw. Przed nim przy okienku nie było nikogo. Pogranicznik odebrał podany mu paszport, przekartkował go i bez słowa wyszedł ze swojego boksu. Zastępca komendanta nerwowo stukał palcami w blat, bo od czasu gdy piastował wysokie kierownicze stanowisko, nikt nie kazał mu na nic czekać. Wszystko miał od ręki, podczas gdy tutaj jakiś chorąży zachowuje się tak, jakby nie wiedział, z kim ma do czynienia. Funkcjonariusz Straży Granicznej dobrze wiedział, z kim ma do czynienia, a jego zainteresowanie dokumentem Filistyńskiego wynikało z otrzymanej na odprawie szczegółowej instrukcji. Przekazał paszport kierownikowi zmiany, a ten przez radiostację dał znać czekającym w holu dwóm panom w cywilnych ubraniach. Ci podeszli do Filistyńskiego i wylegitymowali się. Pan komendant był tak

zaskoczony, że bez słowa ruszył we wskazanym przez mężczyzn kierunku. Całą trójką przeszli przez główny hol i wsiedli do czekającego na nich przed wejściem samochodu. Dopiero wewnątrz auta Filistyński zaczął protestować, grozić, tłumaczyć, że spóźni się na samolot i to oni będą za to odpowiedzialni. Podczas podróży przez miasto nie dowiedział się jednak niczego na temat przyczyn zaistniałej sytuacji. Panowie w wysłużonych gajerach nie kryli jedynie, że reprezentują Biuro Spraw Wewnętrznych Policji, i że wszystkiego pan komendant dowie się na miejscu.

Na korytarzach biura Filistyński spędził tyle godzin, że w tym czasie kapitan samolotu do Prisztiny z przesiadką w Zagrzebiu nie tylko doleciał ma miejsce, ale też zapewne zdążył uwieść jedną ze stewardes i zapewnić jej niezłą uciechę cielesną. Pana komendanta przeprowadzali z pokoju do pokoju, nie podejmując żadnych konkretnych działań. Filistyński znał te metody i wiedział, że właśnie jest poddawany procesowi kruszenia. Póki co nie czuł się jak nafaszerowany ołowiem zajac lub bażant powieszony za nogi na ganku leśniczówki i poddany wpływowi zimnego powietrza. Kalkulował, że jego obecność w tym miejscu wymuszona jest przez jakieś postępowanie, w którym mógłby być świadkiem. Nie bardzo tylko mógł wyczuć, w związku z jaką sprawą tak nagle zainteresowali się jego osobą.

Dopiero wieczorem, gdy siedząc po raz kolejny na korytarzu, spostrzegł wprowadzanego do sąsiedniego pokoju Filia Baronowskiego, zrozumiał, że demon sprzed lat ożył.

XXXVII



Chucky sama nie wiedziała, jak do tego doszło. Nigdy nie była mocna w negocjacjach. W dzieciństwie, gdy czegoś chciała, egzekwowała to metodami siłowymi. Jej temperament sprawiał, że cierpliwości w pokojowym rozwiązywaniu konfliktów wystarczyło jej na kilka minut, później albo waliła w mordę, albo uciekała z płaczem. Teraz, gdy wydorosła z zachowań ugodowych, pozostało jej tylko walenie w mordę. Negocjacje z jej udziałem trwały zazwyczaj do pierwszej rozbieżności zdań, a ponieważ wszystkie negocjacje z założenia opierają się na rozbieżności oczekiwań, więc udział w nich takiej wybuchowej dziewczuchy z góry skazywał pertraktacje na porażkę.

Jednak z Baronem rozmawiała kilka godzin i facet pozostał z całym nosem i nienaruszoną męską dumą. Prawdopodobnie szybko oboje zrozumieli, że łączy ich wspólny cel. Rokowania mogły więc dotyczyć głównie metod, jakimi można się posłużyć, żeby go osiągnąć. Wiceminister przyznał się, że troska o syna i obawa o przyszłość jedynaka determinowały jego działania w sprawie tragicznej akcji w piwnicy. Bał się, żeby postępowanie karne nie przybrało niekorzystnego dla nich obrotu, a widział, że zakusy na obwinienie Tomka były bardzo realne i, co gorsza, niepozbawione podstaw. Tomuś był tam tej nocy.

Nie do końca wiarygodne były jego zapewnienia o niewinności. Sprawę komplikował fakt, że chłopak nie chciał albo bał się zeznawać, a nawet poddać się szczerzej rozmowie z oddanym mu ojcem. Nie wiadomo, co mu odbiło. Czy to był szok, czy zastraszenie, nie chciał mówić. Może bał się czegoś, a może po prostu chciał się zachować honorowo. Taka postawa chłopaka zdecydowała, że ojciec przy swoich koneksjach uruchomił wszystko, na co było go wówczas stać, aby uchronić synalka przed aresztem i postawieniem mu zarzutów na podstawie poszlak.

Chucky pokazała mu, jakim manipulacjom poddano materiał dowodowy,

wskazała też kilka błędów i zaniedbań widocznych nawet dla takiej amatorki jak ona. Desperacja dziewczyny w dążeniu do prawdy, jej bezkompromisowość i przede wszystkim neutralny cel, który jej przyświecał, dodały Baronowskiemu śmiałości w podjęciu decyzji o naruszeniu status quo w tej sprawie.

Dziewczyna, wyposażona w jego ustne pełnomocnictwa i poparcie wyrażone kilkoma telefonami do odpowiednich osób, pojawiła się w siedzibie BSW. Towarzyszył jej nieco spłoszony prokurator Czernski. Jego speszenie wynikało z nieprzewidywalności posunięć młodej policjantki i braku przekonania, co do ich procesowego umocowania. W wyniku jej interwencji otrzymał polecenie od przełożonych, aby uczestniczyć w zaplanowanych w tej sprawie czynnościach. Szedł więc za Chucky długim korytarzem, ściskając w ręce uchwyt swojej prokuratorskiej teczki wypchanej aktami.

- Co się tak usztywniłeś? - obejrzała się przez ramię. - Nie masz ochoty podszczypywać mnie po tyłku?

- Zmieniły się realia - bąknął pod nosem.

- Jakie realia, wolisz teraz chłopców? - spytała sarkastycznie. - Zawsze mi powtarzałeś, że mam dupcię jak szesnastolatek.

- Nie o to chodzi. - Na moment zamilkł, szukając odpowiednich słów dla tego, co chciał powiedzieć. - W momencie kiedy okiełznałaś Barona, wzbudzasz mój niepokój.

Chucky zatrzymała się raptownie.

- Ty seksistowski kutasie. Skromną myszkę to byś bzykał, peruki jej przyprawiał, a przy kobiecie z establishmentu strach cię przeleciał? - wypaliła podniesionym głosem pół żartem, pół serio.

- Są tacy, co takie lubią, ja wolę mieć przewagę. Nie wiem, jak Baron.

- Nic z tych rzeczy - pokiwała mu przed nosem palcem wskazującym. - Baron po prostu dostrzegł zysk w tym, co mu zaproponowałam. Jego rajcuje właśnie to. Zysk. Dlatego mamy otwarte drzwi do BSW, prokuratury i tak dalej - ruszyła korytarzem.

Nie zdążyła jednak zrobić pięciu kroków, gdy na jej wysokości otworzyły się drzwi jednego z pokoi. Wysoki detektyw wyprowadzał z nich skutego kajdankami policjanta, którego twarz w ostatnim czasie przemknęła kilka razy

przed oczami rekruterki. Nie musiała długo się zastanawiać, bo to był ten sam człowiek, którego nazywali Miecio. Widziała go na sali gimnastycznej, pod gabinetem Miry i u Filistyńskiego.

- Widziałeś tego aresztanta? - spytała prokuratora.
- Widziałem, i co?
- Bardzo obrotny gość, może dużo załatwić.
- Potrzeba ci czegoś? - indagował bez zainteresowania prawnik.
- Dla nas też coś załatwi - odparła w zamyśleniu.

Niespełna godzinę później Chucky siedziała kilka pięter niżej w bufecie Komendy Głównej Policji. Była pełna energii i optymizmu, bo rozmowy, które odbyła, potoczyły się zgodnie z jej oczekiwaniami. Znacznie rozjaśniły całą zawiłą materię śledztwa i zawiązały nowe wątki. Towarzyszył jej Witek, który swoimi zeznaniami dołożył pięć groszy do całej sprawy. Nieco dalej, przy ladzie chłodniczej, Czerski wypinał tyłek, przyglądając się wyrobom garmazeryjnym umieszczonym w chłodziarce, nie mogąc się zdecydować na konkretną przekąskę.

- Wszystko się zgadza, wszystko do siebie pasuje - mówiła podnieconym głosem. - Brakuje tylko najważniejszego ogniwa, dowodu rzeczowego, narzędzia zbrodni. Noża.

- Tym razem rura okazała się pusta. - Witek przypomniał poszukiwania w piwnicy.

- A jednak czuję, że to jest klucz do tego zamka, do postawienia klamki nad „i”, jak mawiała moja nauczycielka od historii.

- Rura? - spytał naiwnie.
- Nie, nóż. On gdzieś jest.
- Trzymałabyś takie coś tyle lat?
- Gdybym wiedziała, że jeszcze się przyda, to tak.
- Do zabicia kolejnej osoby?
- Do pogrążenia kogoś niewinnego.
- Stasiek i Bronka też przywiązywali do tego dużą wagę.
- Chłopakowi stanęła przed oczami scena z ich mieszkania, gdy tych dwoje próbowało naśladować cios, jaki mógł zadać napastnik Żbikowi. - Odwzorowaliśmy styl, w jakim zaatakowany został ojciec. Miałem ten

schemat powielić przy mistyfikacji z twoim udziałem. Brona uważała, że twoje zeznania, jako ofiary napadu, w których szczegółowo opisziesz zachowanie napastnika, ruszy Filistyńskiego, a co za tym idzie, także Barona. Analogiczne zachowania potrafią podobno ruszyć z archiwów najstarsze sprawy. Ja się tak starałem, a ty nic. Ani be, ani me - zadławił się krótkim śmiechem. Spoważniał, widząc jej minę.

- Barona ruszyło co innego. Realna groźba oskarżenia syna o zabójstwo.

- Przecież wisiało to nad nim tyle lat.

- I teraz miało się zmaterializować. Ja byłem ofiarą mistyfikacji, ale ty również.

- Ja? - zdziwił się Witek jak dziecko niesłusznie oskarżone o plucie z dachu na głowy przechodniów.

- Tak, posłużyłeś za narzędzie, żeby odgrzebać sprawę twojego ojca i zakończyć ją według z góry określonych zasad.

- Jakie to zasady? - znów się zdziwił, ale tym razem przypominał chłopca, który pod kocem czyta książkę Michaliny Wisłockiej.

- Wkrótce się dowiesz. Teraz przed nami jeszcze jedno zadanie. Nakłonić do mówienia Filistyńskiego.

- Ale masz tempo - pokiwał głową z uznaniem.

- Przyklepiemy mu zachowania korupcyjne. Chłopcy z BSW już przeprowadzają konfrontację pana komendanta z niejakim Mieciem.

- Za co?

- Za uzdatnianie kandydatów. Z niezdolnych robił zdolnych. Myślałam, że to nepotyzm, ale to, zdaje się, miało bardziej prymitywne podłoże. - Chucky wystukała palcami jakiś rytm na blacie. - Filistyński będzie nam śpiewał jak z nut, żeby móc pojechać do Kosowa. Nie musi przecież wiedzieć, że i tak nie pojedzie.

- O! Jaki talent. Szkoda, że nie mam saksofonu, bo stworzylibyśmy duet. - Spojrzał dziewczynie prosto w jej budzące niepokój oczy. - Sekcja dęta i rytmiczna.

Czerski podszedł do stolika, usiadł i z wyrazem samozadowolenia na twarzy postawił przed sobą talerz z grubym plastrem galantyny.

XXXVIII



Jeden z młodych mężczyzn uprzejmie przytrzymał drzwi wejściowe na klatkę schodową jednego z ursynowskich bloków kobiecie prowadzącej wózek dziecięcy. Drugi ukłonił się tylko i szybkim krokiem wszedł do środka. Dżentelmen ruszył w ślad za nim i w ten sposób, omijając zaporę domofonu, znaleźli się wewnątrz budynku. Obydwaj byli ubrani na sportowo. Skóropodobne kurtki, dżinsy i adidasy. Poruszali się sprężysto, drobiąc kroczyki, jakby chcieli uniknąć poślizgnięcia się na rzadkim gównie. Jedyna różnica w ich wyglądzie polegała na tym, że jeden miał wypielegnowaną fryzurę pokrytą warstwą żelu, a drugi świecił łysiną. Kilka chwil później oparli się łędźwiami o balustradę przy schodach i obserwowali drzwi jednego z mieszkań. Wyżelowany spojrział na zegarek.

- Już po ósmej.

- Więc nikt nie będzie darł japy, że wbijamy w środku nocy na kwadrat.

Dialog zdradzał ich proveniencję, ale wnikliwy obserwator mógł zorientować się, co do ich profesji już na podstawie wyglądu i zachowania.

- Pełna transparentność i kultura. Szef kazał podjechać z nim - wskazał ruchem głowy obserwowane drzwi - od frontu.

- Nie od podwórka?

- Nie, od frontu fabryki.

- I będziemy z nim szli przez wszystkie korytarze?

- Tak kazał.

- Chuj, jak kazał to kazał. Idziemy po niego? - Łysy zrobił krok na przód.

- Czekaj - powstrzymał go kolega. - Przypomniał mi się taki motyw z „Pulp fiction”.

- Z czego?

- Nie będę powtarzał, bo i tak nie wiesz, o co chodzi.

- Nie interesuję się muzyką.

- To akurat film jest - wyjaśnił wyfryzowany piękniś.

- Travolta idzie z takim jednym murzynom załatwić jakichś dłużników. Wiedzą, że zaraz będą zabijać ludzi, a gadają o masażu stóp. Sprzeczzają się, czy jest to czynność erotyczna...

- Aha, masaż stóp mówisz - zastanowił się łysy. - A to komedia jest?

- Dramat raczej, ale można się pośmiać.

- A, co w końcu z tym masażem? Zastąpi bzykanie?

- Kumpel z dezaprobatą pokręcił głową.

- Ty to byś bzykał nawet przy resekcji zęba. Chodź, zawijamy gościa. - Wyciągnął rękę i nacisnął przycisk dzwonka.

W otwartych drzwiach stanął Stasiu, emerytowany policjant śledczy. Spojrzał na podsunięte mu przed oczy legitymacje policyjne. To byli panowie z biura Bronki. Ze względu na koleżankę nie byli przesadnie formalni w stosunku do jej męża.

Przedstawili spokojnie cel swojej wizyty, która polegała na konieczności dowiezienia świadka do siedziby Biura Spraw Wewnętrznych. Staszek zachowywał się tak, jakby od dawna spodziewał się takiej wizyty. Odwiązał zapętlony na plecach fartuszek kuchenny z napisem *The Last Perfect Man* i oznajmił smutnym głosem:

- Wyjmę tylko babeczki z piekarnika.

Policjanci spojrzeli na siebie znacząco. Wiek i poziom mentalny, jaki reprezentowali, sprawiał, że to co usłyszeli, zabrzmiało w ich uszach jak zboczona propozycja. Nie skomentowali jej jednak, wypełniając polecenie szefa, mówiące o zachowaniu pełnej kultury.

Zeszli do samochodu, prezentując się jak trójka przyjaciół.

Po kwadransie dojeżdżali do siedziby firmy, jak mówili na swoje miejsce pracy. Kierowca, którym był łysy ignorant kina, wjechał w bramę na tyłach budynku.

- Miało być od frontu - upomniał go kolega.

- Zapomniałem, już zawracam.

Minutę później podjechał pod siedzibę BSW od strony głównego wejścia. Bez pośpiechu wysiedli z samochodu i umożliwili wyjście Stanisławowi. Najwyraźniej ociągali się z wejściem do budynku, a ten z żelem we włosach

zapalił papierosa i zaproponował dymka przywiezionemu świadkowi. Stach kiwnął na znak odmowy. Chwilę stali we trzech na schodach prowadzących do wejścia.

Dwa piętra wyżej, na swoim ulubionym parapecie siedziała Brona. Zaczytana w akta jakiejś sprawy, kątem oka kontrolowała, co dzieje się za oknem. Czasami komentowała to, co widziała, a jej uwagi były zazwyczaj o wiele barwniejsze, niż nudne fakty mające miejsce na ulicy. Dym z papierosa wydmuchiwała w kierunku górnego lufcika, ale i tak niewiele to dawało, bo w pokoju można było zawiesić siekiere. Ona twierdziła, że to z powodu czosnkowych wyziewów kolegi.

Gdy papieros wypadł Bronce z ręki, Miras od razu zorientował się, że coś się dzieje.

Uśmiechnął się pod nosem.

- Nie wystarczy ci, że mnie podtruwasz, to chcesz jeszcze spalić? - spytał drwiącym tonem.

Pani podinspektor, nie reagując na zaczepkę, zerwała się ze swojego miejsca i objając biodra o kanty biurek, wybiegła z pokoju. Serce waliło jej, jak oszalałe. Biegła, mijając kolejne pokoje, później schodami w dół naprzeciw, jak jej się zdawało, wielkiej życiowej porażce. W głowie zaczęło jej się kręcić od wysiłku spotęgowanego nagłym stresem, dodatkowo działała nikotyna z wypalonych od rana papierosów. Z przeciwległego końca korytarza wyłoniło się dwóch policjantów prowadzących między sobą Staśka, jej Staśka. Brona czuła, jak miękną jej nogi, opada kipiący w niej zawsze wigor i flaczeje pewność siebie. Stasiek miał napiętą twarz, ale szedł spokojnie, jakby w towarzystwie dobrych znajomych. Koledzy z biura zauważyli ją od razu, ale ich poczucie obowiązku i wiara w racje wykonywanych czynności nie spłoszyły ich ani odrobinę. Szef wiedział, kogo wybrać do tego zadania. Wysłał najbardziej trepowatych policjantów z biura, takich, co posłużyliby Sienkiewiczowi za pierwowzór postaci Rocha Kowalskiego. Gdyby zadanie miał wykonać kto inny, pewnie byłyby jakieś przecieki, może Bronka zorientowałaby się, że coś knują, coś planują.

Przy tych dwóch drągalach to było niemożliwe. Zaskoczenie było pełne.

Brona zagroziła im wejście do pokoju. Zebrała w sobie wszystkie siły,

żeby nie pokazać, jak bardzo się boi.

- Stasiu, co się dzieje? - spytała, patrząc na kolegów, jakby to od nich oczekiwała odpowiedzi.

- Uspokój się, Broneczko. - Poglądził ją po ramieniu. Miał ochotę objąć żonę i przytulić, ale nie chciał dawać satysfakcji tym dwóm policjantom, robiąc takie sceny.

- Czego od niego chcecie? - warknęła bezpośrednio do wyżełowanego.

- Zadać kilka pytań - odparował łysy.

- Ty, Bronka, nie panikuj, takie rozkazy - dodał piękniś.

- Co znaczy, nie panikuj! - wrzasnęła. - Puszkujcie mojego męża, a ja nic o tym nie wiem. Dajcie chociaż pogadać - dodała pokornie, ale bez poniżającej błagalnej nuty.

- Chętnie, pani inspektor, ale, kurwa, patrzą nam na ręce.

Sprawa jest na zajebicie gorącym grillu - gładko wytłumaczył się policjant. Otworzyli drzwi od pokoju, wprowadzili do niego Stacha.

Ten obejrzał się przez ramię i mrugnął do żony.

- Daj im dowód, Broneczko. Nie czekaj dłużej, daj im dowód.

Brona zrozumiała, co Stasiak miał na myśli. Sytuacja wymagała zastosowania nadzwyczajnej taktyki. Plan się posypał, ale to wcale nie znaczyło, że nie był do naprawienia. To, co miało się stać w wyniku precyzyjnie przemyślanej akcji, teraz musiało nabrać cech spontaniczności. Nie było jednak innego wyjścia. Musiała ratować męża, musiała ratować siebie.

Wróciła do swojego pokoju tylko po to, żeby zabrać torebkę.

Mirasa nie było, więc nie musiała słuchać uszczypliwych komentarzy i tłumaczyć się z zaskakujących wydarzeń minionego poranka. Wybiegła z pokoju, żeby jak najszybciej dotrzeć do swojego mieszkania.

Policjanci wprowadzili emerytowanego kolegę do pokoju i wskazali krzesło. Jako były funkcjonariusz zasługiwał w ich mniemaniu na przyzwoite traktowanie. Na tyle, na ile orientowali się w sprawie, to nie sposób było nazwać go przestępcą, a doprowadzony został w charakterze świadka. Zastosowane środki miały wykluczyć możliwość matactwa, bo znając wirtuozerię byłego policjanta w dziedzinie prowokacji, podstępów i intryg, zachodziła taka obawa. Trzeba więc było trzymać świadka na krótkiej smyczy w izolacji od żony policjantki.

Do pokoju wszedł Miras i jeszcze jeden policjant po cywilnemu, do którego kolega z pokoju Brony zwracał się Grzesiu.

Ci, którzy zrealizowali doprowadzenie świadka, wyszli z pomieszczenia przesłuchań. Grzesiu prezentował się jak z model z żurnala. Czarny garnitur i czerwony krawat nadawały mu dyplomatycznego sznytu. Całość psuł trochę odstający brzuch zdradzający, że policjant od pewnego czasu szerokim łukiem omijał testy sprawnościowe dla funkcjonariuszy. Zdjął marynarkę i powiesił na oparciu krzesła, ujawniając tym samym wielkie ciemne koła pod pachami. Zakłóciły one obraz z żurnala, ale przede wszystkim ujawniały, ile go wewnątrz kosztuje udział w tym przesłuchaniu. Mirek rozstawił plastikowe kubeczki na blacie i napełnił je wodą mineralną. Wszyscy jak na komendę pociągnęli duszkiem kilka łyków.

Grzegorz odstawił pustą szklanę, usiadł za biurkiem i otworzył laptopa.

- Panie Stanisławie, uczył nas pan roboty, więc dokładnie wie, czego się spodziewać. Mam nadzieję, że Romek i Leszek nie byli zbyt dokuczliwi.

Stach podniósł wzrok na przesłuchującego go policjanta.

- Samo ich pojawienie się było dokuczliwe, ale nie będę narzekał.

- I słusznie, bo nikt nie chce tutaj zrobić panu krzywdy.

- Skoncentrował się na ekranie komputera. - Chodzi nam o sprawę sprzed

czternastu lat, którą pan prowadził. Wróciliśmy do niej z uwagi na nowe okoliczności, które mają ścisły związek z tamtymi wydarzeniami.

- Jakie okoliczności?

- Zeznania kilku świadków, które rzucają nowe światło na całe postępowanie. Ponowna analiza akt sprawy wykazała kilka niedociągnięć...

- Może jakieś konkrety, panie Grzešku - wszedł mu niemal w słowo Stach. - Przepraszam, ale nie znam stopnia, bo nie raczył pan się przedstawić. W wykonaniu funkcjonariusza BSW to spore uchybienie regulaminowe.

- Więc jednak umie pan być skrupulatny. Szkoda, że nie skorzystał pan z tej cechy kilkanaście lat temu. Ale - otrząsnął się z personalnej utarczki - wracając do sprawy. Mamy świeżutkie, jeszcze ciepłe zeznania pana komendanta Filistyńskiego.

Sądzi pan, że podtrzymał wersję sprzed lat? Teraz ma więcej do stracenia, więc potwierdzenie swojej niewinności jest w jego interesie.

Komisarz Grzegorz Nida nie przedstawił się, bo dane personalne były dla niego drażliwym tematem. Kiedy mógł unikał podawania nazwiska, bo wraz z pierwszą literą imienia tworzyła niesmaczny kalambur. Odkryli to już koledzy w szkole podstawowej i właściwie w tamtych czasach nie funkcjonował jako nikt inny tylko Gnida.

Staszek, widząc nastawienie przesłuchującego go policjanta, postanowił nie odzywać się więcej. Padło kilka pytań, na które nie odpowiedział. Pomyślał o zażądaniu obecności adwokata, ale najpierw chciał zorientować się, czym faktycznie dysponują ci śledczy. Do rozmowy wtrącił się Miras, dotychczas bacznie obserwujący świadka z krzesła ustawionego z boku biurka.

- Będzie pan tak milczał? - zaczął jakby przyjacielską rozmowę. - Posklejał pan wówczas to śledztwo w bardzo misterną koronkę, ale niestety, klej nie wytrzymał próby czasu i się rozsechł. Teraz musimy poskładać to wszystko od początku. Nie chce pan nam pomóc?

- Widać czarno na białym, że robił pan wszystko, żeby wykluczyć udział w tym zdarzeniu Bola, czyli Bolesława Filistyńskiego, do niedawna zastępcy w Komendzie Stołecznej. - Grzegorz przeszedł do wymaganych przez Staszka konkretów. - Uwierzył pan, bez sprawdzania, w jego alibi. Wyeliminował najważniejszego świadka... W takiej sytuacji cała wina spadała na Filia, czyli

Tomasza Baronowskiego. Rozrabiakę i handlarza prochami. Ale jego bronił wpływowy ojciec. I tu powstał klincz.

Stanisław sięgnął po kubeczek z wodą, ale było w nim tylko kilka kropli, którymi zwilżył suche usta. Miras usłużnie napełnił plastikowe naczynie w nadziei, że gest świadka zwiastuje zamiar włączenia się do rozmowy. Emerytowany policjant nie sięgnął jednak po świeżą porcję wody, spuścił wzrok i milczał.

Grzegorz uznał, że trzeba dorzucić do pieca i patrzeć, kiedy świadek zaskwierczy. - Klincz panu pasował, bo w trakcie śledztwa ustalił pan prawdziwy przebieg zdarzenia. Jednak gorące uczucie do policjantki z feralnego patrolu nie pozwalało na jego ujawnienie.

Skupił się pan więc na tym, żeby już nikt przy tej sprawie nie grzebał. Po pana odejściu Bronka chroniła tajemnicy, a w razie czego, szykowała swojego następcę. Syna zamordowanego aspiranta Chausa. Ta sprawa miała się nigdy nie skończyć, a gdyby nawet, to tylko skazaniem Filia. Na to jednak nie mógł pozwolić pan wiceminister Baronowski. Zgadza się? - zakończył tyradę pytaniem.

Stanisław podniósł wzrok. Na jego twarzy malowały się tak sprzeczne uczucia, że przybrała ona wyraz afektywnego kalejdoskopu, jak u pacjenta z chorobą dwubiegunową w momencie zmiany biegunów. Smutek, rezygnacja i wściekłość ścierały się z odczuciem ulgi i dumy. Milczał jednak uparcie, mieląc w głowie otrzymane przed chwilą dane. Z tego, co powiedział ten funkcjonariusz, można było wywnioskować, że udało im się poskładać całą układankę. Wiedzieli wszystko. Wielkimi krokami zbliżali się do zakończenia sprawy. Zrozumiał, że popełnił błąd, każąc Bronce sięgać po dowody. Zapewne przewidzieli taki ruch i tylko czekają na ujawnienie asa w rękawie przeciwnika.

Błazenada z podwiezieniem aresztanta pod okna Bronki miała temu służyć. Wszyscy wiedzieli, że parapet to ulubione miejsce pracy policjantki. Panika, stres, działanie bez zastanowienia w reakcji na szokujący obrazek za oknem były wywołane celowo.

Dobra metoda, aby zmusić kogoś do popełnienia błędu. Jeżeli Bronka w porę nie zorientuje się, że ją podpuścili, gra będzie skończona.

XL



Bronka wpadła do mieszkania jak huragan pustoszący karaibskie wysepki, o którym głośno było ostatnio w newsach telewizyjnych. Kilka kosmyków włosów niesfornie wyrwało się z misternie upiętego rano koka i opadało na twarz. Kobieta zdmuchiwała je co chwilę na boki, ale te lepiły się do pokrytego kroplami potu czoła, przysłaniając oczy, nos i usta. Nie zdejmując płaszcza, którego poły falowały wokół jej postaci niczym skrzydła sępa walczącego o najlepsze miejsce na truchle padłego zwierzęcia, wbiegła do kuchni i nerwowo wywracała do góry nogami zawartość szuflad i szafek. Nie znalazła tego, czego szukała. Wiedziała, że Stasiek, który w swoim życiu przeprowadził setki rewizji, był zwolennikiem zasady, że najtrudniej znaleźć coś, co nie jest schowane. Wyteżyła umysł, żeby prześledzić tok myślenia własnego męża. Stasiek nigdy nie robił przed nią sekretu z tego, że jest w posiadaniu dowodu z tamtego śledztwa, ale nie wtajemniczał żony w szczegóły tych spraw, nie chcąc wywoływać przykrych dla niej wspomnień. Brona podstawiała krzesło i wspięła się na nie, sięgając do pawlacza nad drzwiami. Zachwiała się, otwierając drzwiczki szafki, niebezpiecznie balansując na swoich wysokich szpilkach. Złapała jednak równowagę, machając ręką, czym jeszcze bardziej upodobniła się do padlinożernego ptaka. Sięgnęła po pierwszy z brzegu pakunek. W plastikowej reklamówce zawinięty było stylowy futerał z zestawem kuchennych noży. Stasiek wygrał je kiedyś w jakimś konkursie kulinarnym, ale nie zaczął jeszcze z nich korzystać. Przeznaczył zestaw do innych celów. Brona rozwinęła matę, w której w odpowiednich kieszeniach wetknięte były noże różnego przeznaczenia. Jeden wyraźnie nie pasował do zestawu. Kobieta utkwiała w nim wzrok. Przez moment zawahała się nad tym, co ma dalej robić. Zamknęła oczy, chcąc odciąć się od niechcianej rzeczywistości, ale efekt tego był gorszy niż się spodziewała. Wyobraźnia sięgnęła w głąb pamięci po to, by chlusnąć w

świadomość całą falą przykrych obrazów. Ciemna piwnica, błysk ostrza, jęki rannego, piekący ból w nodze, pisk szczura, flesz za fleszem - przemykały wizje z przeszłości. Otworzyła oczy i zmięła w dłoni reklamówkę, która miała posłużyć za coś w rodzaju rękawiczki. Delikatnie, drżącą ręką wyciągnęła nóż, starając się nie dotykać go gołymi palcami. Owinęła wokół ostrza plastik jednorazowej tutki i schowała do swojej wielkiej skórzanej torby. Rozejrzała się pospiesznie po mieszkaniu, analizując, czy o niczym nie zapomniała. Bałagan, jaki zrobiła, kłuł ją w oczy, bo nie pasował do tego wnętrza. Zdała sobie sprawę, że przez ten bajzel nie mogła zebrać myśli. Sama stworzyła atmosferę rewizji, a realne zagrożenie autentycznym przeszukaniem jeszcze bardziej ją rozbiło.

Wybiegła więc z mieszkania i na klatce schodowej sięgnęła po komórkę. Wybrała z listy numer, z którego ostatnio korzystała. Abonent po tamtej stronie łączy odebrał prawie natychmiast, jakby czekał na to połączenie.

- Mam dla was zadanie - rzuciła do słuchawki, trochę zbyt nerwowo. - Tak, ostatnie, jak obiecałam - przekonywała rozmówcę. - Zrobicie to i wracacie do służby bez konsekwencji.

Podjedźcie pod mój blok. Czekam.

Nie musiała czekać zbyt długo. Po piętnastu minutach pod jej klatkę schodową podjechała stara audica osiemdziesiątka na biłgorajskich blachach. Chłopaki siedzący na przednich fotelach ukłonili się pani podinspektor, a pasażer otworzył tylne drzwi, nie wysiadając z samochodu. Brona, widząc ich, odtworzyła w pamięci scenę znad rzeki, gdy obydwaj zmoczeni jak bezpańskie psy stali w drzwiach ambulansu, czekając na decyzję w ich sprawie. Radiowóz, którym próbowali dostać się do niewiernej dziewczyny jednego z nich, wisiał nad taflą wody oblepiony wodorostami. Później pani podinspektor wlała w ich dusze nadzieję na pozostanie w służbie, ale musieli okupić tę łaskę odegraniem kilku ról teatralnych. Jedną z nich, na pewno nie oscarową, było przesłuchanie w drzwiach mieszkania, rzekomo napadniętej i szczęśliwie ocalonej podkomisarz Katarzyny Miller zwanej przez kandydatów Chucky.

Jak tylko ruszyli spod bloku, Brona wydała dyspozycje. Podała chłopcom adres, pod który mieli zawieźć przygotowaną przez nią przesyłkę. Wyjęła z

torby owinięty w plastik nóż i przekazała jednemu z zawieszonych w służbie policjantów. Następnie kazała odstawić się do pracy. Chwilę czekali przed gmachem KGP, zanim pani oficer znów wyszła i wręczyła im ich własne blachy służbowe wyjęte z depozytu. Uznała, że mogą one ułatwić im wykonanie zadania. Po odprawieniu pomagierów mogła wreszcie odetchnąć i zająć się drugim końcem tego samego problemu. Miała nadzieję, że dowie się wreszcie czegoś o przesłuchaniu Staszka.

W czasie, gdy Brona siedziała przy swoim biurku, zastanawiając się, do kogo uderzyć po informację na temat sytuacji jej męża, stare audi podjechało pod elegancki apartamentowiec przy Dolince Służewieckiej. Sierzanci Brzuska i Wlazło weszli do holu i wylegitymowali się przed cieciem, który w takich miejscach nazywany jest konsjerżem. Chłopaki chcieli mieć jak najszybciej z głowy zleczone zadanie, więc załatwiali sprawę na tak zwany rympał. Nie chcieli albo może nie umieli stosować finezyjnych sposobów manipulacji, podejmować złożonej gry, dzięki której frajer nie będzie w stanie zorientować się w prawdziwych intencjach policjantów.

- Szukamy jednego gościa - konfidencyjnym tonem zagaił Brzuska. - Mamy informację, że może przebywać w tym budynku.

- Chłopcy, ja przepracowałem w policji trzydzieści lat, możecie mówić otwartym tekstem - przygasił ich nieco recepcjonista.

- Szukamy niejakiego Tomasza Baronowskiego - z lekkim dystansem wyniszczył po części fałszywy policjant.

- Filia szukacie? Sprawdzę czy jest u siebie. - Chwycił za słuchawkę telefonu wewnętrznego.

- Nie trzeba - powstrzymał go drugi z przybyłych.

- Potrzebujemy dostać się do piwnicy.

- U nas nie ma piwnic.

- Ale miejsca parkingowe są.

- Są.

- Które należy do Filia?

Cięć wyszukał w podręcznym rejestrze i podał im numer.

Na podziemnym parkingu pachniało trochę tak jak w warsztacie samochodowym. Było jednak czysto i jasno. Białe ściany i sufit, szare

posadzki i wymalowane na żółto wszystkie znaki ostrzegawcze, słupy i linie parkingowe. Kilka samochodów zaparkowanych na swoich miejscach tworzyło nieregularną mozaikę przypominającą uzębienie słabego boksera: wypełnienie, luka, luka, wypełnienie, luka. Za trzecim słupem chłopcy znaleźli miejsce należące do Filia. Jego beemka błyszczała w jarzeniowym świetle perłowym lakierem. W ścianie za samochodem tkwiła skrzynka skrywająca jakieś instalacje. Wzdłuż wgłębienia w murze przeciągnięte było plastikowe korytko z cienkimi rurami i kablami schowanymi w peszele. Policjantom rzuciły się w oczy te osprzęty, bowiem stanowiły lepszy kamuflaż dla rzeczy, którą chce się ukryć niż na przykład samochód. Pozostało tylko zdecydować, czy Filio wybrałby na schowek skrzynkę w murze czy przewody na ścianie. Brzuska wyjął z wewnętrznej kieszeni zawiniątko, żeby przymierzyć je w każdej z potencjalnych skrytek, ale nie zdołał wykonać ani jednego ruchu więcej. Jak spod ziemi wyskoczyło kilku policjantów.

Ubrani byli, jak ci z realizacyjnego; kombinezony moro, kamizelki z milionem kieszeni i obwieszeni setką militarnych gadżetów. Broń wymierzona w na pół fałszywych gliniarzy sparaliżowała ich ruchy. Krzyk i mieszanina komend wydanych w jednym czasie, spotęgowana echem garażu, spowodowała taki zamęt, że pakunek wypadł Brzusce z rąk. W jedno uderzenie serca później obydwaj intruzi leżeli na szarej posadzce, dociśnięci kolanami twardych mundurowych. Zza kolejnego filara wyłonił się mężczyzna w cywilnym ubraniu z nałożoną na marynarkę kamizelką kuloodporną. Wyglądał w tym stroju nieco groteskowo, a biorąc pod uwagę siły, jakie swoją decyzją oddelegował do schwytania takich dwóch pierdoł, to wizerunek był naprawdę komiczny.

Komisarz Nida podszedł do strefy zero i wydał kilka poleceń. Brzuska i Wlazło skuci kajdankami i skruszeni od pierwszej chwili znaleźli się w samochodzie. Szukany od czternastu lat dowód w sprawie zabójstwa policjanta pieczołowicie zabezpieczony wylądował w walizce technika. W laboratorium nóż zostanie poddany szczegółowym badaniom wraz z plastikową torbą, w którą był zawinięty. Błyszczący niezliczoną ilość razy flesz aparatu fotograficznego świadczył o dokumentowaniu miejsca zdarzenia w najdrobniejszych szczegółach. Nikt nie chciał popełnić najmniejszego błędu

w swojej pracy. Przecież chodziło o zabójstwo policjanta, a takich spraw koledzy nigdy nie puszczają płazem.

Gdy garaż opustoszał, Grzegorz zdjął kamizelkę i poszedł na parter, by podziękować za pomoc stróżowi tego budynku.

Cieć, ciągle jeszcze pod wrażeniem niedawnej akcji, zdążył już odebrać swój służbowy uniform od policjanta grającego jego rolę w momencie przybycia wysłanników Brony. Twierdził, że gdyby nie błędy młodości, które postawiły tamę w ewentualnych staraniach o wstąpienie do policji, to na pewno wybrałby ten zawód. Do tego potrzebna jest jednak czysta kartoteka, której jemu kiedyś zabrakło. Dlatego między innymi poszedł do ochrony.

Brona siedziała zamyślona na swoim parapecie. Trzymany przez nią w rękę papieros dopalał się samoistnie, o czym świadczył długi słupek popiołu powyżej warstwy żaru. Niepokoiło ją, że wszyscy w biurze nabrali wody w usta. Nagle ta lubiana i chętnie przyjmowana we wszystkich podgrupach i towarzystwach wzajemnej adoracji koleżanka stała się trędowata. Obeszła kilka pokoi i w żadnym nie chcieli mówić na temat jej Staszka. Co więcej, gdy pojawiała się w drzwiach, rozmowy nagle cichły i wszyscy wpatrywali się w białe blaty swoich biur.

Potwierdzała się prawda o tym, że to środowisko nie odbiega w zdolnościach plotkarskich od wszystkich kolorowych pism razem wziętych. Dlaczego jednak nie udało jej się dotrzeć do najdrobniejszego przecieku tych rozlanych po całym biurze szeptanek. Tutaj nastąpiła jakaś dziwna jedność i solidarność w dochowaniu tajemnicy. Brona znajdowała tylko jedno wytłumaczenie. Wiedza na temat wydarzeń sprzed czternastu lat została uzupełniona o nieznane dotychczas fakty. Jeżeli cała prawda o tym, co się wtedy stało, poszła w ogólny obieg, to nic dziwnego, że Staszka i ją dotknął ostracyzm. W zasadzie było to bez znaczenia, bo ustalenia, których dokonali śledczy, pociągną za sobą konkretne działania. Teraz Brona czuła się pozostawiona sama sobie. Wiedziała, że wybieg z nożem, jako dowodem mającym obciążać Filia, nic już nie da. Próbowwała jeszcze raz przeanalizować sytuację, szukając ewentualnych dróg odwrotu, ewakuacji, ale nie była w stanie dostrzec najmniejszej nawet ścieżki umożliwiającej wyjście z tej sytuacji. Jeszcze raz wróciła do tamtych tragicznych zdarzeń. Robiła to setki

razy, zastanawiając się, dlaczego tak postąpiła. Tyle samo razy pluća sobie w brodę ze świadomością, jak głupią była wtedy dziewczuchą i w jaki sposób idiotycznym posunięciem spaprała sobie dalsze życie. Było ono znośne tylko dzięki Stasiowi, ale brzemień tamtej nocy uwierało ją bardzo mocno. Być może dlatego podjęła się niezrozumiałej dla nikogo funkcji obrońcy podpadziochów. Jej filantropijna działalność spotykała się z niechęcią przełożonych, była źródłem wielu konfliktów i scysji służbowych, a jednak brnęła w tę beznadziejną pomoc wykolejonym policjantom.

Uczyła z tego styl życia, czuła się potrzebna, więc musiała też stać na straży swojej tajemnicy sprzed lat. Po pierwsze dlatego, że zamierzała wyciągnąć z kłopotów jeszcze wielu policjantów, a po drugie, będąc dla wielu przykładem koleżeństwa, dobroczynności i lojalności zawodowej, nie mogła zranić tych uczuć, pozwalając na przedwczesne ujawnienie prawdy o sobie.

Drzwi otworzyły się zamasyście. Brona знаła ten sposób wchodzenia do pokoju. W progu stanął Miras z jeszcze jednym policjantem. Za plecami mówili na niego Gnida. Kolega zza biurka podszedł do partnerki, dając jej zaledwie kilka centymetrów miejsca na ześlizgnięcie się z parapetu. Będąc z nią twarzą w twarz chuchnął ostentacyjnie w jej nos.

- Koniec palenia, niech żyje czosnek.

- Jednak jesteś chujem, Miras - powiedziała spokojnie.

- Skończył się też czas kozaków - dopowiedział Mirek, nie zwracając uwagi na obelgę. Czuł olbrzymią przewagę nad koleżanką, która całe życie zawodowe dołowała go w tym pokoju.

Teraz, na swój prostacki sposób, próbował jej się odpłacić. Nie miał skrupułów, bo pani podinspektor okazała się zbrodniarką.

- Dałam się wkręcić. Cholera, źle to rozegrałam - snuła wątpliwości bardziej do siebie niż do któregoś z kolegów.

- To jeszcze nic w porównaniu z wyczynem sprzed lat.

Wtedy to bardzo źle rozegrałaś - Mirek szukał jednak dialogu, chociaż dla niego wszystko było jasne.

- Błędy młodości.

- I po co? - spytał Grzegorz Nida, chociaż wiedział, że na więcej pytań przyjdzie jeszcze czas.

- Wtedy Bolo mi imponował. Ochrona dilerów, duże i szybkie pieniądze, poczucie władzy, bezkarności, a ten rygorystyczny formalista Żbik mógł wszystko popsuć.

- Tylko dlatego?

- Był prawdziwym psem, jak złapał trop albo podejrzanego, to już nie puszczał. Nie chciałam dostać się w jego zęby.

To był impuls. Jak usłyszałam od tego rannego, że Bolo robi w tej piwnicy transakcję, pomyślałam, że będzie po nas. Musiałam coś z tym zrobić. - Zamyśliła się nad tym, co sama powiedziała, a może to znów wróciły do niej obrazy z piwnicy. - Wszystko bym oddała, żeby cofnąć czas.

- Za późno. - Miras zrobił jej miejsce, żeby mogła wyjść z pokoju w towarzystwie Gnidy. Biorąc pod uwagę wyłącznie semantykę, to było odpowiednie towarzystwo.

XLI



Wydział rekrutacyjny nie zwalniał tempa. Z wszystkich stron dobiegały głosy o braku policjantów. Jedni odchodzili na emeryturę, drudzy pisali raporty o przeniesienie, jeszcze inni wylatywali z firmy za mniejsze lub większe przewinienia. Należało więc sprostać zapotrzebowaniu komendantów jednostek terenowych i wypełniać limity przyjęć. Mira pracowała jak w ukropie, nie dając oddechu swojemu personelowi. Kandydaci nie grzeszyli nadmiarem zdolności do tego zawodu, więc praca wszystkich odpowiedzialnych za dobór kadr przypominała kopanie kanału gdzieś na dalekiej Kołymie.

Witek za radą Chucky odwołał się pisemnie od decyzji o odrzuceniu jego kandydatury. Kilka dni pełnych niepewności czekał na odpowiedź, mając czas na przemyślenie jeszcze raz tego, co wydarzyło się w ostatnich dniach. W zasadzie osiągnął podstawowy cel, dla którego podjął starania o przyjęcie do policji.

Z chwilą ustalenia przebiegu zdarzeń tamtej feralnej nocy i wykrycia sprawcy zabójstwa ojca, mógł powiedzieć, że misja zakończona i szukać innej drogi życiowej. Matka na pewno byłaby zadowolona, ale czy on odnalazłby się w innym zawodzie, kiedy poczuł już smak tej roboty. Służba wciąga i od razu daje informację zwrotną, czy masz powołanie. Chwilowa moda, impuls pod wpływem obejrzanego filmu, niemożność znalezienia innej pracy albo złudne poczucie władzy bardzo szybko okazały się niewystarczającą motywacją do wykonywania tego zawodu.

Witek podporządkował przyszłej pracy w policji całe dorosłe życie. Teraz zrozumiał, że wyjaśnienie tajemniczej śmierci ojca było tylko pretekstem dla dokonania takiego wyboru ścieżki zawodowej, a prawdziwe pragnienia dojrzywały gdzieś obok tego celu. To one dawały mu napęd do morderczych treningów fizycznych i mentalnych, pielęgnowania w sobie poczucia

sprawiedliwości, umiejętności interweniowania w sytuacjach, z których jego rówieśnicy tylko by się śmiali. On po prostu chciał być policjantem. Być może stał się nim, zanim jeszcze złożył podanie do policji. Tego pragnienia nie odebrały mu przeżycia ostatnich tygodni, szemrane układy i układziki, których stał się ofiarą. Nie zniechęcił go do tej roboty kolega z bramki - Feliks, nie odwiodła matka widząca w nim przyszłego członka orkiestry symfonicznej. To było jego przeznaczenie.

Odpowiedź przyszła po kilku dniach i nic od dawna tak nie ucieszyło Witka, jak zawarta w niej treść. Dowiedział się z niej, że może kontynuować procedurę kwalifikacyjną do służby w policji pod warunkiem ponownego poddania się testom psychologicznym.

Witek wszedł do poczekalni i rozejrzał się po dobrze znanym sobie pomieszczeniu. Ostatnio, kiedy tu był, doświadczał przykrości, które wprawiały go w bezsilną, beznadziejną, niemą furię. Odrzucił szybko te wspomnienia, poddając się pozytywnemu nastrojowi, do jakiego zachęcała przyszłość. W poczekalni było kilku kandydatów. Jakaś dziewczyna wypięła zgrabny tyłeczek, nachylając się nad stołem, żeby uzupełnić coś w kwestionariuszu. Witek natychmiast skonstatował, że skądś zna ten widok. Ta ponętna, umięśniona dupka już nieraz przykuwała jego uwagę. Dziewczyna wyprostowała się i odwróciła.

Oboje nie kryli zaskoczenia na swój widok.

- Co ty tutaj robisz - Witek odezwał się jako pierwszy.
- Składam papiery do policji - pochwaliła się Sanderka.
- Przecież to psia robota - wspomniał jej słowa.
- A więc w sam raz dla takiej suki jak ja. - Sandra zawachlowała sobie przed twarzą plikiem trzymanyh dokumentów.

- To przynajmniej zajęcie na długie lata, a instruktorką fitness nie będę przecież całe życie.

- Zgadza się, ale z tą suką to przesadziłaś. Zła samoocena. Może popracujemy nad nią wieczorem na siłce? - zaproponował coś na kształt randki.

- Na wieczór jestem umówiona.

- Z kim? - spytał wprost, z nutką żalu w głosie.

- Z Filiem - uśmiechnęła się zagadkowo.

W drzwiach poczekalni stanęła Chucky z kartką A4 w ręku.

- Kandydat Witold Chaus, zapraszam na testy.

Witek spojrzał w osobliwe oczy pani podkomisarz. Chciał wyczytać z nich powód takiego oficjalnego tonu, którym go przywołała. Nie dostrzegł jednak nic poza znaczącym, porozumiewawczym mrugnięciem.

KONIEC